

PR 2526



# SFINKS

Zeszyt 26.

LUTY, 1910. NR 2

Cena zeszytu rb. 1.

om.  
Czyt.  
SFINKS

## Treść Zeszytu II (26), Luty 1910 r.

	<i>Str.</i>
	<i>List otwarty w sprawie sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego</i> 161
IGN. CHRZANOWSKI . . . . .	<i>O wybranych utworach lirycznych Asnyka</i> . . . . .
JADWIGA MARCINOWSKA . . . . .	<i>Teśknota Hetmana, poemat</i> . . . . . 179
Dr. ERNEST ŁUNIŃSKI . . . . .	<i>Spisek Smagłowskiego a książę Reichstadtu (c. d.)</i> . . . . . 192
WIKTOR DZIERŻANOWSKI . . . . .	<i>Chadzą borem szumy, glosy...</i> 207
WACŁAW SIEROSZEWSKI . . . . .	<i>Jak liść jesienny, powieść (c. d.)</i> 209
Dr. JŪLJUSZ KLEINER . . . . .	<i>Przeciwnik bohatera w „Królu Duchu“</i> . . . . . 223
IGNACY MATUSZEWSKI . . . . .	<i>Uzupełnienie</i> . . . . . 235
MARJA SZPYRKÓWNA . . . . .	<i>Z szarych kartek</i> . . . . . 238
F. JABŁCZYŃSKI . . . . .	<i>Echa Zachodnie. Problem artystyczny</i> . . . . . 242
SAVITRI . . . . .	<i>Brunhilda, (c. d.)</i> . . . . . 254
WALERY GOSTOMSKI . . . . .	<i>W kaplicy Sykstyńskiej (c. d.)</i> . 270
Wł. BUKOWIŃSKI . . . . .	<i>Wrażenia Teatralne</i> . . . . . 279

### PRZEGLĄDY i SPRAWOZDANIA:

Dr. ADOLF CHYBIŃSKI . . . . .	<i>Henryk Opieński: Chopin</i> . . . . . 303
Dr. A. ZIELEŃCZYK . . . . .	<i>H. Poincaré: Wartość nauki</i> . . . 307
J. KLECZYŃSKI . . . . .	<i>Wystawa obrazów Kazimierza Stabrowskiego</i> . . . . . 311
AP. KĘDZIERSKI . . . . .	<i>Jeszcze słów parę o VI Dorocznej</i> 315
	<i>Konkursy</i> . . . . . 317
	<i>Nowe książki</i> . . . . . 319
	<i>Ogłoszenia.</i>

### DODATKI ARTYSTYCZNE:

Portret KAZIMIERZA STABROWSKIEGO.  
 Głowa dziewczynki, rysunek dwubarwny ST. WYSPIAŃSKIEGO.  
 „Grzech pierworodny“, z fresków MICHAŁA ANIOŁA w Kaplicy Sykstyńskiej.  
 Na okładce: JACKA MALCZEWSKIEGO Portret ADAMA ASNYKA.

### RYSUNKI i WINIETY:

J. BOGUĆKIEGO str. 178, 185, 218. W. BOGUSŁAWSKIEJ str. 241.  
 ST. J. KOZŁOWSKIEGO str. 270 i 310. E. MEJROWEJ inicjały str. 161, 166, 192, 223; 311 (win.). H. MINKIEWICZA str. 238. Z. PLEWIŃSKIEJ str. 179, 209. 224, 235, 303, 320. T. RADWANA str. 279 i 302. J. REMBOWSKIEGO str. 234, 253, 278. F. SIEDLECKIEGO str. 254. A. TABIŃSKIEGO str. 206. A. WOLMANA str. 191. W. WŁODARCZYKA str. 165, 207, 208, 269. J. WRONIECKIEGO str. 242.

Papier z fabryki C. A. Moesa.

Klisze wykonano w zakładzie fotochemigraficznym Wierzbickiego i S-ki.



447  
Bibl. Publ. m. st. W-wy



Kazimierz Stabrowski  
w pracowni swojej.





LIST OTWARTY W SPRAWIE SPROWADZENIA

ZWŁOK JULJUSZA SŁOWACKIEGO



a wiosnę roku 1909 zwołany został w Krakowie wiec, który jednogłośnie uchwalił, że w tym roku jubileuszowym JULJUSZA SŁOWACKIEGO prochy Jego mają być sprowadzone do kraju i złożone w grobach królewskich na Wawelu. Komitet Obywatelski, wybrany na tym wiecu, na posiedzeniu plenarnem w czerwcu r. 1909, powziął wiadomość poufną od swego przewodniczącego, p. Marszałka Kraju, że książę Biskup Krakowski nie zgadza się na złożenie zwłok Poety w grobach wawelskich. Wobec tego stawiano na tem posiedzeniu dwa zasadnicze wnioski: 1) złożenia przez członków Komitetu Obywatelskiego mandatów i odwołania się w tej sprawie do społeczeństwa; 2) wysłania do księcia Biskupa Krakowskiego delegacji z prośbą o kategoryczną zgodę lub odmowę. Przyjęty je-

dnak został wniosek trzeci, postawiony przez p. Prezydenta Miasta Krakowa, w tym duchu, ażeby szukać jeszcze dróg i sposobów uzyskania grobu dla Wieszeza. Ponieważ wniosek ten przeszedł znaczną większością głosów, członkowie Komitetu Obywatelskiego zatrzymali mandaty.

W ciągu lata i jesieni r. 1909 ozwał się, jak wiadomo, w prasie i na zgromadzeniach szereg głosów i uchwał, domagający się jednomyślnie złożenia zwłok na Wawelu. Obecnie wice-prezes Komitetu Obywatelskiego, p. Wacław Sieroszewski, na swój list, który wraz z innymi członkami Komitetu wystosował do Prezydum Miasta z naleganiami o wyjaśnienie sprawy, otrzymał w dniu 21 października 1909 r. z Sekretarjatu Prezydum Miasta Krakowa odpowiedź z zawiadomieniem, że, „p. dr. Juljusz Leo — prezydent miasta — przed trzema tygodniami był u księcia kardynała Puzyny, który w obecności ks. biskupa Nowaka stanowczo i kategorycznie oświadczył, że zdania swego w sprawie złożenia zwłok Słowackiego na Wawelu w niczem nie zmienił“.

Książę Biskup Krakowski mocą nadanej mu władzy rozstrzyga nieodwołalnie o katedrze i podziemiach Wawelu. Wszystkie środki uzyskania tam miejsca dla JULJUSZA SŁOWACKIEGO zostały wyczerpane. Sprawa złożenia prochów Jego na Wawelu upada.

Jednakże pozostaje w całej swojej mocy jednomyślnie powzięta uchwała wiecu, decydująca w imieniu społeczeństwa, że zwłoki Poety mają być sprowadzone do kraju. Ta jednomyślnie powzięta i zgodnie wyrażona wola narodu nie powinna i nie może być unicestwiona przez *liberum veto* jednostki. Skoro daliśmy Wygnańcowi, wielkiemu Poeście, to najdroższe dlań, na co nas stać — dostojny grób w Ojczyźnie — nasza godność a jego zasługa nie pozwala na to, ażebyśmy gnuśnie mu tę łaskę dziś odebrali dlatego, że jeden z nas na to się nie zgodził.



Odwlekanie załatwienia tej sprawy byłoby z ujmą czei, jaką mamy dla poety. — Na taki akt woli, jak sprowadzenie do kraju zwłok JULJUSZA SŁOWACKIEGO, społeczeństwo nasze, aczkolwiek przyciśnięte ogromem nieszczęść, rozszarpane i przebite nowymi ciosami, może się zdobyć i powinno. — Proch Głosiciela nieśmiertelnej woli Narodu, miłości Ojczyzny, Apostoła idei ofiary — przyniesiony dziś na naszą ziemię, może się stać cementem, który spoi rozszarpane dzielnice, złączy rozdarte zawsze warstwy i w przeciwne strony biegnące stronnictwa, tchnie w nas, przynajmniej na ten dzień, jedność i miłość — i ku wiecznemu celowi skieruje amężone oczy żyjących.

To też my, pisarze, artyści i czciciele tego bezcennego skarbu naszej sztuki i tego wysokiego zaszczytu naszej natury — zwracamy się do społeczeństwa i do miarodajnych jego czynników z gorącym i najbardziej natarczywym wezwaniem i prośbą, ażeby nam pomogły wykonać plan, któryby położył kres gorszącemu i poniżającemu nas zatargowi, a zarazem sprawił, ażeby kości Juljusza Słowackiego przestały być kością niezgody w narodzie.

Oddawna pisarze nasi wskazywali na Tatry, jako na grobowiec Juljusza Słowackiego. Doradzał to Henryk Sienkiewicz, Stanisław Witkiewicz, Tadeusz Miciński, Maciej Szukiewicz i inni. Różniono się tylko w wyborze miejsca. Obecnie po gruntownem zbadaniu i rozważeniu sprawy przez znawców Tatr, przyszliśmy do przeświadczenia, że na taki grobowiec nadaje się najbardziej piramida granitowa turni Kościeleca nad Czarnym Stawem. W zachodniej, stromej jej ścianie, na dwieście metrów ponad Czarnym Stawem, a więc w połowie niemal wysokości góry, znajduje się w granitowej caliznie olbrzymia wnęka o osiemdziesięciu metrach wysokości i znacznej głębokości, gdzie wskutek naturalnego w szczycie odchylenia nie spadają lawiny i piarg się nie osypuje. W tej

tatrzańskiej kaplicy należałoby, według planu powołanych artystów, wykuć w granicie katakumbę, w niej z tegoż granitu wielki sarkofag, całą pieczarę zawrzeć kratą z żelaza lub bronzu i wyciosać do całego grobowca prowadzące monumentalne schody — od ścieżki, która do wnętrza tej zmierza. Praca około wykucia grobowca — z funduszów, które na sprowadzenie zwłok poety zebrała młodzież akademicka — winnaby się zacząć jak najrychlej, a cały grobowiec może być dziełem paru miesięcy.

Wówczas zwłoki Juliusza Słowackiego mogłyby być przywiezione do Krakowa i na przeciąg 24 godzin wystawione ku uczczeniu narodowemu na wysokim, artystycznie wykonanym katafalku, w Barbakanie przed bramą Florjańską, w tej naszej bramie tryumfalnej. Poczem zwłoki Poety winnyby być — nie przewiezione — lecz przeniesione z Krakowa w Tatry przez czcicieli ze wszystkich warstw społeczeństwa i złożone w tym tymczasowym czy wiecznym grobowcu.

Zadaniem specjalnego komitetu artystów byłoby stosowne przyozdobienie na tę uroczystość Barbakanu i całego Krakowa, zbudowanie rydwana, przyozdobienie Zakopanego, wsi i miast, przez które przechodzić wypadnie i t. d.

Zwracamy się z tym planem do całego społeczeństwa polskiego — a w szczególności do władz krajowych i reprezentatów sejmowych, do Koła Polskiego w Wiedniu, do Komitetu Obywatelskiego dziś jeszcze funkcjonującego, do młodzieży akademickiej — pierwszej inicjatorce sprowadzenia zwłok Poety do kraju — do pisarzy i artystów.

Wzywamy do zwołania w Krakowie wiecu, w którym — naszym zdaniem — powinnyby wziąć przedewszystkiem udział uczeni, artyści, pisarze, jakoteż wogóle ludzie, gorąco tej sprawie oddani i jej doniosłość odczuwający. Mniemamy, że Komitet, powołany przez ów wiec, najlepiej



zdoła wywiązać się ze swych zadań pod przewodnictwem dotychczasowych kierowników Komitetu Obywatelskiego.

Wierzmy, że tak postawiwszy i przeprowadziwszy sprawę, oddamy najdostojniejszy i powszechny hołd prochom wielkiego Poety, wyjmiemy czeigodne Jego imię z pod czyjejkolwiek w narodzie nietąski, wmurujemy jego kości w dzikie ściany naszej Ojczyzny, gdzie wiehrem otoczony, owiany mgłami, w pośród ponurej zimy i czarującej pogody, będzie błogostawił niziny.

A gdy nadejdzie dzień wolny, dzień godny jego niepodległej, królewskiej harfy, poniesiemy go z tej górskiej pieczary, my lub potomni, do mauzoleum Krakowa czy do mauzoleum Warszawy.

Zygmunt Bartkiewicz, Aleksander Brückner, Władysław Bukowiński, Adam Łada Cybulski, Jan Czubek, Gustaw Daniłowski, Artur Górski, Jan Hempel, Tadeusz Jaworski, Jan Kasprowicz, Juljusz Klejner, Włodzimierz Konieczny, Marja Konopnicka, Władysław Kozicki, Stanisław Krzeziński, Ludwik Krzywicki, Antoni Lange, Jan Lemański, Bolesław Leśmian, Bolesław Limanowski, Bohdan Łepki, Franciszek Mączyński, Aleksander Majkowski, Jadwiga Marcinowska, Marja Markowska, Ignacy Matuszewski, Romuald Minkiewicz, Wilhelm Mitariski, Kazimierz Młodzianowski, Nuna Młodziejowska-Szczurkiewiczowa, Tadeusz Nalepiński, Zofja Rygier-Nałkowska, Władysław Orkan, Eliza Orzeszkowa, Nikodem Pajzderski, Bronisław Piłsudzki, Marja Raczyńska, Marja Rakowska, Tadeusz Rechniewski, Józef Ruffer, Ferdynand Ruszczyc, Waclaw Sieroszewski, Artur Śliwiński, Edward Słoiński, Michał Sokolnicki, Egieńjusz Sokołowski, Ludwik Sołski, Leopold Staff, Andrzej Strug, Antoni Szech, Maciej Szukiewicz, Waclaw Szymanowski, Edward Trojanowski, Jan Witkiewicz, Edward Wittig, Stanisław Wyrzykowski, Marjusz Zaraski, Aleksander Zelwerowicz, Stefan Żeromski.

*Wysłano z Paryża w lutym 1910 r.*



IGN. CHRZANOWSKI.

## O wybranych utworach lirycznych Asnyka.

(Przemówienie na wieczorze literackim „Slinksa“).



pośród poetów naszych drugiej połowy XIX stulecia ani jeden nie ma tak słusznego i wielkiego prawa do miana poety europejskiego, nietylko polskiego, jak Asnyk, a to zarówno przez klasyczną w swojej jasności i dźwięczności formę poezji, jak i przez jej treść. Tym, których znajomość tej poezji nie sięga ponad pieśni miłosne i t. zw. wiersze karmelkowe, sąd taki wyda się zapewne nieco dziwnym: ale ci, którzy zachowują w pamięci i sercu takie pieśni, jak „Ciesz się, serce“, „Pod stopami krzyża“, „Daremne żale, próżny trud“, „Tym, którzy smutni“, a nadewszystko sonety filozoficzne „Nad głębiami“, — zgodzą się chyba na to, że ani jeden z ówczesnych poetów polskich nie poruszał tak



często uczuć i zagadnień ogólnoludzkich. Przecie np. w cyklu sonetów „Nad głębiami“ odbiła się praca myśli filozoficznej całego wieku, poczyna tych sonetów jest „boleścią całych pokoleń wymowna“. W znanym wierszu „Publiczność do poetów“ mówi Asnyk:

Miłość jest piękną, bezwątpienia, rzeczą  
I ma w poezji stare, jak świat, prawa:  
Lecz trzeba, żeby miała twarz człowieczą,  
Żeby tryskała życiem jej postawa.

Otóż „twarz człowieczą“, charakter ogólnoludzki posiada cała wogóle liryka refleksyjna Asnyka, stanowiąca właśnie najpiękniejszy dział jego poezji.

Lecz są i wyjątki, — i o nich to właśnie dzisiaj mówić będziemy; — są poezje o twarzy wyłącznie polskiej. Szkoda, że jest ich tak mało! Dlaczego tak mało, to wyjaśnił sam poeta:

Nie potrącajcie nieudolną ręką  
Tej struny, która niegdyś w mistrzów dłoni  
Brzmiała ojczyzny miłością i męką!  
Nie przedrzeźniajcie pieśni, którą oni  
Na skrzydłach swoich wznieśli w ton błękitną,  
By Polsce jasną świeciła jutrzenką!  
Nie dotykajcie tych snów, pełnych woni,  
Co ponad światem, nieśmiertelne, kwitną!  
Bo wasza skarga, bezsilna, żebracza,  
Dawnej narodu wielkości uwłacza....

Prawdziwa miłość w głębi tajemniczej  
Ukrywa przedmiot czci swej i kochania,  
I wielka boleść ma swój wstyd dziewiczy,  
Który ją całą milczeniem osłania:  
Ona nie żebrze o litość dla siebie,  
Ani na ludzkie pociechy nie liczy,  
Lecz tylko w męstwo zbroi się wytrwania...  
A gdy wybuchnie głosem — to po niebie  
Pieśń jej przeleci dumna, nieskałana,  
Jak krzyk rwącego łańcuchy Tytana.

Najczęściej do wyśpiewania pieśni patriotycznej pobudzała Asnyka jakaś okoliczność zewnętrzna, czy to pogrzeb Mickiewicza w Krakowie albo rocznica śmierci Stowackiego, czy to zlot Sokołów w Krakowie albo uroczystości w Zagrzebiu, czy też jeszcze dwudziesta piąta rocznica powstania styczniowego. Ale są i takie pieśni, które powstały bez pobudki zewnętrznej, „narodziły się w duszy poety w łez mroku... drgnieniem serca dobyte z nicości“; i te właśnie pieśni są „pełne dziwnej, niespożytej siły“.

Aby zrozumieć zawartą w nich myśl patriotyczną, nadewszystko zaś dźwięczące w niej uczucie, trzeba uprzytomnić sobie, jaką to atmosferą oddychał Asnyk za czasów młodości, która żywot jego wykuła. Ale o tem niech on sam opowie, bo żadna, choćby najuczętsza i najplastyeczniejsza charakterystyka tej atmosfery, nie zastąpi jego własnej opowieści, tak czarującej, a tak mało u nas znanej; zresztą kiedyż ją przytoczyć, jeśli nie na wieczorze literackim, poświęconym przecie nie rozbirom krytycznym poezji Asnyka, ale samej poezji?

Pamiętam dotąd chwile owych wiosen,  
Gdy serca nasze paliła tęsknota,  
A bór nam szumem dębów swych i sosen  
Śpiewał, jak stary pieśniarz Wajdelota,  
Rycerskie pieśni dawnej przodków chwały,  
Które nas czarem swoim apajały.

Pamiętam dotąd, jak nam szmer strumieni,  
Słowików śpiewy, powiew kwiatów woni  
I zorza, która błękitny ramieni,  
I wszystko wkoło wciąż mówiło — o Niej,  
O nieśmiertelnej, co w grobowcu czeka  
Na odwalenie kamiennego wieka...

A w piersiach naszych z każdą chwilą rosła  
Miłość bezbrzeżna, wyłączna, jedyna,



Co na swych skrzydłach duszę w błękitniosła,  
 Jakby do matki stęsknionego syna, —  
 Z wiarą, że w górze, poza chmur zasloną,  
 Ujrzy ją znowu — jasną i zbawioną.

Myśmy ją wszyscy przed sobą widzieli —  
 Cudowną postać w złotej gwiazd koronie,  
 W niepokalanej czystości i bieli,  
 Ze zmas obmytą przez anielskie dłonie,  
 Z twarzą, podobną do Najświętszej Panny,  
 I blask z swych włosów siejącą poranny.

Każdy ją wieńczył w własnych rojeń kwiaty  
 I jej piękności odczuwał inaczej,  
 Każdy w odmienne ubierał ją szaty, —  
 Lecz nikt nie wątpił, iż po dniach rozpaczy  
 Nadpłynie w blasków różanych powodzi  
 I swą pięknnością cały świat odmłodzi.

Więceśmy ręce do niej wyciągali,  
 Wołając: „Zstępuj z błękitów, królowo!  
 Krzywdy nędzarzów zważ na prawa szali  
 I sprawiedliwość wymierz im na nowo!  
 Zawieś miecz pomsty nad fałszem i zbrodnią  
 I bądź ludzkości gwiazdą znów przewodnią!

My ci pod stopy ciała swe uścielem,  
 Abyś stanęła na nich, jak na tronie,  
 I praw zgwałconych stała się mścicielem,  
 Z błogosławieństwem wyciągając dłonie  
 Ku tym, co, cierpiąc, niesłusznie skrzywdzeni.  
 Wzywają ciebie z czyścowych płomieni.

My nic dla szczęścia swego, nic dla siebie  
 Nie pragniemy,—nawet nie żądamy dożyć  
 Chwili, gdy z jutrznią zabłyśniesz na niebie:  
 Chcemy na zawsze w prochu się położyć  
 I za swe wiano wziąć niepamięć wieczną,  
 Byles Ty jasność rozlała słoneczną...

Oto atmosfera, jaką zamłodu oddychał Asnyk, i oto zarazem wyznanie jego wiary młodzieńczej. Jak tylu innych, tak i jego duszę rozkołysała wielka poezja romantyczna nie tylko miłością ku owej „cudownej postaci w złotej gwiazd koronie“, ale i niewzruszoną wiarą, że już, już zbliża się ta błogostawiona chwila, kiedy królowa porzuci błękity, na które wygnano ją w końcu XVIII w. z ziemi, i na nowo na ziemię powróci: wystarcza tylko własne ciało ustać jej pod stopy. Ochotników nie brakło, — oni nie dla siebie nie pragnęli, prócz śmierci, byleby tylko ofiarnej, i tęsknili do śmierci i z niecierpliwością czekali pioruna.

Każdy piorun, co grzmi i zapala,  
wołał Mieczysław Romanowski,

Witam, jak brata, na niebios lazurze;  
Orla każdego, co powraca zdala,  
Pytam, ile jest gromów w czarnej chmurze, —  
I drzę, gdy ptak mię pomija w milczeniu,  
Bo nam na gromy długo czekać może,  
Bo bez piorunów w takim utrapieniu  
Straszno mi, Boże!

Pioruny uderzyły. Asnyk stanął w szeregach powstańczych. Romanowski swoją poezję rycerską przypięczetował własną krwią, — padł, ugodzony kulą w czoło, w pierwszej bitwie: Asnyk nie zginął, przeżył powstanie. Ale był to już inny człowiek: utracił wiarę, zwątpił o wszystkim. O czym marzył, w co wierzył,

To wszystko teraz w przepaść się zapadło,  
I już przeminął czas rycerskiej służby,  
Z błękitów jasne zniknęło widziadło,  
Umilkły wieszcz natchnienia i wróżby;  
A burza nieszczęść strąciła nam z głowy  
Nawet ostatni wieniec nasz — cierniowy.



Śpiewne serc głosy, idealne hasła,  
 Płomienne słowa, mistyczne zachwyty,  
 Przebrzmiały, — lampa cudowna zagaśła,  
 Na ziemię runął ideał rozbity...  
 I w naszych oczach rozpadło się w grazy  
 Tęczowe państwo romantycznej Muzy...

Nie dziw, że pierwsze poezje Asnyka to stłumione łkania duszy nad trumną własnych upojęń. „Cicho płynemy, jak duchy, białe żagle nawiążmy, toń tak głucha, milcząca, fala o brzeg nie trąca, więc utajmy namiętne wybuchy i wzrok łzawy w ciemności pogrążmy“... Ton zupełnie nowy w poezji polskiej XIX wieku! Po roku 31 w serca poetów polskich także wstąpiła rozpacz, ale była to rozpacz ogromna, straszna — w swojej potędze; rok 31 wydał „Improwizację“ i „Grób Agamemnona“, — i wydał jeszcze „Księgi pielgrzymstwa“ i „Przedświt“. Rozpacz po r. 63 była także ogromna, straszna — ale w swojej bezsilności; rok 63 nie wydał nawet „Psalmu nadziei“. Poetą tej bezsilnej rozpacz i beznadziejności jest właśnie Asnyk w pierwszych kilkunastu latach po powstaniu.

Cóż smutniejszego nad „Sen grobów“! Mówią, że poemat to niejasny, mglisty? Zapewne, ale czy nie maluje doskonale zamętu, jaki był w duszy poety, walki jego dawnych uczuć i marzeń z uczuciami i myślami nowymi? czy nie odzwierciedla jego żalu do przeszłości i zarazem przywiązania do niej, a nadewszystko jego ponurego smutku? W ciemnej otchłani tego smutku ledwie, ledwie migocze błędny ognik nadziei, gdzieś daleko od nieubłaganej, zimnej refleksji, która mówi, że wszystko stracone; serce się wyrywa, — goni błędny ognik, ale dogonić nie może — cały poemat sprawia bolesne, przygnębiające wrażenie. Melancholja „Snu grobów“ to nie ta melancholja, o której mówi Słowacki, że jest z mocy: to melancholja ze słabo-

ści; to nie skrzydło ludzi wysokich: to kamień ludzi topiących się.

I długo rozpaczał Asnyk, długo nie mógł stłumić jęków, które wyrwały mu się z duszy.

Szczęśliwe ludy, gdy im w górze świeci  
Wolnej ojczyzny widoma potęga,  
Co, darząc blaskiem najuboższe dzieci,  
W podziemia nędzy i boleści sięga.

Szczęśliwe kraje, gdzie pokoleń praca  
Nie idzie w niwecz wśród gromów i burzy,  
Lecz gdzie czyn wszelki ojczyznę wzbogaca  
I gdzie myśl każda jej tryumfom służy.

I jeszcze:

Są szczęśliwi, co mogą witać jutro świata  
Upojeniem rozkoszy, okrzykiem wesela,  
Pewni, że przyszłość, w dary najświętsze bogata,  
Anielskim chlebem życia ludy poobdziela.

Lecz my....

My patrzymy z niewiarą na świetne zdobycze,  
O których upojone dziś narody marzą —  
I nie śpieszymy blaski podziwiać zwodnicze,  
Co krwawemi łunami nasze oczy rażą, —  
Lecz ku przyszłości swojej odwróceni twarzą,  
Czekamy, co przyniesie jutro tajemnicze.

Tak, ale co przyniesie jutro tajemnicze? — oto, mówi Asnyk, zagadka sfinksowa, którą rozwiązać trzeba pod grozą utraty reszty sił i reszty nadziei. Więc usiłuje ją rozwiązać, — jak usiłowało ją rozwiązać całe pokolenie po roku 63, które przeciwstawiło hasłom i uturom romantycznym tak zwaną pracę organiczną, w nadziei, że ona wzmocni naród po upływie krwi. Asnyk i teraz sta-



nął do szeregu, i on pracę organiczną, postęp na każdym polu, poczytywał za jedyne zbawienie narodu:

Teraz już nam nie wolno po tak strasznej cenie  
Kupować chwili złudzeń, co bezsilnych nęci...  
Dziś naszym obowiązkiem trwać w milczeniu głuchem  
Z karnością postawionych na czatach żołnierzy,  
Nie zdradzając się żadnym okrzykiem lub ruchem.

Dziś tylko wolno naprzód posuwać się duchem  
I przysposabiać sobie siły zasób świeży,  
Zanim nam Bóg obronę przyszłości powierzy.

Ale posuwać się naprzód duchem, to nie znaczy bynajmniej zrywać ze wszystkim, co przekazała przeszłość. Tymczasem młodzi pozytywiści posuwali się niekiedy za daleko w krytyce przeszłości, a i o tem zapominali, że przeszłość jest fundamentem, na którym się dopiero może wznieść gmach przyszłości.

Do nich to właśnie wołał Asnyk w jednej z najpiękniejszych swoich pieśni:

Nieście... wiedzy pochodnię na czele  
I nowy udział bierzcie w wieków dziele, —  
Przyszłości podnoście gmach!

Ale nie depezcie przeszłości ołtarzy,  
Choć macie sami doskonalsze wznieść;  
Na nich się jeszcze święty ogień żarzy,  
I miłość ludzka stoi tam na straży,  
I wy winniście im cześć!

Jako obrońca przeszłości, staje Asnyk i w pieśni, złożonej „Na grobie Wincentego Pola“, któremu wróży, że „stać będzie kolumną granitu, pomnikiem polskiej i pieśni i chwały“. A jego sarkastyczny *paszkwil* na historyków krakowskich — bo paszkwilem jest jego wiersz

p. t. „Historyczna nowa szkoła“, — wypłynął także nie z innego źródła, tylko z chęci obrony przeszłości, o której, jego zdaniem, szkoła ta

Coraz śmielsze wnioski przedzie  
I, nicując dawne sądy,  
Nie powstrzyma się w zapędzie,  
Aż dowiedzie, że król Herod  
Dobroczyńcą był dla sierot, —

jak rzekomo dowiodła już, że, Targowica była czynem patriotycznym, a Kościuszkowski to był „warjat, co buntował proletarjat“.

Jedno uderza w tych i innych jeszcze wierszach Asnyka: oto niema już w nich tej beznadziejnej melancholji, co dawniej; smutek jest, ale już nie rozpaczliwy i nadewszystko nie ubezwładniający. Bo też z biegiem czasu uspokajał się Asnyk; nietylko zdobył się na względną rezygnację, ale w sercu jego zaczęła migotać wiara i nadzieja:

Zapomnij o tem, żeśmy kiedyś żyli  
Bezplodnem życiem bez szczęścia i sławy!  
Zapomnij o tej próżnych pragnień chwili,  
Po której w piersiach ślad pozostał krwawy!  
Zapomnij o tem, że fałszu słuźalce  
Świętości nasze obrzucili błotem,  
Żeśmy padali w rozpaczliwej walce, —  
Zapomnij o tem!

Lecz myśl jedynie, że ducha tęsknotą  
Przedrzem się w czasów szczęśliwszych zaranie,  
I że z nas każdy weźmie zbroję złotą  
I w dniu zwycięstwa na wylomie stanie;  
Że miłość nasza nie zejdzie do grobu,  
Lecz znów ożyje kiedyś w wielkim czynie,  
I że nas szczęściem opromieni obu, —  
To myśl jedynie!



Uwierzył Asnyk, że, chociaż „przeszłość cała, jasna, żywa, zatonięła w nocną ciszę, lecz w podziemiach, gdzie spoczywa, młode dziecię znów kołysze“; nietylko jego wiara, ale i jego filozofja mówiła mu, że jest na świecie porządek moralny, który napróżno podkopyje zbrodnia i pycha szalona, że się pogwałcona moralność mści, że „zbrodnia karmi potomstwo u łona, co przeciw matce dobędzie orę-  
ża“; a i w to jeszcze uwierzył, że

Dzień nadchodzi, w którym ludy,  
Rozdzielone krwią przelaną,  
Nienawiścią zbrojne wprzód,  
Do bratniego kola staną.

I na gruzach krwawej pychy  
I plemiennych walk szaleństwa  
Wzniosą w niebo oltarz cichy  
Zwycięskiego człowieczeństwa.

A kiedy sam uwierzył, chciał w innych wpajać tę wiarę,—najpiękniej w „Pobudce Sewerom“. Szron już osrebrzył mu głowę, kiedy tę pobudkę wyśpiewał, a pomimo to ani jedna z pieśni jego nie ma w sobie takiej siły, takiego iście młodzieńczego ognia.

Precz ze zwątpieniem, co łamie  
I męskich pozbawia sił!  
Niech targa skrwawione ramię  
Łańcuch, co w ciało się wpił!

Precz z małoduszną rozpaczą!  
Nie wolno rozpaczać nam!  
Niech myśli zuchwale skaczą  
Do niebios zamkniętych bram.

Jakimże mieczem mamy targać łańcuch? Odpowiada Asnyk: „Ze szczęściem ludzkości w zgodzie uchwy-

émy *duchowy* miecz!“ Hasło to dźwięczało już przedtem, w pełnych smutku sonetach „W oczekiwaniu jutra“, gdzie wyraźnie mówi Asnyk, że dziś, po tylu złudzeniach „nie wolno rwać się na oślepek w płomienie“; ale, kiedy w sonetach to hasło jest tak ciche, że, naprawdę, wygląda, jak gdyby było zduszone, zanim się z piersi wydobyło, płynące raczej z rezygnacji, niż z wiary: tutaj, w „Pobudce Sewerom“, zadźwięczało głośno i mocno—na strunach wie-  
rzącego *serca*.

Lecz Asnyk to przede wszystkim poeta-filozof; bezpośredniość uczucia jest w jego poezji dość rzadkiem zjawiskiem, najeczęściej ono załamuje się w w przyzmacie refleksji. Załamała się w niej i patrijotyczna jego wiara w lepszą przyszłość, ale w niej nie uwięzła, owszem wyszła z zahartowanymi skrzydłami. Że tak było istotnie, tego dowodzą jego sonety „Nad głębiami“, które są poetycznym wyrazem jego filozofji, jego poglądów nie tylko na byt ogólny, na pochod całej ludzkości, ale i na własny naród. Mianowicie cztery ostatnie sonety tego cyklu dotyczą spraw nie ogólnoludzkich, ale wyłącznie polskich. I tutaj jak w innych poezjach Asnyka, punktem wyjścia jest zwątpienie, konkluzją—nadzieja i wiara. Zwątpienie płynie stąd, że wysiłki tego pokolenia ludzi, do którego należał poeta, nie wydały spodziewanych owoców: lecz zwątpienie ustępuje uzasadnionemu rozmyśleniu nad głębiami bytu po-  
glądowi, że

pod ciemności osłoną,  
Pod dobroczynną wartości pokrywą  
Tysiącem kielków drży już ziemi lono...  
I życie w głębi walką wre namiętą,  
By się wydobyć, kiedy je oświeci  
Brzask nowych wiosen lub nowych staleci.

Jakież są warunki, potrzebne do tego, aby się te ciemności rozprasały? Pierwszym jest zachować tę nie-



podległość, która od nas samych zależy, niepodległość *du-  
cha*, bo naród

Zginać może z własnej tylko ręki,  
Gdy nim owładnie rozpacz senna, głucha,  
Co mu spoczynek wskaże w grobie miękkiej,—

I to zwątpienie, co szeptem do ucha,  
Że jednym tylko lekarstwem na męki  
Jest dobrowolne samobójstwo ducha...

A warunkiem drugim jest postęp, ale nie wykluczający bynajmniej umiłowania przeszłości, byleby tylko ta miłość nie była ślepa:

Taką, jak byłaś, nie wstaniesz z mogiły,  
Nie wrócisz na świat w dawnej swojej krasie,  
Musisz porzucić kształt przeszłości zgniły,  
Na którym teraz robaćtwo się pasie.

Musisz zatracić niejeden rys miły  
I wdzięk, w dawniejszym awielbiany czasie...  
Lecz nową postać wziąć i nowe siły  
I nowych wieków oręż mieć w zapasie!

Grób cię nie odda światu widmem bładem —  
Z mogilnej pleśni — i zgnilizny plamą,  
Do wnętrza śmierci przesiąkniętą jadem,

Lecz, przystrojona w królewski dyjadem,  
Musisz do życia wkroczyć życia bramą!  
Musisz być inną, — choć będziesz tą samą.

I to już ostatnie słowo poezji patriotycznej Asnyka. Nazwano go epigonem romantyzmu. Nazwa to nie-słuszna, a nawet ubliżająca pociętej miary, co on. Nie epigonem był Asnyk, ale raczej reformatorem narodowych haseł romantycznych w naszej poezji. Z roman-

tykami spokrewnia go wiara w przyszłość, w tryumf dobrego nad złem, w moralny porządek świata; różni go od romantyków stosunek krytyczny do przeszłości i płynące stąd przeświadczenie, że bez postępu „nie wstaniesz z mogiły“. Jak pierwiastek ogólnoludzki połączył się w jego poezji w jedną całość z pierwiastkiem patriotycznym (bo obłęd kosmopolityzmu nie zbrudził jego ducha), tak w piękną harmonję zlały się w jego duszy, zarówno jak w poezji, idea postępu i uczucie patriotyczne. Oto dlaczego wierzył w to, w co każdemu z nas daje Boże wiarzyć, że—„musisz być inną, — choć będziesz tą samą“!







JADWIGA MARCINOWSKA.

## TĘSKNOTA HETMANA.

Poemat, nagrodzony na konkursie poetyckim „Sfinksa“, imienia JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

I

Słodki jest wieczór, jeśli się położy  
na dnia krawędzi nie jako spoczynienie,  
ale wezbranej sławy szczyt... I w zorzy  
ostatniej skąpi wszystkich chwil promienie,  
ze dróg żywota wiodąc i bezdroży,  
w nabytej z ogniów i krwi wielkiej cenie,  
do wrót zawczasu nieznanych nikomu,  
do znaczonego progiem śmierci domu.

Błogosławiona starość purpurowa  
od ran, tych znaków królewskich zastugi.  
I świetny duch jest, który się nie chowa  
w skorupie bólów dawnych, ale smugi  
ujrzał dalekie i jak słońca głowa  
chyli się, zwolna zachodząc w byt drugi..  
Błogosławiona starość pełnią szczera,  
gdy drzwi zaświatów duchowi otwiera.

Był zmierzch czerwcowy, łagodny i cichy;  
w lekkich oparach gasły pół rozłogi.  
Szept się wywinął, gdzie nisko kielichy  
przyziemne kwiecia, i szlakami drogi  
powietrznej w górę wschodził, zielnej pychy  
pełen i w wonie leśne nieubogi,  
aż stał się wiatrem pogwarem, co bierze  
na skrzydła ziemi przednoene pacierze..

O mury zamku ten wiatr swoje szumy  
opierał jakby z dzieciną pieszczotą.  
Stał zamek. Nie lśnił jak siedlisko dąmy  
wieńcem kruźganków lub kopułą złotą;  
nie ucztowały w izbach dworzan tłumy,  
ale rycerski świadczył sprzęt, że oto  
na pierwszy odgłos wojennego słowa  
hetmańska Żółkiew zawsze jest gotowa.

Komu zwolono czterdzieści i cztery  
„obozy“ liczyć za sobą w lat plonie,  
i kto w czterdziestym czwartym boju szczery  
bywał, jak w pierwszym; i miał równe dłonie,  
ten-ci zaiste między bohaterzy  
pradawne może iść w promienne tonie  
ludowej baśni i śnić sławą-siłą,  
że mu się wszystko, jako chciał, spełniło...



Hetman w zamkowej izbie wpośród ścian,  
już tajemniczych zmierzchem, odpoczywa.  
Wszystkim domowym znak odejścia dan.  
Zamkniona długa praca dnia szczęśliwa;  
jako gdy słuca słów modlitwy Pan,  
liczący kłosa dostatego żniwa...  
Hetman wieczorny pacierz rozpoczyna,  
wtem urwał, kazał wołać k'sobie syna.

„Imć panie Janie, jesteś mi jedyny;  
na tobie spocznie wszystka cześć ojcowska  
i w twardej służbie dziedziczne wawrzyny.  
O lot orlika stary ptak się troska;  
znaj wolę mojej ostatniej godziny.  
Wszak żywot człeczny na związaniu włoska  
i nikt nie zgadnie... Serce ukorzyć święcie  
i czytaj słowa moje w testamencie“.

Testament pisan nie teraz, przed laty;  
zawczasu gotów. Tak dawni rycerze  
dbali, by po nich ród bywał bogaty  
błogostawieństwem w boju i w ofierze.  
Oto rozłożon cenny zwój. W komnaty  
mrokach syn moce z słów ojcowych bierze.  
Hetman pochylił czoło, pilnie słuca.  
I wstała wielka tęskność z głębin ducha.

Bo w testamencie onym poza słowem  
nauki dzieciom, a żegnania żonice,  
była rzecz, która, zda się, purpurowem  
światłem przez ciemne zgłoski gra i płonie,  
i zawsze w serce wraca się echowem  
brzmieniem przy myśli o wieku i zgonie:  
„Jeżeli głowę za Ojczyznę złożę...  
Lecz—czym tej łaski godzien, nie wiem, Boże...“

Temu, kto kocha, jest konieczną sprawą  
żyć w tej miłości służbach i jej gwoli,  
prostą, konieczną, niezawsze łaskawą,  
bo wszelki żywot ma dni, w których boli...  
Zawsze tęsknota się uśmiecha krwawo  
pragnieniem: jeszcze... Aż kiedyś okoli  
wierzchołek życia łaska osiągnięcia...  
Któryż dar losu tak się w szczęście zmienia?

Bywają różne promieniste chwile,  
świejące krótko, jak wiosniane lica  
rozkwitłych kwiatów, albo sny motyle...  
A tylko jedno serca głęb nasycę,  
jedno wybucha w tak słonecznej sile,  
że rozwiązuje się dusz tajemnica,  
która jak gwiazda nad żywotem stanie...  
To zwie się—śmiercią za Umitowanie.

Gdy nadechodziły lata, szronem białe,  
duszę hetmańską jęła rwać tęsknota;  
jaki kres zamknie długich bojów chwałę  
i czy rozbłyśnie się ta glorja złota?  
Bo wszystko wzięte zdaje się niecałe,  
niepełny kielich ofiarny żywota,  
jeśli śmierć w cichej, cudotwórczej mowie  
tego, co wszechęło życie, nie dopowie...

Owóz czytania testamentu słucha,  
własnego głosu w miłym głosie syna,  
aż tęskność stała się jak rana ducha  
wielce otwarta... Pamięć przypomina,  
w ilu potrzebach zawiodła otucha  
szczęsnego zgonu. I dziś jest przyczyna  
w nadmiarze pragnień, że po dnia mozole  
odeczytać kazał swą ostatnią wolę.



Bez słów ten wielki z duszy krzyk do Pana:  
 „Zali mi nie dasz bojowego łoża?  
 Nie będzie-ż z kropel mojej krwi utkana  
 szata weselna, abym wszedł, gdzie zorza  
 godów, gdzie wieczna Galilejska Kana?  
 Wszak śmierć w pościeli to nietaska Boża...“  
 I dwie modlitwy wstały jasnopióre,  
 i rozwinęły skrzydła, lecąc w górę...

Kędyś wysoko ważą się w przestrzeni,  
 bardzo odmienne, choć wynikły z duszy  
 ludzkiej pospólnym lotem, wśród promieni,  
 jedna, jak gołąb, szeptem pióropuszy  
 srebrzystych szemrze, świeci się i mieni:  
 to się rycerskość chrześcijańska kruszy  
 i wielkie czucie skłania się w pokorze:  
 „Spuść łaskę, chociaż nie jest godzien, Boże“.

Druga, orlica w dumnych piór roztoczy,  
 we chrzęści skrzydeł jakby już w koronie...  
 Pałą się k'słońca podniesione oczy,  
 przed Majestatem wzrok bez lęku płonie;  
 pełnia zastugi i moc się jednoczy,  
 aż zaszumiało napowietrzne błonie:  
 „Ziści mi, Panie, rzecz nabytą znojem;  
 ześlij mi, Panie, co wiesz, że jest mojem“.

Gdy tak na skrzydłach rozpostartych w niebie  
 dwa białe ptaki ważą się stęsknione,  
 w dole mrok zgęstniał, mury zamku grzebie;  
 zacięło izby wnętrze. Wtem trącone  
 drzwi i głos słyszany: „Z wieścią szukam ciebie!“  
 I Hetman ujrzał nadchodzącą żonę.  
 Stała poważna pani; we drzwiach smuga  
 do nóg jej padła, jakby ścieżka długa...

Chłopiec kaganek dzierżył. Dalej w głębi  
goniec; dróg śpiesznych ślady znać w odzieży  
i atrudzenie twarz przychadła gnębi.  
Hetman wstał. Światło w środek izby wbieży,  
obwiedzie głowy dwie, do dwu gołębi  
podobne... Żona i córka rycerzy,  
przy mężu wzrostem i powagą równa,  
z dawnego gniazda, z domu Herburtówna...

W milezeniu pismo podała. Pieczęcie  
Hetman odrazu poznał: „To król pisze...  
Świeć!” Już pieczętkę złamało dotknięcie,  
i lekki szelest wpadł w wieczorną ciszę.  
Małżonka czeka. Znagła — niepojęcie  
targnęły sereem przeczuć towarzysze,  
dreszcze... Wnet stłumi je odwagą zbrojna.  
Hetman przeczytał i rzekł krótko: „Wojna“.

Potem w niewielu słowach rzecz wyklada:  
rozkaz królewski przeciw Turczynowi,  
aby lennego podeprzeć sąsiada,  
Rzeczpospolita potrzebę stanowi...  
Twarz słuchającej pani trochę biała.  
Może się myślom jawią purpurowi  
rycerze w ogniach przeciw mocom piekła...  
Lecz: „Niech prowadzi Bóg“ spokojnie rzekła.

Młodemu serce zabito, że dana  
radość przy takim ojeu mierzyć siły...  
I nagle cichość padła, jak gdy ściana  
trumny wybłyśnie nad skrajem mogiły.  
We zmierzchu zdaje się postać Hetmana  
rosnąć ogromna... Czy się już rozwiły  
u barków skrzydła, które tam doniosą,  
gdzie śmierć na spiekę życia spływa rosą?



Tak było cicho, a od błysków rojno  
w żółkiewskim zamku przed Cецorską wojną...



## II

wrześniowy, cichy dzień wszedł na niebiosą  
przejrzyście blade. Słońce zapłonęło  
słodczą spojrzeń jesiennych. Jak rosa  
światlista, albo świętej siejby dzieło,  
ziarna kruszone, z cudownego kłosa,  
leczą promienie. Powietrzem wstrząsnęło  
pocałowanie poranne; w błękicie  
wskrzeszone krótkie złotych godzin życie.

Chłód stał nad wodą. Powoli tumany  
jęły rozrzedzać się, topnieć; wyrzała  
przestrzeń, gościniec białawy i szklany,  
wiecznie idący, gdzie przepastna chwała  
chciwego morza... Ale już ze ściany  
lazarów promień budziciel i cała  
ulewa blasków łaskawych... Wspaniale  
zagrały w słońcu srebrne Dniestru fale.

Nad brzegiem obóz. Zwijają namioty:  
ruch; konie w drogę siodłać nakazano.  
Dokąd? Krąg słońca wznosił się, stoi złoty;  
w kwiat dnia rozkwita zamyślane rano.  
Gnane jak wichrem wielkim tehem tęsknoty,  
rycerstwo pójdzie w ziemię mało znaną,  
bo tu u Dniestru są Ojczyzny progi,  
a tam za Dniestrem...? I gdzież koniec drogi?

Obszar przed nimi się otworzy głuchy,  
który w głąb ciągnie, jak sądzona dola.  
Tam wiatr, powstając wśród traw zawieruchy,  
płaczem wypełnia przepaściste pola;  
z koczowisk Ordy lecą dzikie słuchy,  
a przestrzeń łąnów zdana w moc kąkola...  
Tam-li im ginąć...? Wiarę naprzód żenie  
z szumem piór orle Hetmana pragnienie.

„Niech Wasza Miłość to rozważyć raczy:  
w gardziel Turczyzna idziem, moc nie sprostą.  
W samotrzask idziem, pod obuch siepaczy!“  
Tak Kalinowski mówił, pan starosta  
z Kamieńca, kładąc całą rzecz inaczej,  
że niełża śpieszyć, sprawa dziś nie prosta;  
u granic wroga czekać jest roztropnie;  
że kto oględny, ten swojego dopnie.

Hetman na koniu stał w porannym wietrze,  
w koronie włosów srebrzystych. Rzekł zwolna:  
„Są szlaki losów szkarłatne i bledsze,  
jak Bóg przeznaczył... Ludzka dłoń niezdolna,  
barwy nie zmieni, jeno chwałę zetrze...  
Błogostawiona mi służba mozołna,  
pokąd z miłości... Nie śpi duch skrzydlaty...  
Rzeczpospolitej dolą — brać szkarłaty...

„Jużem do króla to napisał w liście:  
gdy dzieło trudne, niełża stać w połowie.  
Nie będziem czekać, jako kłosów kiście,  
aż sierp nadejdzie... Piersią oddech łowię;  
w żyłach krew zagra, jak drzewiej, ogniście:  
ruszyc w bój! Flukta przeleca orłowie.“  
Tu się do gońca zwrócił, list oddawa.  
Skinął na wiarę: zaczęta przeprawa.



Czyś zoczył, wodzu, skroś powietrze szklane,  
 wreszcie ścielone ci bojowe łoże?  
 Szaty weselne, z kropel krwi utkane,  
 szczęście, co tęskność serca zamknąć może?  
 Widzisz radosną Galilejską Kanę?  
 Błyska żywota owoc w pełnym zbiorze,  
 i rozświetliła się przesłódką zjawą  
 „Mori pro Patria“... Któż ma większe prawo?

Kto nad Cię godzien? Ale od wybrzeży  
 onego szczęścia jeszcze-ć dzieli trad.  
 Głęboka męka tu wpośrodku leży;  
 ciemne odmęty trzeba przebyć wbród;  
 królewską duszę umieć nieść w odzieży  
 bólu i — wstydu... Nie znasz spiekłych grad,  
 którymi hańba z ziemi bije w łono?  
 Poznasz, gdy-ć wszystko przetrwać osądzono.

Może przeczuwał. Znęgła twarz zbielała.  
 Taki niezmierny kielich spełnić do dna,  
 aby przez otechłań gorzką przedsię chwała  
 wzeszła zwycięska, już nazawsze płodna,  
 i błysła postać bólem zolbrzymiała,  
 dalekim wiekom widna i czcigodna...  
 Ogarnął sercem; chrobry duch przyzwoli.  
 I wszedł w głębinę otworzonej doli...

Patrzało słońce na wód jasnych piany,  
 gdy rumak płynął. Konie wplaw szły w rzędzie,  
 parskając. Indziej szerszy nart wezbrany,  
 pokryty łodzi szeregiem. Nie siędzie  
 żadna na fali zwrotnej, lecz do ściany  
 stromego brzegu idą z pluskiem. Wszędzie  
 pośpiech, lecz gwaru niema, cichość w rzeszy,  
 która tu w świetle może na śmierć śpieszy...

Przepadli w stepach. I cicho, i głucho,  
jakby już zgoła o nich wieść przepadła.  
W Żółkiewskim zamku dalekim z otuchą  
czekała pani, ale potem zbladła,  
i zda się, szepty jakieś tajne w ucho  
bierze, a w duszy powstają widziadła;  
krew, przed oczyma purpurowa chusta...  
Nie jękała, tylko drżą w modlitwie asta.

W ciemnym habicie zakonnym, jak wdowa,  
kłęczy; goreją wielkie, dumne oczy.  
Przyszły na pamięć te małżonka słowa:  
„Jeśli dam gardło, niechajcie roztoczy  
pogrzebnej pompy... Jeno szkarłatowa  
osłona trumnie, gdy w grobowiec kroczy...  
A nie dla chluby purpura osłania,  
lecz w znak szczęsnego mojej krwi wylania“...

Rzeczpospolita wielka jest. O morze  
szumiące wsparła się koronną głową;  
stopami sięga, gdzie w traw rozhoworze  
drugi szept morski z tamtym gra ehowo...  
Rzeczpospolita senna jest i zorze  
wieczystych swobód źrenicą duchową  
widzi, a nie wie, iż sen spłynie rosą  
krwi... i że wichry ciało w strzęp rozniosą...

W Rzeczpospolitej spokój... Wszak wysłała  
gwoli potrzebie najlepszego syna!  
ten ją zasłoni i z rąk jego chwała  
do stóp jej padnie... Więc imię wspomina  
ufna i, zda się, w bezpieczeństwie cała...  
A tam jest smętna Cecorska dolina  
i wśród okopów rycerstwo stłoczone,  
i wieher niezgód rozerwał obronę...



Gdy wpadli w stepy, to zrazu ochota  
grała we skrzydła u barków rycerzy,  
i szli, jak kiedy w przestrzeń lot swój miota  
orzeł, a drogi powietrznej nie mierzy.  
Lecz gdzie gospodar? i czemu żywota  
tehórzliwie szcędząc, nie ciągnie w odzież  
zbrojnej, z posiłkiem na potrzebę świętą?  
Wszakże za niego wojnę z Turkiem wszczęto.

Zmroczone strachem multańskie bojary  
zanikły w jarach, po kuszczach się kryją.  
Jest wieść o wojskach sultańskich bez miary  
licznych, więc tłumiąc dech, przywarli szyją  
do samej ziemi... I tak Hetman stary  
ujrzał się w polu, już w pomoc nieczyją  
nie ufający... Lecz skrzydeł nie kruszy  
i w cichej damie syci ogień duszy.

Drużynę wzrokiem ogarnął. Tam szpony  
jakoweś w sereach, bo zmiana na twarzy.  
Hospodar Gracjan, nareszcie zjawiony,  
niechętny, chyłkiem o ucieczce marzy;  
w szeregach szepty... A z dalekiej strony  
ściągnęły, kracząc, zastępy grabarzy;  
kruki w powietrzu błękit nieba śmiły;  
czują łup, wiedzą, gdzie wzrosną mogiły.

Straszno jest chadzać po ogromnym stepie  
bez wiary w wyjście... Co noc bliżej płoną  
tatarskie ognie, jak wpatrzone ślepie;  
co dnia drużynę, w pustkach zagubioną,  
ciaśniejsza obręcz zamyka i siepie  
dorywezy pocisk. Tatarską ochroną

poprzedzan, ciągnie groźny Skinder-basza;  
wojsk sto tysięcy... Przeciw nim garść lasza...

Aliści Hetman spokojny i wiedzą  
przedziwnych rzeczy zda się być okryty,  
jak płaszczem... W hełmie ciche ognie siedzą,  
cicho szeleści podmuch wzdętej kity;  
rycerstwo, za nim wbród stepową miedzą  
niesione, jakby miało pójść w błękity...  
Tak je podzwignął, że już zlekłych trzyma,  
że jeszcze idą w pędzie, w tehu olbrzyma.

I tak iść mogą, aż się chyba sami  
załamią wiary brakiem... W noc milczącą  
postać hetmańska konna nad wojskami  
wyrasta, sercom stając się obrońcą.  
I żadna trwoga czoła mu nie splami,  
i żadne cienie kształtów nie roztrąca;  
jest na ramionach, by płaszcz w mgle odwitej,  
dostojność losów Rzeczpospolitej...

Hetman wie... Wszakci nie darmo lat tyle  
w tej wielkiej księdze czytał, na jej kartę  
stawiając życie... Tajną wieść o sile,  
przez którą drogi Ojczyźnie otwarte,  
poznał; gadały doń błyskawic chwile,  
i płomienistą w nich odprawiał wartę;  
wie, co sądzono w przeznaczeń godzinie:  
piorun przeleci, ale podmuch — zginie.

Rzeczpospolitej dola nachylona  
wiecznie nad głębią, w której dziwne sprawy:  
niebezpieczeństwa ciąg i trud-korona,  
wieniec ku słońcu, w jego błyskach krwawy...



Więc się najwyższy życia czyn wykona,  
albo zniknięcie... A pośredniej sławy  
niemasz, ni drogi trzeciej między dwiema:  
w szczytowy ogień lub zgaśnięcie — niema!

Hej! bywaj, boju! Ceeorska dolino,  
jakiż stąd wieści w polski kraj popłyną...?



*(Dokończenie nastąpi).*

DR. ERNEST ŁUNIŃSKI.

SPISEK SMAGŁOWSKIEGO

A KSIĄŻĘ REICHSTADTU.

(Ciąg dalszy).



magłowski szedł w pochwyceniu firmy dla swego zbawczego dzieła za prądem ogólnym,—nie zastanawiał się nad rzeczywistością, bo jej znać nie mógł,—a zresztą była mu może obojętną. — Zamierzając uczynić pierwszy krok, musiał przedewszystkiem rozstrzygnąć, co ma mówić innym, i wyłowić z chaosu pomysłów jeden zasadniczy. Pożegnawszy się z niewolniczym naśladowaniem Cromwella, ulepił plan „przeszkodzenia“ namaszczeniu cesarza. W sali tronowej miała skryć się za obiciem secina młodzieży, uzbrojonej w pistolety, kindżały, garłacze, a drugie tyle winno było obsadzić wyjścia. Na dany znak otoczyliby zamaskowani związkowcy panującą rodzinę wraz z orszakiem i dygnitarzami zwartym pierścieniem z bronią, zwróconą na wewnątrz i zewnątrz koliska, poczem



jeden z malkontentów wystąpiłby z żądaniem restytucji zabranych krajów i zabezpieczenia ustaw wolnościowych. Wraz z odmową nastąpiłoby wypowiedzenie posłuszeństwa i ofiarowanie osieroconego berła księcia Reichstadta. Ten, poparty przez Austrię, wpadłby z Węgrami do Królestwa, aby z pomocą narodowego ruchu przyozdobić koroną swoje skronie. Na wypadek oporu należało wymordować obecnych w komnacie Rosjan, przedewszystkiem Nowosileowa, a z Polaków—generatów Krasieńskiego, Roźnieckiego i Haukego. Gdyby wszystko zawiodło, byłiby spiskowi zobowiązani do zatopienia w piersiach swoich sztyletów i polegnięcia na miejscu... „Żadnego zaś z członków familji najjaśniejszej—zeznawał potem Smagłowski—tknąć nie mieliśmy zamiaru, już to z przyczyny uniknięcia plamy dla narodu, który jeszcze na żadnego nie porwał się panującego, już to dla potwierdzenia tego, cośmy otrzymać chcieli, już to dla wydania tejże samej familji Rosjanom, którzy w podobnym przypadku pewnieby jej nie oszczędzali, już to nareszcie dla zabezpieczenia i pewnej gwarancji w ich własnych osobach...”<sup>1)</sup> Zamknął dziecinny, teatralny, i, jak go słusznie określił prokurator przy najwyższym sądzie kryminalnym, Pokłkowski, wiele „niedorzeczności, niepodobnych do wykonania“ obejmujący plan w samym sobie i przystąpił do wyszukania współników. W drugiej połowie marca 1829 r. pozyskał studenta teologii Aleksandra Jaślikowskiego i praw, Hieronima Bońkowskiego. Ten stał się powolnem narzędziem przedsięwzięcia. Smagłowski wmówił w niego istnienie tajnego stowarzyszenia pod nazwą „Wieniec“ i przynależenie do niego wielu pierwszorzędných osobistości. Do zawerbowanych przyłączyli się słuchacze różnych wy-

<sup>1)</sup> Archiwum Bernardyńskie. Relacja władz w Królestwie Polskiem, przesłana rządowi austriackiemu.

działów królewskiej wszechnicy, ściągnięci z poręki Bońkowskiego, mianowicie: Krotki Feliks, Brzozowski Wiktor, Kondycki Józef, Dłużniewski Antoni. Ze zwykłą sobie gadatliwością i sekciarskiem zacięciem wskrzeszał Smałowski przed nimi bitność dawnego rycerstwa, gorliwość w poświęcaniu się walecznych za dobrą sprawę ojczyzny, i zapytywał, czyli w nich gorze równie wielki płomień i tkwi równa miara zapala. Po otrzymaniu potwierdzenia, odeczytywał oderwany wyjątek z odezwy Kościuszki: „do ostatniej kropli krwi swobód narodowych broń gotowi będziem“ i dawał do zrozumienia, że Niemcewicz, przyjaciel naczelnika, był autorem manifestu, — a teraz zakulisowym działaczem i współnikiem spisku. Nikt nie odmawiał podpisu pod cytatem, poczem arcymistrz wydobywał modne przyrządy z swej rekwizytorni, mistyczne godła, aby zahypnotyzowanych kolegów przykuć z miejsca do zbawczego dzieła. Następowaly napomknienia o konieczności opancerzenia się ostrożnością, przeplatane słowiańskimi mrzonkami i perswazjami co do niezbędności szukania nowego wyjścia dla Polski i bratnich społeczeństw w zbliżającej się koronacji. Szczytowym punktem zebrań było zaprzysiężenie nowicjusza na trapię czasze, wykopanej z praskiego pobojuwiska, pokrytej nazwiskami sławnych mężów, jak Czarnieckiego, Chodkiewicza, Dąbrowskiego, ozdobionej słynnym wykrzykiem: *exoriatur aliquis ex ossibus nostris ultor*, ustawionej wśród sztyletu i kracyfiksu, w chwiejnych płomykach świec. Słowa pompatycznej rotę wypowiadał naprzód opatrznosciowy mąż klubu, złożonego z sześciu członków, — za nim dopiero świeżo wstępujący. Ułożona w „hieroglifach”, pismem „symbolicznym”, brzmiała: „W imię Boga, Ojczyzny i Wolności — W obliczu Wszechmocnego, zdrajców karzącego Boga, w obliczu tych za rodzinną ziemię poległych braci naszych szczytków, w obliczu nieba i ziemi,



my, tu na podpisie własnoręcznie wyrażeni, przysięgamy, że do ostatniej kropli krwi swobód ojezystych bronić będziemy, dla nich życie nasze i zdrowie poświęcimy, oraz przysięgamy, iż tej tajemnicy, która nam powierzona będzie, nie wydamy. Tak nam dopomóż wspierający ojczyznę naszą, Boże, i wy poległych za ojczyznę braci naszych szczątki, których się teraz nasze dotykają dłonie. W razie zaś, gdybym słowem lub uczynkiem miał „Wieniec” nasz zdradzić, wówczas niech mię nieszczęścia najdotkliwsze ogarną i niech od wszystkich nienawidzony stanę się łupem rozpaczy, niechaj mię każdy z naszych braci zabije, jako własnej matki, sióstr i braci zabójcę. Przysięgam...” Teraz dopiero wypijał nowy towarzysz wody z kubka i wygłaszał sentencję: „niech tak ta tajemnica w nas pozostanie, jak ta woda zniknie!”<sup>1)</sup>

U progu czynu hamletyzował Smagłowski, obawiał się nadania kształtów widziadłom, wylęgłym w klasztornej celi, rozprószonym między szczupłe grono naiwnych współuczniów. Otrzeźwiła go jawa i rozpostarła przed oczami trwogę o losy próby wypłynięcia na bystrą falę dziejową. Wśród wątpliwości nie życzył sobie spełnienia się „nie tyle planu, lecz sposobu jego wykonania”,<sup>2)</sup> — wstyd jednak nie pozwalał cofać się, zdobyć w obliczu młodzieży smutną sławę blagiera i Don Kichota, zrywającego się z motyką na słońce. Postawiony wobec konieczności wyznania prawdy, odstąpienia samowolnej roboty lub dalszego rozgmatwania pochwyconej w swoje dłonie nici

<sup>1)</sup> Archiwum Bernardyńskie. Akta. Przysięga ta kilkakrotnie spisana.

<sup>2)</sup> Przegląd Polski. Luty. 1909 r. Zeznanie Smagłowskiego w artykule Kraushara: „Spisek koronacyjny z r. 1829 w świetle prawdy historycznej”, Str. 253. Cytować będziemy nadal: „Spisek kor”. P. P.

wybrał z ambicji drugie, brnął dalej i „zagłębiał się” w robocie, nie wiedząc, dokąd wiedzie i na jakie podąży szlaki... W czasie pogawędki i budowania w zaufanem kole zamków na lodzie aż dymiło się od pomysłów!... Z ust Smagłowskiego padały słowa żalu z powodu zwichnięcia równowagi europejskiej przez wzrost Prus, lęku o losy ustaw zasadniczych Aleksandra i obrządku łacińskiego, który—jak twierdził—miano zastąpić prawosławną liturgją, a na wypadek oporu stanów zamienić Kongresówkę na zwykłą gubernję... Nie obeszło się oczywiście bez donosnych wszechsłowiańskich dźwięków, bez zespolenia Czech, Moraw, Polski, caratu i odkupienia ciężkich pomyłek Jagiełły i Zygmunta III! Oszołomieni dużym hukiem, pociągnięci przysmakiem spiskowym do warsztatu Smagłowskiego,—wyzwalali się następnie młodzieńcy z uroków tajemnicy i słuchali pierwszych szeptów rozsądku. Ten i ów, czy Bońkowski, czy Krotki, podrzucali ramionami i wyrażali wątpliwość, aby ich rówieśnik bez wpływów mógł brać na barki ciężar gigantycznego zadania i uwieńczyć je pożądanym wynikiem. Celem zatrzymania niewinnych w karbach posłuszeństwa i przepojenia ich wiarą w doniosłość posłannictwa, nadawał Smagłowski akeji pozory szeroko zatoczonych kręggów, zastaniał się szeregiem głośnych ludzi, siebie przedstawiał jako mandatarjusza powag, wykonawcę woli najgórnieszych, zatem poniekąd kraju. Zapewniał tedy, że za nim stał Chłopicki, że Julian Ursyn Niemcewicz objął przewodnictwo stowarzyszenia, liczni zaś senatorowie zgłosili przystąpienie, że siedemnaście piwnie napełniono bronią, a wojsko polskie i litewskie czekało hasła!... Dość mu było poznać u rodziny Kayserów hr. Romana Sołtyka, zasłużonego w kampanjach napoleońskich oficera i autora, aby fanfaronować zagarnięciem i jego osoby do spiskowych zamierzeń! Sporządził też na pokaz list do generała Wincentego Kraszińskiego z we-



zwaniem, aby przez połączenie się z nim odzyskał czystą, na razie skażoną sławę, i kasztelana Bienkowskiego z żądaniem pieniężnego poparcia wykluwającego się dzieła ocalenia ojezyny... Na tym miano nawet dokonać wymuszenia postrachem rewolwerów i sztyletów! Bardzo łatwo można było znaleźć się na liście Smagłowskiego! Wystarczyła popularność, przypadkowe zetknięcie, chime-ra, czy ślepy traf... Tak Chłopickiego nie widział nigdy, o Bienkowskim wiedział z rozmów w drukarni pijarskiej! Operując fałszami, opowiadając klubistom wyssane z palca wydarzenia, zamącił tak pojęcia, że nikt nie wiedział, o co chodzi, i każdy przerabiał szczegóły po swojemu. Ani ładu, ani składu, ani linii wytkniętej nie było w tem postępowaniu. Zaplątawszy się w oczka własnej sieci, zdał się na łaskę Opatrzności, czekał, czy zajście, dasz-one w środowisku studenckim, wyrwie się na świat, czy zagaśnie w ciasnym zakresie. „Chciałem zacząć, pewnym będąc, że inni dokończą“,... tłumaczył się i usprawiedli-wiał zarazem. W tajnej policji zyskał zaufanego człowieka, miano go ostrzec na dobę przed groźącym niebezpie-czeństwem <sup>1)</sup>.

Nie dojrzał owoc na drzewie poznania Smagłowskie-go, nie zarumienił się nawet pierwszym letnim blaskiem, gdy sięgnęła po niego ręka sprawiedliwości.

Feliks Krotki, posądzając swego arcymistrza o zdra-dę stanu i ciągle słysząc o Niemcewiczu, jako ukrytej głowie stowarzyszenia,—poszedł do sędziwego autora i bez ogródek wypowiedział się z tajemnicy. Poeta ofuknął nie-doszłego spiskowca, roztoczył obraz groźnych następstw i rzekł:

---

<sup>1)</sup> Arch. Bernardyńskie. Głównie protokoły nadesłane z War-szawy władzom austriackim.

— Dzieci moje, łudzą was. Pamiętajcie, że Szaniawski śledzi młodzież. Kleryk, który wam tę propozycję uczynił, jest zdrajcą lub też fagasem Szaniawskiego... <sup>1)</sup>.

Nadto, nie mogąc uspokoić się i zażegnać podrażnień sumienia, doniósł natychmiast o wszystkim ministrowi policji Mostowskiemu i rektorowi królewskiego uniwersytetu Szweykowskiemu. W oczach związkowych stanął błady strach. Zgłaszali się kolejno do Smagłowskiego i żądali zniszczenia podpisów swoich pod przysięgą, — co też stało się. Chmura podejrzeń spadła na twórcę ztego... Daremnie bronił się przed kolegami, daremnie wypierał łączności z figurami urzędowymi, daremnie dla stwierdzenia szczerości układał wobec Bońkowskiego listy do Romana Sołtyka! Osad niedowierzania pozostał, na stradzoną konspiracyjną myślą głowę kleryka waliła się ciężka odpowiedzialność. Wzywany do badania to przez Mostowskiego, to Szweykowskiego, zachowywał się powściągliwie, zeznawał według poprzedniej umowy z współpracownikami, aby utrzymać zgodną treść i uniemożliwić sprzeczności. Głosił się tedy duchowym ojcem zamierzenia, odsuwał od drugich obciążające momenta, skupiał w sobie i na sobie wagę rzeczy i winy, męskim postępowaniem ułatwił biegłemu w śledztwach rektorowi wyjście i zamykanie obrachunku bez wielkiego rozgłosu i rozdęcia błahostki do znaczenia politycznej zbrodni <sup>2)</sup>. Nie wyparł się zatem odczytania wyjątku z odezwy Kościuszki, ale twierdził, że jego sens wymierzony był przeciw Au-

<sup>1)</sup> Spisek kor. P. P. Luty 1909 r. Str. 266.

<sup>2)</sup> Wszyscy wezwani przed władze umówili się zeznawać, — że zebranie odbyło się 5 kwietnia podczas imienin Smagłowskiego, — i że w stanie „nieprzytomnym czynili, czego zażądał solenizant”, wyjaśniał Smagłowski podczas przesłuchania w lwowskiej policji, 20 sierpnia 1830 r. Arch. Bernardyńskie.



strji, jako mocarstwu, które nosiło się z zamiarem „przeszkodzenia koronacji“, — wobec czego, on, człowiek legalny, patriota, chciał skierować opinię do oparcia się wie-deńskim zakusom... Sam, aczkolwiek obcy poddany, nie śnił o burzeniu istniejącego porządku, owszem dał wyraz wdzięczności wskrzesicielowi Królestwa przez napisanie bohaterskiego poematu „Aleksandryda“, pień na cześć cieniów zgasłego imperatora. Przysięgi żadnej nie odbierał, — a podpisy pod słowami naczelnika ściągnął w stanie nietrzeźwym i zniszczył natychmiast po oprzytomnieniu. Rzeczywiście, skutkiem wzajemnego porozumienia nie poślizgnęła się nikomu w śledztwie noga. Bońkowski i Brzozowski nie pamiętali nie ze względu na upojenie trunkiem, Kondycki i Jaślikowski uważali podpisy za żart, zresztą o niczem nie wiedzieli, Krotki opowiedział o wyprawie do Niemcewicza i nie zepsuł najmniejszym falsetem z góry wypróbowanego tonu... Odetchnął z pewnością Szweykowski, przedstawiając protokoły radzie uniwersyteckiej. Na posiedzeniu szanownej korporacji, w której składzie znaleźli się Bandtke, Bentkowski i Brodziński, zapadł wyrok dnia 7 maja 1829 roku. Stwierdził on brak złego zamiaru w działaniu podsądnych, natychmiastową skruchę, chęć naprawy niedorzeczności, powstrzymanie się od propagandy, poprzestanie na jednej schadzce i ocenił zajęcie jako „nieroztropny czyn“, — sprzeczny z ustawami wszechnicy. Wobec jawnie łagodzących okoliczności skazano oskarżonych na sześć dni aresztu, z obostrzeniem trzech i postawienie ich pod szczególny nadzór aż do stwierdzenia nienagannego sprawowania. Sroższa kara dotknęła Smagłowskiego. Chociaż dotąd — jak opiewało orzeczenie — był bez zarzutu i nawet w obecnym wypadku nie zgrzeszył złym zamiarem, okazał się przeciw „prowokatorem do przestępstwa“ i dlatego ferowano nań „relegację cichą“ z murów zakładu. Ogromnie gładko przy-

cichła burza w szklance wody, wszyscy wykręcili się sianiem i właściwie nikt nie stracił włosa z głowy. Po kilku dniach niedokuczliwego, uczniowskiego karcera, mogli młodzieńcy znowu usiąść na ławach studenckich, osłonięci aureolą niedopowiedzeń, z wieńcem tanio nabytych cieniów na skroniach, a Smągłowskiemu przysługiwało prawo wrócić weześniej czy później w ich grono na podstawie owej cichości wykluczenia, polegającego na dobrowolnym ustąpieniu. Temida Nowosilcowa, wężąca na prawo i lewo, budująca na niczem gmachy oskarżeń, zachowywała się dziwnie martwo wobec bajek uczniowskich i widocznego zabarwienia zeznań... Twarda konieczność nakazywała przymknąć powieki i postąpić z rozczulającą miękkością. Nie chciano mącić blizkich uroczystości koronacyjnych i marszczyć pogodnego nastroju brózdami rozdźwięku. Trudno, niepodobnym wprost było ślać drogę monarsze w Warszawie wyrokami, potępiającymi nie-dorostków. „Pan senator” wolał zgryźć raczej mały orzeszek,—niż rozmazywać w niewłaściwej chwili błahostkę... Szweykowski odegrał rolę deski ratunkowej ku ogólnemu zadowoleniu. Pomagał mu Lubowidzki, który „prawdzwie w tej mierze po obywatelsku postąpił“<sup>1)</sup>. Najsilniejsze stosunkowo ciągi dostały się niefortunnemu Smągłowskiemu ze strony wcale nie urzędowej, bo od przełożonych władz duchownych: utracił pobory, jako członek kongregacji i nauczyciel, a nadto musiał przecierpieć dwa tygodnie w więzieniu klasztorzem.

Po wydostaniu się na wolność czuł pogardliwe spojrzienia i miazdzące podejrzenia, że służył za narzędzie Szaniawskiemu lub spełnił prowokacyjne posłannictwo, aby wspólników wkopać w otchłań zgaby i dostarczyć

<sup>1)</sup> Akta śledztwa uniwersyteckiego odesłano też do Lwowa. Archiwum Bernardyńskie. Dowody do akt komisji śledczej i t. d. Vol. III. fol.



działaczom w rodzaju Roźnieckiego jaskrawego materiału. Domysły wzmacniały się, sensacja zyskała nowy żer po rozejściu się wiadomości, że udzielał lekcji Goreekiemu, wnukowi agenta tajnej policji. Napiętnowany przez opinię, stracił grunt pod nogami i sposób zarobkowania w sferach obywatelskich; odwracali się do niego plecami bracia zakonni, zawstyżeni pohańbieniem całego zgromadzenia. Straszna rozterka i burza dachowa powaliły go na łożo boleści. Pokrzepiwszy się nieco, wpadł nanowo w rozstrój, pragnął dla zduszenia robaka zgryzoty rzucić się w rozpieniony wir użycia, albo popełnić samobójstwo. Paliła go przedewszystkiem żądza oczyszczenia się przed Sołtykiem i w tym celu daremnie usiłował nakreślić „plan postępowania“ doręczyć hrabiemu przez panny Kayser. Na domiar niedoli odwiedziła go, zbiedzonego, matka i z przerażeniem dostrzegła rozpacz na twarzy syna. Ukłękł przed nią i, zalewając się łzami, błagał o przebaczenie, — a w rzeczywistości myślał o łasce wiekuiestej, płynącej od tronu Wszechmoenego. Stanął nad brzegiem przepaści i postanowił przeciąć pasmo mąk... Z objęć śmierci wyrwał go ojciec Andraszek, zjawiwszy się w samą porę. Tarzał się przed nim w prochu i pod pieczęcią spowiedzi odstąpił prawdę. Ten, wysłuchawszy wyznania, rzekł z namaszczeniem: „Powie ci tylko, że jeżeli popełnisz samobójstwo, nie zwyciężysz przeciwności, lecz one cię zwyciężą“. Wzniosłe słowa ocauciły osłabionego. Zerwał się i wyrzucił fiaskę z trucizną za okno...<sup>1)</sup>. Opatrzność nie opuściła go osamotnionego: dostał lekcje w domu państwa Łabędzkich, we wsi Trąbkach, dwie mile od Kutna, za zaliczeniem z góry trzechmiesięcznej pensji i, uszczęśliwiony możliwością umknienia z niewygodnego środowiska, — opuścił w połowie lipca Warszawę. Zawitał do

<sup>1)</sup> Spisek koronacyjny. P. P. L. c. Str. 273—274.

rewizji w Trąbkach. Jako powód „przeszkodzenia koronacji“ i chęci wymuszenia na monarsze pewnych warunków, podawał obawę o pominięcie przy ceremonii starodawnych, tradycją uświęconych zwyczajów, zwłaszcza namaszczenia arcybiskupiego, prześladowanie działaczy politycznych i cierpienia brata. Wyłącznie na siebie wziął autorstwo pomysłu, wyparł się wszelkiej gromadnej, rozgałęzionej roboty, kurezył przedsięwzięcie do twora wyobraźni, który nigdy nie miał zejść na grunt rzeczywisty. Podzieliwszy się z kilku kolegami projektem, nie cofnął się ze wstydu, rozpoczął organizację bez przygotowania, przypadkowo, w czasie zabawy. „Tak więc — tłumaczył — ponieważ w zasadzie chciałem mieć towarzysza (Bońkowskiego), by móc z nim gawędzić, przystąpiłem do działania, a gdy ono było jedynie osobistem, stąd poszło, że postępowanie moje komentowano w sposób wysoce mnie obrażający. Nie dziwnego przeto, że dla odparcia zarzutu i wyjaśnienia prawdy przed kimś, uciekłem się do obrony, w której oprócz wynurzeń nieprawdopodobnych nawet w setnej ich części, wspomniałem o rzeczach, którym sam nie wierzyłem“. Wierny metodzie obrończej przedstawił gienezę sprawy: „skądinąd nie życzyłem sobie urzeczywistnienia nie tyle projektu lub planu, lecz sposobu jego wykonania. Cóż więc miałem uczynić? Należało albo wyznać przed Bońkowskim, że wszystko to jest wykonywane, lub też zagłębić się w tem jeszcze silniej. Pierwszego nie dopuszczała ambicja, a bardziej intencje moje względem kraju; w drugim wypadku też same pobudki nakazywały mi zabrać się do dzieła“ <sup>1)</sup>. Było w tych dla Belwederu spisanych wynurzeniach, zaopatrzonych w dziwne zapewnienia „uszanowania i posłuszeństwa niezłomnego“, odkrycie psychologicznych wahań i naiwności, —

<sup>1)</sup> Spisek kor. P. P. Luty. Str. 253, 266.



„wiele niedorzeczności niepodobnych do wykonania“ uderzało w oczy i obnażało niezgrabność zamiaru. Nowosilew nie chciał wierzyć, aby Smagłowski był początkiem i końcem zamierzenia, a nie figurantem, nastawionym przez zakulisowe siły. Daremnie skłaniał więźnia do szczerości i odkryć, obiecując przez Lubowidzkiego katedrę uniwersytecką. Sprawa oparła się o cesarza. W wykonaniu woli monarszej wezwał minister—sekretarz stanu Radę administracyjną Królestwa dnia 21 maja 1830 r., aby z „uczniami do sprawy towarzystwa tajnego postąpiła sobie w drodze dyscyplinarnej według przepisów policji szkolnej“. Wobec tego przekazano śledztwo przeciw uczestnikom „Wieńca“ nowo mianowanemu kuratorowi wszechnicy, hr. Fredrze <sup>1)</sup>; Smagłowskiego zaś poleciła rządowa komisja sprawiedliwości, rozporządzeniem z 21 lipca na ręce wice-prezydenta policji, Lubowidzkiego, wydać jako obcego poddanego władzom austriackim, aby się przekonały, jak „niespokojnym i niebezpiecznym“ jest człowiekiem...<sup>2)</sup> Władze miejskie zwróciły się do br. Oechsnera, generalnego konsula austriackiego w Warszawie, niegdyś rezydenta wiedeńskiego w Rzeczypospolitej krakowskiej. „Z przedstawionych mi równocześnie bardzo niepełnych wyciągów z dotyczących aktów śledczych—relacjonował Metternichowi—przekonałem się, że Smagłowski musiał być albo umyślowo chorym, albo podjął się roli agenta prowokacyjnego, przypuszczenie, wzmożone łagodnością postępowania względem niego“. Raport pohnął do kanclerza jedynie w obawie, że bieżące wypadki „mo-

<sup>1)</sup> Bieliński Józef: Królewski uniwersytet warszawski. Warszawa 1907. Str. 280 — 283. Wiadomości podane tu na podstawie aktów uniwersyteckich nie są krytycznie oświetlone.

<sup>2)</sup> Arch. Bernardyńskie. Załączony rozkaz odstawienia do granicy.

głyby nadać rzekomemu przysiężeniu łątwo większe znaczenie, niż na to zasługuje“. O zajściu powiadomił niezwłocznie władze krajowe we Lwowie i poczynił zarządzenia co do wzięcia pod czujną straż eks-kleryka z chwilą dostawienia go do galicyjskiej granicy <sup>1)</sup>.

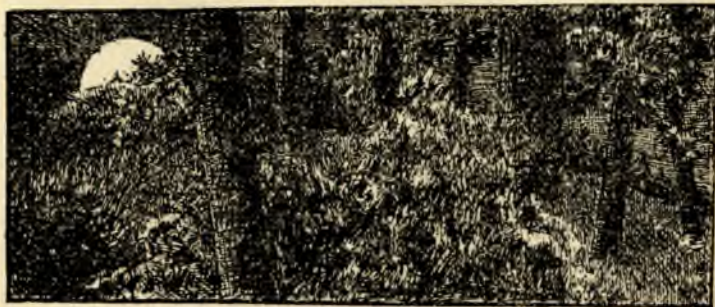
*(Ciąg dalszy nastąpi).*



AnTab.

<sup>1)</sup> Arch. dworu i państwa w Wiedniu. Konsulate. Berichte aus Warschau. Oechsner do Metternicha. 16 września, 1830 r.





CHADZAJĄ BOREM SZUMY, GŁOSY...

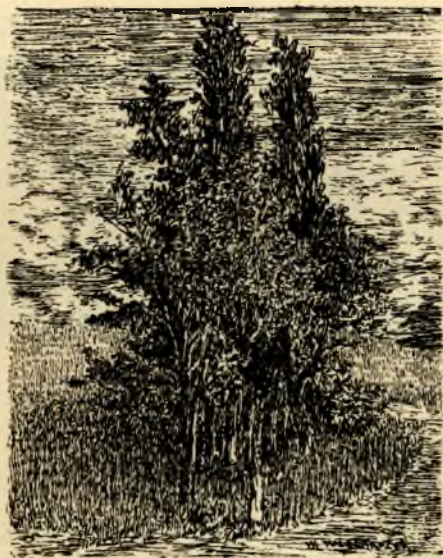
*Chadzają borem szumy, głosy,  
Po mchach stąpają, po sośninie,  
Łzy na przekwitłe sięją wrzosa,  
Których opadłe kwiecie ginie,  
A ślady lud zaciera bosy —  
Chadzają borem szumy, głosy...*

*Chadzają borem szłochy, płacze,  
Brzośz alejami srebrzystymi,  
Samotne, błędne i tulacze,  
Jakby z ojczystej gnane ziemi,  
Która za nimi wiecznie płacze —  
Chadzają borem szłochy, płacze...*

*Chadzają borem skargi, jęki,  
Jakby olbrzyma, to znów karła,  
Głuche, odwieczne echa męki,  
Co tu królestwo rozpostarta,  
Dzielo szatańskiej, mściwej ręki —  
Chadzają borem skargi, jęki...*

*Chadzają borem zwotywania,  
Jakby uspiionych warg westchnienia,  
Choć noc je kirem przyostania  
I księżyc trupio opromienia,  
Zagrzmia chóralnie w dni zarania —  
Chadzają borem zwotywania...*

WIKTOR DZIERŻANOWSKI.







# JAKLIŚĆ JESIENNY

POWIEŚĆ

przez

WACŁAWA SIEROSZEWSKIEGO.

IV.

Obudził się Różycki, zlany potem, w objęciach swojej walizki. Wszyscy już wstali, już słyhać było szmer rozmów i śmiech w jadalni. Przez iluminator wpadał co chwila i skakał swawolnie po ścianach i suficie odbłask morskiego szmaragdu, wyzłoczonego słońcem.

— Śpiesz się pan! Zaraz podadzą śniadanie! — zawołał zdoła człowiek-ljana i znikł.

Na pustych przyezach leżała pozwijana pościel, węzełki, torby, kuferki. Ludzi nie było. Jedyne „piegas“ bez kołdry i bielizny spoczywał w snopie światła, bijącego z okrągłego okienka, i chrapał jak miech.

Slinks.

14

Śniadanie okazało się nie lepszem od wczorajszej kolacji. Pasażerowie posępnie przycichli. Obie znajome kiwnęły uprzejmie głowami Różykiemu, gdy wszedł do jadalni. Siedzieli przy osobnym stoliku i „monsieur Torchon”, jak zgodnie przewalili pasażerowie bufetowego, obsługiwał je ze szczególną galanterją.

Przed „rudą” znova stała butelka wina. Kate paliła, jak wczoraj, papieros za papierosem, a smutne jej oczy bładziły obojętnie po wnętrzu kajaty. Człowiek-ljana usiłował znaleźć się w ich promieniu, robił zabawne miny i przeginał się cudacznie. Z sypialni wyłonił się na ostatku i „piegas” w dziwacznym, jaskrawo pstrem nasładownie wie szlafroka, narzuconego wprost na bieliznę. Powitano go złośliwym szmerem, ale on nie zwrócił nań uwagi, siadł bez ceremonji na miejscu Różyckiego pod oknem a „monsieur Torchon” podał mu niezwłocznie zachowany dlań w bufecie początek śniadania.

Tym razem niewielu pasażerów zjadło zapę, gdyż było zbyt widno.

Różycki wyciągnął po śniadaniu z worka swój podróżny imbryczek i udał się na pokład z zamiarem zdobycia akropu bez udziału i wiedzy „pana Torchon”.

Na pokładzie panował zadach piekielny i ciasnota. Miejsca wolne od towarów i przyrządów żeglarskich gęsto zasnali ludzie. Przecisnąć się było trudno. Siedzieli, leżeli, stali, razem i osobno Chińczycy, Indusi, Anamici, Ngrzy... Brązowi, żółci jak cytryna, czarni jak heban, czekoladowi, lub miedziani... Nadzy, półnaczy, w łachmanach i w jedwabiach... Przeważnie mężczyźni, ale były i kobiety... Chinki w maluchnych jak skrzydła kolibrze kaftanikach haftowanych, w obszernych jak duże spódnice szarawarach, z pod których migały mikroskopijne stopki... Drobne Japonki, przewiązane w pasie szerokimi, barwne-



mi „obi”... Kształtne Malajki, owinięte, niby mgłą, przejrzystą gazą różową lub żółtą...

Różycki z trudem przedarł się, wszedł po schodach z lewej strony na pomost środkowy. Tam jeszcze goręcej. Schwycił go za gardło nieznośny odór kurnika, ogłuszył niemilknący świegot ptactwa. Zaciekawiony wstąpił po drodze w wąską dlicę klatek, stojących jedne na drugich aż po dach z żaglowego płótna. Pełno w nich było ptasząt złotych, zielonych, żółtych i rubinowych, szarych i błękitnych. A było ich tak wiele i siedziały tak ciasno, że wprost mieniły się w oczach od barw, trzepotu skrzydełek i nieustającego ruchu. Skakały po swoich więzieniach i ćwierkały żałośnie, albo omdlałe, z rozwartymi dziobami, z nastroszonymi piórkami siedziały nieruchomo na grządkach. A były i takie, co pokładły się piersiami na pręcikach krat i wysunęły łebki i dzioby jak najdalej na wolne powietrze!.. Dusiły się, serca im trzepotały tak mocno, że puchy na piersiach i gardziółkach falowały, jak suche listowie w czas burzy... Dwóch Chińczyków doglądało tego skrzydlatego roju, zawieszało mokremi szmatami od słońca, podsuwało im wodę i jadło. Pot lał się strugami z wygolonych łbów opiekunów, lecz mimo to nie nadążali ratować swych wychowanków i raz wraz musieli wyciągać z więzień biedne stworzonka z oczami zasłanymi bielmem konania.

— Aha, oto skąd biorą się owe smaczne świeże ptaszki pieczone, podawane na bułeczce ze słoninką na pełnym morzu, którymi mnie tylekroć raczono w klasach... uprzywilejowanych! — pomyślał Różycki i spojrział ze smutkiem na taflę błękitu, widniejącą na końcu kurnika.

Spytał Chińczyków, skąd są, ale ci z uśmiechem machali nań ręką, aby szedł sobie dalej.

Wąziutkiem przejściem między klatkami a balustradą przedostał się na korytarz kuchenny i zajrzał do samego

„sanctuarium”, gdzie od błyszczących miedzianych kotłów i rur, od stalowych płyt i mosiężnych kranów bił taki znój, że w porównaniu z nim upalne powiewy morza Chińskiego wydawały się chłodnym zefirem.

Jegomość z bródką, przyszczyżoną „à la Henri IV”, ubrany li tylko w biały fartuch i biały kołpak, zmierzył intruza surowym wzrokiem. Różycki, nie dowierzając swej francuzczyźnie, pokazał mu w milezeniu imbryk i podał parę centimów na otwartej dłoni.

— Nont! — mruknął zimno dostojnik.

— Nnon! — powtórzył bardziej stanowczo, widząc, że intruz nie rusza się z miejsca.

Stojące poza nim w miedzianem piekle inne postacie, równie nago-białe, mrugnęły znacząco Różykiem i kiwnęły wesoło w stronę wyjścia. Nie rozumiał, co to znaczy, ale cofnął się. W półciemnym korytarzyku niedostrzeżona poprzednio kupka łachmanów chwyciła go za nogę. Poznał w niej nie bez trudu istotę ludzką, dojrzał opuchłą twarz zbójcejką i wielki błyszczący nóż w ręku... Na szczęście osobnik używał go do obierania kartofli... Pełne wiadderko stało tuż obok.

— Poczekaj pan! — rzekł ochrypłym „pigginem” — Zaraz wyjdzie i da pana... A potem będą pana sam przynosił... Nie wolno dawać pasażerom akropu!..

— Cóż u licha wolno? Nawet herbaty napić się nie wolno!

— Panie, tu „republika“, tu nie nie wolno!

— A pan skąd?

— Ja... z Odessy!

— Z Odesy? Więc pan Rosjanin? — spytał Różycki po rosyjsku.

Nędzarcz kiwnął głową.

— Psst! Już idzie! — ostrzegł przyciszonym głosem.



Zjawił się biało-nagi kuczek, chwycił centymy wraz z imbrykiem, znikł w sąsiednich drzwiach, skąd następnie z wesołą francuską energją wyrzucił momentalnie to naczynie dymiące i pełne wrzątku.

— Uciekaj pani!—szepnął serdecznie łachmaniarz.—  
Schwytają, zapłacimy karę, a mnie... wypędzą!

Rozbawiony Różycki mężnie cofał się powolnym krokiem.

Monsieur Torchon ogromnie się zaniepokoił pojawieniem się imbryka ukropu, jaszczureczym wzrokiem śledził proces zaparzania herbaty i rozstawiania na stole zapasów, ale zaciepić Różyckiego nie śmiał.

— Nie tak nie gasi w skwar pragnienia, jak szklanka gorącej herbaty. Czy nie zechce pan spróbować?—proponuje uprzejmie Różycki siedzącemu w pobliżu człowiekowi-ljanie. Ten zerka ostrożnie w stronę bufetowego i dziękuje grzecznie.

Po herbacie humor Różyckiego odrazu się poprawił. Wyciągnął „Kima“ i poszedł kiejfować na dziób parostatku. Tam najchętniej, tam widok najrozleglejszy, tam pęd statku zwiewa czad węgla i przepalonego oleju maszyn, spędza precz nieznośny fetor ścieśnionego motłochu ludzkiego—tam pachnie jedynie morze, oddychają głębokimi falami słone, rozgrzane wody!

Ale na sam dziób nie puścił go stojący na warcie marynarz, musiał szukać wolnego kąta wśród skrzyń i koszów.

Znalazł wreszcie wązką niszę, raczej szparę między pakami i, upewniwszy się, że gwoździe z desek wystają umiarkowanie, usiadł z rozwartą książką.

Nie mógł jednak czytać.

Przeszkadzała mu cudny poranek. Przeszkadzała mu lazuruwa bezdeń, kołysząca się cichym poruchem. Przeszkadzały mu iskry srebrne latających rybek, raz wraz

pryskające z wodnych szmaragdów. Przeszkadzały czarne loki dymów parowca, co przewite siną parą, kręte i porwane, długo tłukły się nad białym, wzburzonym śladem statku. Przeszkadzał bezmiar powietrza i wody, wciąż ten sam a wciąż inny, zmieniający się nieuchwytnie co chwila, co mgnienie oka, różny w poszumie fal, w kształtach obłoków, w połyskach i cieniach falujących roztoczy. Unosiły się one i opadały w ogromnych przyptywach miarowych i spokojnych, jak oddech wypoczywającej piersi, a tak potężnych, że dźwigały, niby leciuchną, zwierzechnią obłokę, przelewne pagórki rozkołysanej chełbi z ruchliwą siecią lśniących żył i zmarszczek, z bezbrzeżem łuszczastej świerzy, gdzie w mierzehliwych rojach szafirowych wgłębień skrzył się taman słonecznego blasku.

A biały parowiec huśtał się na nich i ślizgał, jak porzucony samotnie kwiat. A smuga dymu i nici perłowych pian wlokły się za nim jak łodygi...

Myśli niejasne, uczucia bezkresne, jak przepastne błękity, w których stapało się morze i niebo, tęsknota słodka, promienna i bezcelowa, jak droga srebrnych chmurerek, wędrujących nad wodami—obezwładniły nagle Różyckiego. Rękę z książką opuścił, przymknął oczy i głowę w tył odchylił, podstawiając ją pod muskanie wietrzyka.

Wyglądziły się zmarszczki na jego przedweześnie postarzałej twarzy, uśmiech wygiął mu dobre, krwiste wargi.

Nawet najskromniejsi ludzie mają chwile marzeń.

Marzył więc Różycki, że znalazł na ziemi kąt cichy, spokojny, gdzie bez troski o dzień jutrzejszy będzie mógł uporządkować swoje notatki i ułożyć z nich księgę, jedyne dzieło w swoim rodzaju, które wstrząśnie światem, porazi sereach możliwych, okrutnych i obojętnych... Opowie w niej o poznanych przez się ludach ubogich, ciemnych, dzikich, wymierających; o plemionach pokrzywdzonych, deptanych i wyzyskiwanych bezlitośnie przez społecznych korsarzy



kupeców i urzędników; o plemionach, nie umiejących i nie śmiących skarżyć się nikomu, konających w miłczeniu w cieniu swych lasów, w tajnikach puszczy, jak śmiertelnie ranione zwierzęta...

Ogniste głoski tej księgi płonęły przed Różyckim, jak smolne pochodnie, grzmiąły mu w uszach napomnienia i groźby, rzucane panom świata, układał wzruszające wyrzuty i skargi do obojętnych lub nieświadomych... Był pewny, że zwycięży, byle tylko chcieli go słuchać..

Ba, mała rzecz! Robak zwątpienia i zgryzoty, który żył w nim wiecznie, poruszył się. Wstawały przed nim tysiączne przeszkody, budziły się wspomnienia całego łańcucha niepowodzeń... Nie, stanowczo nie takiego on nigdy nie napisze i nie nie zrobi! Prześladowa go coś, co w niwecz obraca najlepsze jego wysiłki... Przypominał sobie sceny okrutne, okropne, wołające o pomstę do nieba, których musiał być świadkiem bezsilnym, a na których wspomnienie serce jego napełniało się zawsze palącemi łzami; przypominał sobie wybuchy jałowego gniewu...

— O nie, nie jestem jeszcze ostatecznym nędznikiem!..

Zamknął oczy i, wsparłszy głowę na kancie koszyka, dumiał długo, aż gorzki uśmiech wykrzywił mu wargi.

— Gdyby... gdyby choć... zobaczyć... Indje!

Nagle wydało mu się, że ktoś stanął między nim i blaskiem morza.

Otworzył oczy. Była to Kate — sama, bez zarzutki i kapelusza, a nawet... bez parasolki. Oparła się łokciami o burtę, przewiesiła nieledwie całą swą zgrabną, młodą figurę przez krawędź galerji i zapatrzyła się nieruchomo w morskie odmęty. Twarz miała smutną, jakby skamieniałą. Oho! czyżby myślała o samobójstwie? Różycki wyprostował się i wysunął cokolwiek ze swego ukrycia.

— Na statku dawał się czuć pewien ruch. Na kapitańskim mostku pojawił się sam „père comandeur“. Na galerję pierwszego piętra wyległ tłum jasno ubranych

panów i pań. Wszyscy kierują oczy, nosy, lornetki i lornety w jedną stronę...

— Formozal! Formozal!.. biegnie szmer po parowcu. Nawet kolorowi ludzie z pokładu trzeciej klasy garną się ku burtom.

W perłowej dali wypływają jasne, widmowe rzędy przesłonecznionych skał, niby kłęby zsiadłych obłoków.

Parowiec dyszy przyśpieszonym rytmem.

Skały rosną, zbliżają się. Coraz wyraźniej występują na wiszorach wyłoczone słońcem żyłki żeber i gzemów, obrzeżające błękitne zacienia wąwozów i żlebów. Coraz ostrzej odżyna się zębata linja ich szczytów na lazurze nieba. Już widać dom strażnicy morskiej, bielejącej w urwistym wnęku, przykrytym płowym cieniem. Powyżej na wierzchu opoki strzelała śmigła iglica latarni. W dole, pod nimi, w małej zatoce, gdzie cicho umierają rozszalałe na rafach bałwany, gdzie piany ich płasko rozlewają się na żółtej ławicy piaseczystej, śpi w słońcu szara wiosczyna...

Trzoda łodzi rybackich z kończastymi żaglami dąży ku brzegowi, pokładając na falach odmy swych płócien...

Cudna samotnia!

Chciał powstać, aby jej z oczu nie stracić.

Wtem wydało mu się, że ktoś płacze w pobliżu. Doprawdy płaczel!.. Ach, to ta pani... to Kate! Schowała twarz w dłoniach...

Różycki cofnął się w głąb swej nyży, ale oka z płaczącej nie spuszczał.

Wtem powiał wiatr od Chin, przyćmił i pogiął lustro Oceanu, przerzucił kite dymów parowca na drugą stronę i zakrył wyspy cudowne.

Kate już nie płacze, stoi wyprostowana i spogląda z pod oka w stronę żelaznej kraty, oddzielającej wyższą galerję od prostackiego pomostu. Różycki również tam spojrzął i, o dziwo, zobaczył hrabiego Fioretti z jakąś



wspaniałą blondynką. Biała szata wzorem greckiej tuniki spływała z niej sutemi fałdami, jak na posagu. Hrabia słuchał jej, nawet coś odpowiadał, ale Różycki widział wybornie, że jego bystre oczy oglądają uważnie Kate.

— Przeklęty babiarz! — mruknął w duchu i zasunął się jeszcze głębiej w swą szparę, ażeby go hrabia czasem nie dostrzegł.

— Wszędzie nos wścibi! Jeszcze tu przyleci...

Kolacja, a raczej obiad był trochę lepszy niż wczoraj. Nawet światło elektrycznych lampek wydało się tego wieczoru jaśniejsze.

Różycki ostrożnie, z oddali, śledził Kate, co widocznie „ruda“ zauważyła, gdyż nachyliła się do przyjaciółki i szepnęła jej coś ze śmiechem, kiwając głową w stronę podróżnika. Ale Angielka odpowiedziała wzgardliwym ruchem dolnej wargi.

Człowiek-ljana bawił tymczasem towarzystwo opowiadaniem niesłychanych bredni. Nawet bufetowy raczył go słuchać z pobłażliwie-drwiącym uśmiechem. „Ruda“ co chwila wyrzucała z siebie przeraźliwe chichoty.

Kate znikła w przejściu na górę; niedługo skierował się tam i ciemno-wąsy „bandyta“, a po chwili poszedł i Różycki. Słońce zachodziło za chmurę płaską, twardą, zębatą, szarą i nieruchomą, jak wysoka opoka ze starem na szczycie zameczyskiem. Z poza niej strzelały w górę złociste smugi, a pod nią kołysało się morze purpurowe, jak czasa krwi...

Świeży wiatr kołysał mocno statkiem. Na pomoście było pusto. Pasażerowie kładli się spać lub chowali po kątach. Ani „bandyty“, ani Kate nigdzie Różycki nie znalazł; wracając, dostrzegł, że kobieta siedzi w swej kajucie ze zwieszoną głową w cieniu zaciągniętej na lampkę umbrunki. Minął więc niepostrzeżenie towarzystwo, wciąż

jeszcze bawiące się w jadalni, i wdrapał się na swoją półkę.

Niedospana noc wczorajsza rychło skleiła mu powieki.

Ale i tym razem nie było mu sądzone zażyć spokoju. Niedługo obudził go ruch i hałas dziwny.

To czarno-wąsy sąsiad z przeciwnej przyczy stuknął butem czy fajką o ramę, pochylając się gwałtownie ku drzwiom.

— Co to? Co się stało? — spytał po angielsku Różycki...

— Nie widzi pan?

W głębi jadalni migające cienie, głosy stłumione, wreszcie rozlega się krzyk:

— Nie chcę... Nie chcę!.. Paście mię!.. Poskarżę się kapitanowi! Będę krzychała, obudzę wszystkich!.. Nie chcę!..

Z ciemnego korytarzyka wypada na seledynowe światło elektryczności Kate w grubym negliżu. Kracze włosy spływają jej do kolan po ramionach i nocej koszuli, jak potoki atramentu. Wymachuje rękami i rwie się naprzód.

Gruby jegomość ze złotym łańcuszkiem wstrzymuje ją, ale musi ustąpić, bufetowy zabiega z boku, a z tyłu szepee ochrypłym głosem „ruda“:

— Ależ nie!.. Nie chcesz, to nie! Uspokój się, Kate! Nikt gwałtem robić nie będzie... Mój Boże, co za skandal! Czyż ty mnie nie znasz?!

— Haha!.. śmieje się „bandyta“.

Różycki chrząka. Cienie znikają.

Kate cofa się, kuląc wstydliwie i przytrzymując na piersiach obsuwającą się koszulę.





## V.

„Na całym pomorzu chińskim najłatwiej chyba w Honkongu o deszcz i mgłę. Jak gdyby wraz ze swymi instytucjami, obyczajami, bankami, składami, lawn-tennisami, puddingiem i flotą, Anglicy przenieśli tu również część swego klimatu....” — notował w swym dzienniczku Różycki z wprawą długoletniego korespondenta. On jeden z całej klasy trzeciej wysiadł na ląd, aby obejrzeć miasto.

Podwinąwszy wysoko spodnie, brodził odważnie w potokach brudnej wody, płynącej po trotuarach. Wiatr szarpał mu parasol, płachty gęstej, kroplicznej mgły i bryzgi deszczu ślepiły mu oczy. Z trudnością rozróżniał w fałdach siwych tumanów stopnie alie, pnących się gwałtownie w chmury, a w poboczach ich pierzaje wysokich gmachów, spiętrzonych stromo, jak skalne zręby.

W dole dookoła ryczało morze, targało strzępiastym podolem dżdżów, unosiło go wzburzonym, lśniącem łonem i chlustało z pod fręzli mgieł zielone piany daleko na kamienne bulwary, na chodniki i bity przechodniów.

Ale wściekłe, nieustanne wysiłki wiatru i morza nie mogły ani podrzeć, ani zrzucić, ani nawet zamącić grubej kotary tumanu, opuszczającego się z wysokich chmur. I czasem tylko rzedniała na chwilę jej biaława płachta i pojawiały się widziadłowe plamy olbrzymich statków, ledwie kołyszących się zlekka wśród powszechnego rozruchu.

Na „Armandzie“ zastał Różycki po powrocie wielką odmianę.

— Żołnierze! — objaśnił mu szeptem człowiek-ljana.

— Będzie lepiej..

Wszyscy byli ożywieni i pełni nadziei. Nawet bufetowy mniej okazywał wyniosłości i patrzył nie tak posępnie.

Do obiadu nakrył stoły jakimiś brudnymi płachtami i przed każdym talerzem postawił półlitrową buteleczkę czerwonego wina.

— A co? Widzi pani.. Żołnierze!.. powiedziała znacząco do Rózyckiego „ruda“, wychodząc ze swej kajuty i napełniając korytarzyk mocnym zapachem perfum i jedwabnym szelestem spódnic. Niedługo potem uniósł się niespodzianie w podłodze mały kwadrat, niewidoczny przedtem, i ukazał się stamtąd nieledwie pod nogami Rózyckiego błękitny „képi“, czerwony nos i junacko podkręcone, konopiaste wąsiska żołnierza.

— Dzień dobry! Oto jestem!..—zawołał wesoło, bardzo zadowolony z uczynionego wrażenia.

— Nigdy bym nie uwierzyła, że jeszcze pod nami mogą być ludzie! — krzyknęła ze szczerem zdumieniem „ruda“.

— Tak, pani! Pragnę wierzyć, że, znalazłszy się nad wami, dojdziemy do równowagi! Do usługi—odparł, stając w pozycji i salutując.

— Hé, Joubert, czego a licha stoisz na drodze! usuń się! — wołają nań z dołu towarzysze.

— Oddaję honory kobietom!

— A są?

— Ba!

— Sapristi, tembardziej puszczaj!

Wychodzi ich około ośmiu. W całej jadalni łuna bije od czerwonych spodni i wyłogów; błękitnieje powietrze od niebieskich mandurów, świecą się gwiazdy guzików, sprzączek; połyskują epolety, akselbanty, galony. Młode głosy, błyszczące oczy, białe zęby, podkręcone wąsy, harde postacie, twarze wesołe, ogorzałe, rumiane... Nawet Kate spogląda na nich życzliwie ze swego ukrycia pod iluminatorem. Joubert zaraz ją spostrzegł, wskazał kolegom ruchem epoletu i oblizał usta.

Portowy żargon wschodniego „pigginu“, którym do



tej pory porozumiewali się pasażerowie, zmienił odrazu charakter: jego poprzednie angielskie podłoże zostało zastąpione przez zwroty francuskie. Ale to nie wpłynęło bynajmniej na dobry humor i rozmowność ogółu. Dźwiękom pomagały wyraziste i malownicze giesty, wielce ożywiona mimika, oraz niezliczone wykrzykniki:

— Ah! Et bien!.. Mais oui! Tiens! Hélas!

Wino, choć kwaśne i bardzo słabe, rozwiązało ostatecznie języki.

— Jestem cienki, a jeść muszę dużo! — zwierza się Joubertowi człowiek-ljana.

Ten wydłuża zabawnie twarz, wydłuża wargi, wydłuża swój długi nos i odpowiada żałośnie:

— O tak! Pojmuję, że to pana przyprawia o stratę!..

Mały podoficer, sąsiad Różyckiego, nie posiada się z radości, śmieje się i kiwa na Jouberta.

— Ah, arwis!

— A pan skąd? Pan z Pekinu? Czy pan był na Jan-tse? — pyta Różyckiego siedzący naprzeciw niego przystojny, udekorowany medalami wachmistrz.

— O, pan jest Polakiem! Polacy dzielni żołnierze! Przy wzięciu Taku pierwsi wpadli na wały forteczne... Dzielni Polacy! My wołamy im: braves Russes! a oni: non, Polonais! Bardzo odważni są rodacy pana!

— Choć mój ojciec był Niemcem, ale nie lubię Niemców i nie umiem po niemiecku! — rzy głośno piegowaty jegomość przy drugim końcu stołu.

— Więc dlaczego chodzi pan w szlafroku?

— A... a... matkę pan miał? — rzuca przez stół Joubert.

— Owszem, jeszcze mam matkę... w Szanghaju i mam cztery siostry...

— I wszystkie żyją? — wypytuje grzeczniatko Joubert.

Zalega przykre milezenie, które przerywa wachmistrz.

— Widzi pan, nasza kanonierka dotarła aż do wodospadów na Jan-tse.... Ach, co za rzeka!.. Jak morze! Brzegów nie widać... Ledwie, ledwie rysują się, jak linja ołówkiem...

Robi szeroki ruch ręką w powietrzu.

— Albo miasta! Wszędzie smoki, mury ogromne, ale zaledwie łódź nasza pod nimi stawała, natychmiast wyłazili z bram ich dygnitarze i stawali na czworakach... Słowo daję na czworakach... Taki ich zwyczaj... Dziwny naród... Naprzykład mur chiński... Góry w tym stroju wyglądają jak krokodylc, a tymczasem wszystko niewarte armatniego naboju...

Wymowny wachmistrz ostatecznie zawładnął rozmową. Wszyscy słuchają go z niezmiernem zajęciem; jedynie Joubert przenosi się do stołu damskiego i opowiada coś, z czego ruda zaśmiewa się. Różycki spogląda na Kate, która pali zawzięcie papierosy i siedzi jak przedtem w cieniu, oparta o ścianę, nie zmieniawszy pozy na jotę.

— Co za wulkan niewygasający! A co za ogień musi być wewnątrz, skoro nazewnątrz tyle wyrabia dymu!—mówi jej Joubert znacząco i nachyla się nad stołem.

Daj jej pan spokój... Ona teraz to zupełny lód! — broni towarzyski „ruda“.

Czarny „bandyta“ pierwszy wstaje od stołu i, przechodząc, potrąca wyciągniętą nogę Jouberta...

— Pardon...

— Owszem, owszem, proszę częściej, ale nie w tę nogę, bo mam odciski!..

— Co to za szpak?—zwraca się do Kate.

— Nie wiem, nie znam go...

— Allons. Wydało mi się, że spojrział na panią...

— Niech patrzy!.. Wszysey mogą patrzeć...



— No... a dalej? co dalej? W noc piękną, kiedy ciemno... Naprzykład ja, który mam krótki wzrok?!

Kate wstaje i odchodzi do swej kajuty...

Joubert też wstaje, nucąc:

— Tarli— turlal

— Niech pan zostanie... Może pan chce wina? — zatrzymaję go rada.

— A co, Joubert: ty mnie nie rusz! — żartują zeń koledzy.

Jeden z nich odchyła koniec złożonej serwety i pokazuje mu pod nią zrobioną z palców figę.

— Prąd tam tak silny, że łódź nasza robiła ledwie pięć kilometrów na godzinę. Miejscami wydawało się, że wdzieramy się na wodny pagórek — ciągnął malowniczo wachmistrz... ale słuchał go już tylko Różycki.

Zabłyły elektryczne lampy.

Joubert nalał sobie szklankę wina z butelki małego artylerzysty i, patrząc filaternie zmrażonem okiem przez brudno-baraczkowy płyn na światło, zanucił koźlim głosem:

„Verse à pleins bords,  
 Oa' un flot divin  
 De ce vieux vin  
 Calme la soif, qui dévore!  
 . . . . .  
 De ce vieux vin  
 Calme la soif, qui me dévore!

podchwycili wesoło żołnierze. Zaczęli podśpiewywać i cywilni; nawet bufetowy śmiał się i machał ścierką.

— Bodaj to młodość! — westchnął Różycki, gramoląc się do swego bocianiego gniazda.

Było strasznie gorąco. Przez otwarty iluminator płynął z zalanego purpurą zachodu żar morza, jak z ogni-stego pieca.

Nie pomagał ryczący nieustannie wentylator, nie pomagały otwarte na wszystkie strony drzwi, z których przeciąg cuchnący chodził po spotniałem ciele Różyckiego, jak wichur po stepie. Jednocześnie żelazne belki okrętowego kadłuba ziębiły go z góry i z boku, drażniły jak wielkie magnesy elektrycznej baterji.

— Nie, jutro stanowczo zażądam, żeby mnie stąd przenieśli. Tu zwarjować można! — mruczał, nakrywając się aż na głowę prześcieradłem.

Z jadalni wciąż jeszcze dochodziły śpiewy i śmiechy.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*





Dr. JULJUSZ KLEINER.

## PRZECIWNIK BOHATERA

W „KRÓLU - DUCHU“.

(Z powodu rozprawy Ign. Matuszewskiego: „Król-Duch“  
czy „Królowie-Duchy?“).



zeszycie wrześniowym „Sfinks“, poświęconym pamięci Słowackiego, ukazała się rozprawa, od razu budząca ogromne zaciekawienie i tytułem i nazwiskiem autora — rozprawa

Ignacego Matuszewskiego: „Król-Duch“ czy „Królowie-Duchy?“\*)

Ignacy Matuszewski, jako krytyk Słowackiego, jako krytyk „Króla-Ducha“, zajmuje stanowisko tak wyjątkowe, że artykuł, wypowiadający poglądy jego, dla badaczy i wielbicieli poety stanowi fakt ważny i zmusza do głębszego

\*) „Sfinks“ 1909, zeszyt IX (21), str. 321—374.

zastanowienia się nad poruszoną przez znakomitego estetyka kwestją.

Występuje on z pewną hipotezą — a więc ze zdaniem, które może i powinno stać się przedmiotem wyczerpującej dyskusji, koniecznej zwłaszcza w takim razie, jeśli oprzeć się może w znacznej mierze na nowym materiale, autorowi hipotezy nieznanym.

Tak zaś właśnie przedstawia się rzecz w wypadku obecnym. Pan Matuszewski, któremu nie były dostępne autografy poety, mógł w czasie pisania swej rozprawy opierać się tylko na niekompletnym tekście „Króla-Dacha“, podanym przez A. Górskiego; tekst kompletny, świeżo wydany przez d-ra Gabrynowicza\*), zawiera mnóstwo nowych warjantów i fragmentów, daje nowy materiał do rozjaśnienia kwestji wątpliwych. Zmusza więc do nowych badań, których życzy sobie sam autor rozprawy, mówiąc, że „przypuszczenie swoje — uważa tylko za *przypuszczenie*, które późniejsze badania i świadectwa mogą zmodyfikować, albo obalić“ \*\*).

Dyskusję rozpoczął już sam p. Matuszewski.

W ostatniej części rozprawy i w obszernym przypisku wspomina o niektórych twierdzeniach, zawartych w mojem studjum o „Króla-Dacha“\*\*\*). Jakkolwiek o sta-

\*) Dzieła Juliusza Słowackiego. Pierwsze krytyczne wydanie zbiorowe. Tom IV. „Król-Dach“. Wydał dr. Bronisław Gabrynowicz. We Lwowie. Nakł. księgarni W. Gabrynowicza 1909. Podług tego wydania cytuję wiersze poematu.

\*\*\*) l. c. str. 357.

\*\*\*\*) Studja o Słowackim. Lwów, 1910. Nakł. Tow. Wydawniczego. II. „Król-Dach“. Zasadnicze pierwiastki treści i ich ewolucja w twórczości Słowackiego.



djam tem wspomina z uznaniem, przeciwstawia pewnym jego rezultatom poglądy odmienne. I jeden ustęp wspomnianego studjum, i rozprawa pana Matuszewskiego dochodzą zgodnie, chociaż w sposób różny, do rzacenia myśli, że Słowacki widział w Mickiewiczu drugiego „Króla-Ducha” i że św. Stanisława uważał za wcielenie tego, którego zwał swym „wielkim pierwszym”.

Różnią się jednak obie rozprawy w poglądzie na poprzednie wcielenia tego ducha: *według pana Matuszewskiego duch Mickiewicza w poemacie, występuje jako Bolesław Chrobry i św. Stanisław; moje badania doprowadziły do stwierdzenia, że duch ten wciela się kolejno w Zorjana, Piasta i św. Stanisława.*

Należy więc przedewszystkiem odpowiedzieć na pytanie, *kim był poprzednio duch Stanisława.*

Pan Matuszewski dochodzi do utożsamienia Chrobrego i Stanisława w ten sposób, że stwierdza u oba cechy, odpowiadające postaci Mickiewicza; przyznaje więc, że niema w tekście dowodów bezpośrednich, że niema wyraźnej wskazówki, jakoby Stanisław niegdyś był Chrobrym; do związania obu tych postaci wieździe dopiero, jako pośredniczące ogniwo, hipoteza co do ducha Mickiewicza.

Cytuje jednak autor ustęp z rapsodu o Bolesławie, mówiący o przeszłości duchowej biskupa:

Nawet duch straszny ów pieśniarza, który  
 Leciał za wieńcem pańskich apostołów  
 W kopułę dacha z ognistej purpury,  
 Gdzie szli, porwani słońcami kościołów —  
 Nawet ten od słońc, które, jako chmury,  
 Wylatujące z grobowych padolów,

Unoszą z sobą w górę świętych ciała,  
Odsta! — i stanął na skale\*), jak skała.

Na tej zwrotce oparłem twierdzenie, że Stanisław — to duch Zorjana. Pan Matuszewski wypowiada jednak przekonanie odmienne. Jakkolwiek wzmianka o pieśniarzu nasuwa na myśl przede wszystkim śpiewaka Zorjana, odrzuca taką hipotezę ze względu na przydomek „*straszny*“.

„Rapsod“ — powiada — „wierny swojemu panu, wytrzymujący mężnie, ale bez oporu, katusze, jest podniosły, ale nie — „*straszny*“\*\*). Podobnie Piast, drugie wcielenie Zorjana, niema „nie *straszne*go, ani heroicznie dramatycznego“\*\*\*).

Ze względu na cechę „*straszności*“ sądzi więc pan Matuszewski, że „*straszny* duch pieśniarza“ nie może być Zorjanem.

Ale ten najsilniejszy argument wypłynął właśnie z opierania się na tekście niekompletnym. Odczytawszy bowiem wszystkie opracowania i warjanty, przekonamy się, że *Słowacki duchowi Zorjana*, o którym piastunka śpiewa Mieczysławowi i który we śnie ukazuje się ciemnemu dziecku, *stale daje epitet „straszny“*. Przytaczam ustępy najważniejsze:

Pieśń zawołała go — i wszedł *straszliwy* (str. 105, w. 185).

A gdym się budził — pieśń smętnie śpiewana  
Stała na *straszne*m imieniu Zorjana (str. 236).

Powstała w ogniu mara niespodziana,  
Duch Eljaszowy — w słowiańskiej krainie,

\*) U d-ra Gubrynowicza zgodnie z autografem „na *skalce*“.

\*\*\*) str. 355.

\*\*\*) str. 356.



Chrzczony imieniem starca *Zoryjana*.

.....  
 Wielki *straszliwy* anioł Izraela,  
 Zjawieniec trzeci na globie i mściwy (str. 238).  
 (Pieśń)... stanęła jak chmura po błysku  
 Na jednym *strasznym* rapsoda nazwisku (str. 493 w. 70—71).

*Straszny* — największy z duchów obrażonych,  
 Rozprominiwszy swe srogie oblicze,  
 W szatach błękitnych i w ognjach czerwonych  
 Błysnął mi i znikł (str. 503, warjant w. 1—4).

Aż mię on *straszny* w ognia sakramentach  
 Spaliwszy, paścił (str. 520, w. 11—12).

I pewny byłem, że mnie spotka w progu  
 Ów *najstraszniejszy* — w śnie wczora widziany  
 (str. 521, w. 63—66).

Jam jego *straszna* twarz, śnioną w mogile  
 Widząc, jak drzewko, w które piorun godzi  
 Wstrząśł się... (str. 582, w. 5—7).

A *straszny* ten z płomieniskami  
 Szedł (str. 583, w. 9—10).

*Wobec tego nazwa „straszny”, przydana „duchowi pieśniarza”, jest właśnie dowodem, że pieśniarz ten — to Zorjan.*

Ale zwrotka cytowana jeszcze innemi określeniami stwierdza w sposób niemniej wyraźny, kim był niegdyś Stanisław.

Nawet *ten od słońc*, które, jako chmury  
 Wylatujące z grobowych padolów,  
 Unoszą z sobą w górę *świętych ciała*,  
 Odstał — i stanął na Skałce, jak skała.

Znowu tekst kompletny pozwala stwierdzić, że „*ten od słońc*” — to epitet Zorjana:

A wtem z obłoku ktoś zakrzyknął święty  
*Aniol od słońca*

.....  
 Z gwiazdy, która się paliła na nodze,  
 Poznałem — że ów — obrażony srodze (= Zorjan)  
 (str. 348, w. 12—17).

Dach Eljaszowy — w słowiańskiej krainie  
 Chrzczony imieniem starca Zoryjana,  
 Który na barzach i na wiatrach płynie,  
 A nieraz chmarę pioranem rozkroi,  
*I w rozworzonych żyłach słońcach stoi* (str. 238).

Jeszcze dobitniejszą wskazówkę zawiera wiersz:  
 „Unoszą z sobą w górę świętych ciała“; jest to aluzja do  
 śmierci Eljasza, który został z ciałem do nieba porwa-  
 ny—a wiadomo, że Zorjan jest wcieleniem Eljasza.

To chyba wystarczy, by udowodnić, że w świętego  
*Stanisława wciela się duch Eljasza-Zorjana.*

Dla dokładności jednak wspomnę jeszcze o argu-  
 mentach przeciwnych.

„Duch Zorjana“ — pisze p. Matuszewski — osiągnął  
 już taki stopień *świętości*, iż chyba grzeszyć nie mógł —  
 św. Stanisław zaś nie jest „*bez win* pomimo *swojej świę-  
 tości*. Na to odpowiadam, że, według pojęcia Słowackiego,  
 każdy duch nietylko naprzód postępować, ale i cofać się  
 może — świętość niewyklucza więc możliwości grzechu;  
 przecież od świętości Mieczysława do *zbrodni* Bolesława  
 Śmiałego droga niemniej daleka, jak od świętości Zorja-  
 na do *przewinienia* Stanisława.

Odrzucając identyczność Stanisława z Zorjanem,  
 upatruje p. Matuszewski we wzmiance o pieśniarzu ra-  
 czej aluzję do śpiewaka, o którym mowa jest w oktawie,  
 umieszczonej przez wydawców jako motto do rapsodu II:

A wtenczas stanął w ognistej koronie  
 Ducha nowego śpiewak między nami.



Dla zrozumienia tej oktawy, trzeba zdać sobie sprawę z tego, że Słowacki przez czas długi nosił się z myślą ujęcia „Króla-Ducha“ w formę poetyckiego symposion, na którym różni śpiewacy opowiadają dzieje duchowe. O takim śpiewaku jest mowa w zwrotce cytowanej. Ten pomysł Słowacki porzucił; zatrzymał formę jednolitego opowiadania; w tej właśnie formie pisany jest rapsod o Bolesławie Śmiałym. Aluzja do całkiem odrębnego, porzuconego pomysłu jest więc wykluczona. Zresztą Bolesław mówi o biskupie, że poznał w nim jednego z tych duchów, którzy mu już dawniej towarzyszyli, a więc może mieć na myśli tylko rolę jego w swych poprzednich żywotach—a w tych żywotach występował tylko jeden pieśniarz straszny — Zorjan.

A to również zaznaczyć należy, że rola Zorzana i Stanisława wobec ducha bohatera głównego jest analogiczna—rola *przeciwnika duchowego*, który sam jeden czy to Popiela czy Bolesława, trzyma w grozie“.

Pytanie, kim był w poprzednich żywotach Stanisław, jest dla p. Matuszewskiego właściwie kwestją drugorzędną, narzuconą tylko przez naczelne zagadnienie rozprawy: kto jest w „Królu-Duchu“ weicieniem Mickiewicza? Odpowiedź na zagadnienie to brzmi: Chrobry i św. Stanisław.

W takim razie — w myśl poprzednich wywodów — musiałby Bolesław Chrobry być również weicieniem Zorzana. Ale tajemniczy sposób, w jaki poeta mówi o duchu Chrobrego, wskazuje niewątpliwie, że to duch nowy, nie zaś znany już duch Zorzana, ściągnięty został na ziemię polską przez Mieczysława i Dobrawę.

Chrobry i św. Stanisław są to więc dwie odrębne osobistości duchowe. Skoro zaś p. Matuszewski w obu

widzi weielenie Mickiewicza, rozstrzygnąć trzeba kwestję, czy tylko Chrobrego uznać za inkarnację twórcy „Dziadów“, czy też — zgodnie z mojemi „Studjami“ — Zorjana-Piasta-Stanisława.

Mickiewicz w życiu Słowackiego odegrał rolę wielkiego przeciwnika — ta rola w poemacie przypadła duchowi Zorjanowemu. Ten więc duch nadawał się najbardziej do tego, by być weieleniem „litewskiego Boga“. Istotnie też Zorjan zapowiada, iż wróci kiedyś na świat, jako poeta wielki „z wielką zgrają harfiarzy, co jak anioły śpiewają“. Weielenia jego odpowiadają działalności Mickiewicza: Zorjan — śpiewakowi „wieści gminnej“, Piast, reprezentant sielankowego życia — autorowi „Tadeusza“, duch, na którego się powołuje Oda, broniąc pogaństwa — twórcy „Dziadów“ części II i IV, Stanisław wreszcie — obrońcy Rzymu. Zgodna też koncepcja tego ducha z określeniem Mickiewicza-Jagielly w „Zawiszy“; duch Zorjana to również duch „straszliwy“, a pełen miłości, który „bez miecza sercem narody wojuje“.

Pan Matuszewski przytacza jednak dwa argumenty, które świadczyć się zdają przeciw takiej hipotezie: Słowacki pokrzywdzony był przez Mickiewicza — trudno więc przypuścić, by w pokrzywdzonym przez Popiela Zorjanie przedstawił swego wielkiego przeciwnika\*); przytem, mimo wszelkiego uznania, wyższości Mickiewiczowi nie przyznawał — a duch Zorjana wyższy jest, niżli duch Popiela\*\*).

Argumenty to niewątpliwie poważne — ale przecież nie mogą rozstrzygnąć kwestji na niekorzyść utożsamienia Zorjana i Mickiewicza.

---

\*) l. c. str. 355 — 356.

\*\*\*) l. c., w. 365 (przypisek).



Właśnie dlatego bowiem, iż czuł się pokrzywdzonym przez Mickiewicza, mógł Słowacki dla zadośćuczynienia postulatowi sprawiedliwości, stosunek ten w przeszłości odwrócić; krzywda Zorjana mogła mu tłumaczyć niechęć w duchu Mickiewicza. Co zaś do wyższości Zorjana — to przecież Stanisław św. tę samą co Zorjan rolę spełnia, tak samo łamie Bolesława Śmiałego, tak samo wyższy jest odeń duchem—jeśli więc mimo to zgadza się pan Matuszewski, iż Stanisław jest Mickiewiczem, to można też zgodzić się na identyczność Zorjana i wieszca litewskiego. A zresztą, ta wyższość Zorjana jest mimo wszystko względna; boć przecież jasne jest w „Królu-Duchu“, że głównym przewodnikiem narodu jest Popiel, nie Zorjan a więc upokorzenia w tem niemasz, jeżeli Słowacki siebie w Popiela, Mickiewicza w Zorjanie przedstawił.

Dowodów bezwzględnie przekonywających podać tu niepodobna; niema bowiem w „Królu-Duchu“ tak wyraźnych aluzji do Mickiewicza, jak w „Zawiszy“; ale twierdzić można z bardzo wielkim prawdopodobieństwem, że *Zorjan-Piast-Stanisław — to Mickiewicz.*

Mimo to nie sądzę, by hipotezę co do ducha Chrobrego, tak pięknie uzasadnioną przez pana Matuszewskiego, należało utracić w zupełności.

Słowacki zmieniał swój pogląd na metempsychiczny pochodź jednostek duchowych; Heljona to ze sobą utożsamiał, to z Węgierskim; Piasta początkowo uważał za wcielenie Lecha, potem dopiero złączył go z postacią Zorjana; przez czas pewien identyfikował siebie z Wodanem, chwilowo z Ziemowitem. Jest więc rzeczą możliwą, że, jakkolwiek uważał Zorjana za wcielenie Mickiewicza, w pe-

wnej fazie tworzenia powziął myśl inną i inkarnacją przeciwnika chciał uczynić Chrobrego.

Ale w tekście, który dotychczas znamy, dowodów na to niema\*).

Jest to tylko — możliwe.



\*) **Uwaga.** Nawiasowo wspomnę jeszcze o jednej kwestji, którą p. Mataszewski poruszył w przypisku. „Nie jestem pewny“ — pisze on — „czy w rapsodzie „Miecz a sława“ Zorjan jest tylko widmem-duchem, czy też i kapłanem“ (str. 364). Wątpliwości swe opiera na wzmiance, że Mieczysław ślepy, słysząc „ciężki krok kapłana“, identyfikuje go z dachem Zorjana, widzianym we śnie. Istotnie miejsce to nie jest zupełnie jasne; ale mimo to nie mamy prawa sądzić, że Zorjan występuje w obrzędzie, jako kapłan, bo Mieczysław, odzyskawszy wzrok, widzi tylko kapłankę. Przypuszczenie, że Zorjan jest tu tylko widmem, popiera nadto inne opracowanie sceny postrzyżyn, zgodne co do treści, a tylko różne formą. W tem zaś opracowaniu czytamy:

Śpiewali... a mnie już ognian błękitny (= Zorjan),

Wypogodzony i nie gniewny wcale,

Podnosił z oczu ostatni — przedświtny

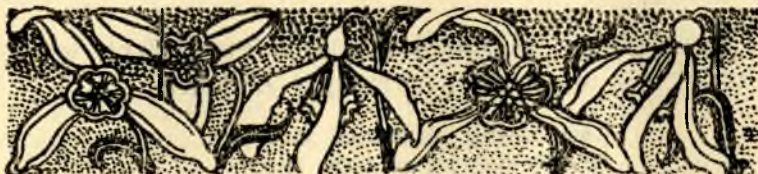
Obłok — opale.

Potem sam zniknął — a ja starożytny

Ujrzałem kościół (str. 322, w. 81—86).

Zorjan znika więc w chwili, gdy Mieczysław wzrok odzyskał; ukazał się tylko jako duch: Mieczysław widział go wzrokiem duchowym — nie widzi go wzrokiem cielesnym.





## Uzupełnienie.

Redaktor Bukowiński zakomunikował mi w rękopiśmie artykuł dr. Juljusza Kleinera, wywołany moją rozprawką, drukowaną w „Sfinksie“ i wydaną w oddzielnej odbitee p. t. „Król-Duch, czy Królowie-Duchy?“ (1910).

Jak zaznaczyłem w tekście mojej rozprawy, o tem, w jakie postacię poematu miał zamiar Słowacki wcielić ducha Mickiewicza, można *dyskutować*, ale trudno *polemizować*, bo poemat co do tego punktu wyraźnych wskazówek nie daje. Przyznaje to w końcu swego artykułu i sam dr. Kleiner, że w „Królu-Duchu“ niema tak *wyraźnych aluzji* do osoby Mickiewicza, jak np. w „Zawiszy Czarnym“, gdzie Wielki Książę Litewski i Król Polski, Władysław Jagiełło, oraz Mickiewicz niewątpliwie zostali utożsamieni ze sobą, jako wcielenie jednego potężnego ducha.

Wszystkie inne przypuszczenia są, jak zaznaczyłem i na co godzi się dr. Kleiner, tylko „*możliwościami*“. Wobec tego nie znajduję w danej chwili dostatecznych motywów do polemizowania z dr. Kleinerem o identyczność osoby Zorjana z Mickiewiczem.

Strofy, potwierdzające „straszliwość“ Ducha Zorjana, dają niewątpliwie dużo do myślenia, ale kwestji nie rozstrzygają kategorycznie.

W innej strofie, podanej przez Górskiego we fragmentach „Beniowskiego“, ale bez kwestji należącej do

„Króla-Ducha“, widzimy Słowackiego (Popiela?) nie w rozterce, lecz w zgodzie i harmonji z Zorjanem.

Skoro deszcz wielki ustał, a źrenice  
Otwarte stały się na dacha światy,  
Na wszystkie słońca i na błyskawice  
I na słoneczne Boże majestaty,  
Pierwszy dach, który trącił mię skrzydłaty  
I twarz pokazał... był dach Zoryjana,  
*I pierwsza w niebie Harmonja słyszana*  
Była szelestem jego cichej szaty.

Przyznaję, że i to także nie nie rozstrzyga, ale Zorjan występuje tu znowu nie jako dach pełen grozy, lecz łagodności, *cichości, harmonji*. Prawda, że akcja zdaje się rozgrywać nie na ziemi, lecz w zaświatach, gdzie duchy, pozbawione ciał, obecują z sobą inaczej, niż na ludzkim „podole płaczu“.

Prawda i to, że „postrzyżyny“ w warjantach przedstawione są odmiennie, niż w tekście samego poematu. Ale to wszystko dowodzi, że Słowacki wahał się i przeobrażał ciągle poemat i pod względem formy i treści, zwłaszcza o ile to dotyczyło głównych postaci, w które miały być wcielone duchy wielkie, przewodnicy narodu.

I nie dziwnego, bo, chcąc zlać swoją mistyczną historjosofoję z faktami konkretnymi, chcąc wprowadzić duchy osób o znanej, określonej i wybitnej indywidualności do epeki na poły-fantastycznej, miał do pokonania olbrzymie trudności, zwłaszcza, że pragnął być w zgodzie z prawdą i sumieniem własnem, że nie *igrał* rymami, lecz *szukał* rozwiązania problemu powstania, rozwoju, upadku i zmartwychwstania ojezyny.

Jan Gwalbert Pawlikowski nazywa „Króla-Ducha“ w swoim znakomitem studjum o „Mistycie Słowackiego“ „jednym z największych poematów świata“.

I słusznie.



Ale właśnie dlatego, że koncepcja tego poematu była tak olbrzymią, gigantyczną, zuchwałą, przekraczającą niemal siły jednostki, urzeczywistnienie artystyczne pomysłu wymagało nietylko genialnych zdolności, ale i czasu, a Słowacki umarł za wcześnie, pozostawiając obok szeregu przecudownych, wykończonych i zrozumiałych rapsodów i fragmentów, całą masę projektów, rzutów, szkiców, warjantów, które jednak prawdopodobnie nigdy nie doczekają się ostatecznego wyjaśnienia, chyba—gdyby znalazły się jakieś *nowe, decydujące* dokumenty.

Wobec takiego stanu rzeczy krytyka może budować mniej lub więcej prawdopodobne hipotezy, ale nie zdoła wyjść poza sferę przypuszczeń.

Nie jest to winą poety, lecz fatalnego zbiegu okoliczności. Słowacki wiedział, o co mu idzie i umiał świetnie uplastyczniać swoje pomysły i wizje. To też idea zasadnicza epopei nie jest dla nas ciemną, ale co do niektórych momentów dyskusja nie da rezultatów niezbitych i pewnych, tylko wskaże na bliższe, lub dalsze od prawdy—„możliwości“.

Na to godzi się i dr. Kleiner. Weźmy choćby jego hipotezę co do identyczności ducha Słowackiego z duchem Ks. Michała Twerskiego. Wygląda to bardzo prawdopodobnie, gdyby nie szczegół, że, jak zaznacza to sam dr. Kleiner, trudno zrozumieć, dlaczego duch *ruskiego* Księcia zjawia się przed matką zakonnicej w kościele obrządku *łacińskiego*, gdzie mniszki śpiewają „Stella Matutina“.

Takich wątpliwości, utrudniających wyjaśnienie wielu fragmentów i warjantów, znajdziemy całe szeregi. Mimo to należy pracować dalej nad rekonstrukcją planu „Króla-Ducha“, nie zrażając się przeszkodami.

*Ignacy Matuszewski.*



MARJA SZPYRKÓWNA.

Z SZARYCH KARTEK.

I.

— — Schodzi na szarość ziemi smutna pani — jesień —  
w zakonnych, ciemnych szatach, w bladej mgły kornecie —  
przed nią konają echa szczęścia i uniesień —  
a za nią biała tęskność snuje się po świecie...

— — Idzie przez łąk rozległe, nieskończone szlaki —  
przez niwy, kędy trawy ciche szepty wiodą —  
przez pola, nad którymi przeciągają ptaki —  
i staje gdzieś nad leśną, zamysłoną wodą...



— — Staje wśród wielkiej ciszy z dłońmi złożonemi —  
 w zakonnych ciemnych szatach, u wybrzeża fali —  
 i szepee cichy pacierz wobec smutnej ziemi,  
 — — a mgły, jak blade płaczki, snują się w oddali...

## II.

— W kryształach waz konają chryzantemy —  
 w powietrzu drga ich płatków rój skrzydlaty...  
 — — przeminął czas — — i chcemy, czy nie chcemy —  
 opadną kwiaty...

Więc póki sna nie przyszła ciemna chwila —  
 opuścimy kwiat, proszący w ciszy łzami,  
 — i, zanim czas obnaży czerń badyła, —  
 odejźmy sami!...

## III.

— Więc była wiosna — zawrotna — pachnąca —  
 i szmer strumienia daleki, echowy —  
 i srebrny smutek jasnego miesiąca —  
 i pieśń milezenia — — i cichość rozmowy...

— Więc było szczęście, rodzące się w duszy,  
 i świat był cały, jak niebo o świecie...  
 — Aż wiatr się zerwał, co łamie i kruszy,  
 aż wiatr się zerwał i wionął przez życie — —

I rozwiął w nicość odwieczną sielanekę,  
 i pieśń zawodzi nad nową mogiłą...  
 W świecie to zowią uczenie — ananke,  
 a lud nasz mówi, że — — doli nie było...

## IV.

Znowu jesienna, dżdżysta szaruga,  
— znów mgieł wybladłych rozdarte szmaty...  
Znowu po niebie żałobna smuga — —  
przeciąga ptaków orszak skrzydlaty.

— I znowu ziemia na długo skrzepła,  
i znowu szarość, szarość bez końca...  
— — A ludziom trzeba tak bardzo ciepła,  
a ludziom trzeba tak dużo słońca...

## V.

— — Szumią w odwiecznej trzciny dziwne opowieści — —  
coś, jak legendy śpiewne, coś, jak dawne baśnie — —  
i szept ich drży i płynie, milknie i szeleści — —  
i chwieje się nad wodą, zanim słońce zgaśnie...

— Szumią trzciny o losach złotopiórej rybki,  
która do słońca tęskni w szafirowej toni — —  
o tem, jak przez głębiny leci promień szybki  
— o tem, jak błada muszla wieczną skargą dzwoni...

I o tem, jak to na dnie, na podwodnej trawie,  
leży od dawien dawna pierścień szczerozłoty — —  
a małe, śmieszne rybki patrzą nań ciekawie,  
wrytych na nim zgłosek odgadując sploty...

— — Szumią trzciny nadrzeczne jakieś dziwne baśnie,  
nim ciemność letniej nocy na ich szmery padnie...  
o smutnej rybeczce szumią, kiedy słońce gaśnie,  
i o pierścieniu złotym, który leży na dnie...



## VI.

— Pokochała raz rosa srebrzysta  
złote słońce, co świeci w błękiecie — —  
pokochała na własną niedolę,  
— pokochała na śmierć, nie na życie...

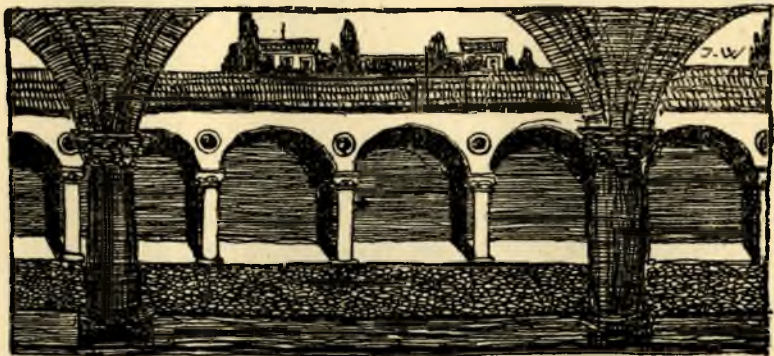
I tak wiele tęsknoty i bólu  
w swojej duszy zaklęła kryształe —  
za aż słońce promienne z błękitu  
zeszło ku niej w złocistej swej chwale.

— I złączyły się w jasnej pieszczocie  
złote słońce — — i rosa na łące...  
— I od żaru słonecznych promieni  
gasły rosy kropelki płonące.

— A gdy słońce świetliste a góry  
w dalszą drogę po chwili ruszyło — —  
— już ostatnia kropelka zagasta,  
już ostatniej kropelki — nie było...



Słinks.



## ECHA ZACHODNIE.

F. JABŁCZYŃSKI.

### PROBLEMAT ARTYSTYCZNY.

(Kilka obrazów).

*Paryz, w Styczniu 1910 r.*

Są obrazy, które mają ogromnie dużo treści obok innych, małych i pustych. „Paryz“ należy do pierwszej kategorii. Niczego tu nie brak — w skrótach, próbach, wzorach zebrano się i zbiera wszystko, co jest złego i dobrego, w najlepszym gatunku. Współczesna kokota paryska może się tu otrzeć o mamję swej koleżanki Tais, podpatrzeć tajemnicę toaletowe dam z Koryntu. Na grobach Merowingów jedźdzą omnibasy; St. Germain des Près z wysokości swych kilkunastu wieków patrzy się na dwóch murzynów, pijących bocki na werendzie „aux deux Magots“; stoją rzędami w mazeach marmury, brzozy, kość stoniowa z rozmaitych epok; w dzielnicy łacińskiej wyłażą z braku czar-



niawc resztki termów rzymskich, ementarze pełne są imion, biblioteki pełne dzieł — wszystko tam znaleźć można, jak na wielkich bulwarach wszystkie gatunki ludzi, poczynając od panujących, kończąc na obłąkanych, jak w historii Francji wszystkie rodzaje rządów, które pozostawiły tu po sobie swoje pomniki. Wspomnienia włóczą się po placach i zaułkach, podczas gdy w oficynach — krocie ludzi gorączkowo przygotowują nowy sezon, nowe mody! Cudzoziemcy, artyści, teatry, kawiarnie, muzea, szkoły, biblioteki, tysiące towarzystw i instytucji, olbrzymie stosunki, olbrzymie kapitały, przeszło dwa i pół miliona ludzi, wybranych bądź co bądź, a przynajmniej dobrze już wyprobowanych przez młyn wielkiego miasta, który gniecie i odrzuca bez litości wszystko to, co słabsze.

Czem jest Paryż — trudno to powiedzieć. Jak dla kogo. Jedni czują się tu dobrze, inni źle, jedni wyjeżdżają stąd, jak prorocy izraelscy z Babilonu, inni utrzymują, że „nie — tylko Paryż“, jedni tu pracują, korzystając z nagromadzonych bogactw, innym przeszkadza, jedni go okradają, inni mu coś przynoszą, jednych miażdży, innych robi wielkościami, koło innych przechodzi do porządku dziennego, słowem jednym coś daje, innym coś odbiera. Ale nie o to chodzi, jak się przedstawia Paryż dla tych, którzy w nim są, lub byli.

Daleko ważniejszą sprawą jest kwestja, jakim on jest dla tych, którzy go nigdy nie widzieli i nie zobaczą nigdy.

Paryż dla garści tylko ludzi na świecie jest rzeczywistością. Dla całych mas innych — legendą. W niewielkim dworze na wsi, który kiedyś miał lepsze czasy, stara prababka w niobach opowiada o Paryżu z czasów Eugieñji. Paryż w starych powieściach Suego, P. de Koeka, Borny, Dumasa ojca, Balzaca wychował całe pokolenia

w legendzie o sobie, które go nie oglądały nigdy, nigdzie, oprócz w swojej własnej wyobraźni. Tajemnice Bastylji, historje ponurych zaataków paryskich, egzekucje, zbrodnie w cieniu Notre Dame, morga, czarne fale Sekwany nocą, cudowni poszukiwacze zbrodniarzy, interpretatorów wszystkich siedmiu grzechów głównych — zajmowały tak, jak bajki z tysiąca i jednej nocy. Paryż błyszczał w wyobraźni młodej panny, jako raj zabaw i elegancji. Stamtąd przychodziły gorsety i rękawiczki „paryskie“, oraz romanse; z finezji tualety, perfum, pudra, koronek, buduarów etc. przygotowywały one historje, wobec których wszelka inna rzeczywistość nie nad Sekwaną stawiała się mdłą i pospolitą, jak odór kiepskiej kuchni. Ile to marzeń pochłonał Paryż, sam nie wiedząc o tem — marzeń, snów, które leciały do niego ze wszystkich końców świata, z zamków szkockich, z nad Wisły, z haremów Turcji, z pięknej Wenecji i z błotnistych miasteczek Austrii, z Japońji, Ameryki i z Australji, do Paryża, gdzie mieszkały Damy Kameljowe, panie Bovary, Marneffe, Adrianny Lecouvreur, Manon Lescaut, Mimi Pinson, Heloiza i tyle, tyle innych, gdzie można znaleźć takich kochanków, jakich one miały, i takie miłości, jakie one przeszły. To coś więcej, niż marzenia o wyspie Robinsona lub o czerwonoskórych Ameryki.

Paryż wychowywał zdaleka całe masy ludzi, całe klasy i pokolenia. Nietylko ciekawych, pragnących wrażeń, nietylko tych, co marzyli o przygodach w miłości, o gorsetach paryskich, o elegancjach *jockey clubu*. Rewolucje, Napoleon, Encyklopedyści, Voltaire, Rousseau — ilu ich stoi tutaj na placach i frontonach — wychowywali innych. Z Francji, z Paryża przychodziły i przychodzą wzory sztuki i wzory urządzeń społecznych, nowe mody, nowe przewroty, nowe kierunki. Stamtąd szły po kolei, rozchodząc się po świecie, wszystkie prawie urządzenia nowo-



czesnego życia. Paryż rozpuszczał o sobie legiendę i opowiadał bajki ze zręcznością i sztuką pół świadomej i mądrej kokieteryj, zbierając laury i złoto. W kim nie pozostawił śladu, nie stworzył czegoś, nie urobił, nie zmienił, nie niszczył — ów odległy wychowawca szczytów współczesnej Europy i jej kolońji?

Plac St. Germain des Prés i przyległy bulwar — ciemne. Pali się tylko gaz, dosyć niewyraźnie, i kjoski reklamowe mienia się w ciemnościach barwami witrażów. Stara katedra, ze śpiczastym kołpakiem romańskim na wieży, stoi, ciasno obstawiona resztkami murów i domów średniowiecznej dzielnicy, która ją niegdyś otaczała. Nowoczesny Paryż, rozrastając się, zgniółł to wszystko. Pozostało tylko twarde kamienne jądro, oblepione resztkami dawnej, wspanialszej łupiny. Oddzielono to wszystko, jako zabytek muzealny, żelazną kratą od ruchliwego bulwaru, stwarzając zakąt, gdzie jest trawnik, trochę drzew, parę ścieżek, ławki pod czarniawymi murami starej bazyliki, obok szezatków fryzów, kapiteli, tablic. Leżą tu prochy pierwszych królów Francji: Clovisy, Childeriki, Childeriki, krwiożerze Fredegondy, Bertrady etc. etc. Elektryczne lampy żarzą się nad ich grobami. W dzień poza ogrodzeniem — zwykła publiczność ogrodów paryskich. Mamki, mali rentjerzy, przechodnie, ludzie nieokreślonych zajęć, odpoczywający po nieokreślonych trudach. O zmroku kratę zamykają i robi się tam spokojnie i pusto.

W środku stoi pomnik Bernarda Palissy — rzeźbiarza, wypalacza fajansów i geologa. Artysta i uczonec stoi w fartuchu skórzanym, trzymając w jednym ręku jeden ze swoich nieśmiertelnych półmisków majolikowych, drugą opiera o rozwartą książkę, rozłożoną na kaflarskim piecu. Głowa spuszezona.

Stoi. Jest noc. Wreszcie poruszył się, wyprostował się, westchnął głęboko. Stać tak, miesiące i lata, zape-

wne, to mężczy, Nigdy praca nie nużyła go tak, jak to ciągle stanie. Przeszedł się kilka razy po wirydarzu, założwszy w tył ręce, spojrzął się na ogromną reklamę, którą urządziła sobie tu, na szczytowej ścianie domu, sławna fabryka sewrskiej porcelany. Następnie popatrzył na zasypiający bulwar, po którym włóczyło się trochę studentów. Na kjosku świeci ogłoszenie: *Bec-Manchon inimitable—Auer*. U dołu reklama *New-York Herald'a*.

Nadno.

— Więc to jest nieśmiertelność i sława pośmiertna?

Nad ranem poczynają ciągnąć wozy do hall i targów, pełne żywności. Karezochy, kalafjory, bób, sałata, kapusta, nabiał, sery, owoce, mięso, wina i trunki — masy olbrzymie, na wozach specjalnych. Paryż rozpoczyna swój dzień, otwierają się sklepy, kjoski, kawiarnie, ukazują się dzienniki. Ulice pełne ludzi, biegnących do roboty. Właśnie śpieszy jedna z tych paryżanek, pewno dziewczyna z magazynu, mocna, zdrowa, zręczna—od bucików do kapelusza aksamitnego ze złotem, wciśniętego głęboko na uszy—wszystko w doskonałym gatunku, paryskie, jak jej płeć świeża, brwi, oczy—jedne z tych, które zmaszają resztę paryżanek do uciekania się do pudru i szminki. Biegnie do roboty. Wieczorem będzie siedziała z kochankiem na werendzie jednej z kawiarni, bijąc go po nosie przy wszystkich, takich samych zresztą, jak on i ona. Zapewne ani jej do głowy przyjdzie myśleć o tem, że jest gdzieś na świecie wielkie miasto, Paryż, gdzie dzieją się cuda.

Tymczasem legienda o niej, widzianej oczyma Mau-passantów, Wilette'ów, Balzaców, Lautree'ów, P. de Kocków etc., będzie odrywać od życia miljony ludzi, którzy marzą, pragną, czasami kręcą karki dla ładnych bajek o Robinzonie Kruzoe i czerwonoskórych, urządzają wyprawę za roгатki, aby następnie powrócić do domu, przekonawszy się, że Robinzon Kruzoe—jeżeli istniał, szukając



środków do życia na swej bezładnej wyspie, wcale nie myślał o tem, aby dostarczyć przyjemnych sensacji tym, którzy następnie będą czytali opisy jego przygód. Gryzетка paryska żyje naprawdę i śmieje się na cały bulwar... Reszta — to bajki i legendy, mniej lub więcej ładne. Dla tej bajki biedny Bernard Palissy stoi za kratami przy St. Germain des Près i, nudząc się, czeka. Zapewne ziszczenia się czegoś...? Kto wie!

Może czekać, bo jest z brązu. Ale żywi, którzy marzą o ziszczeniu się bajek?

— Niema mnie w domu, niema dla nikogo. Nie przyjmuję — jestem chora!

Mówi to młoda, ładna, dwudziestoparoletnia kobieta na progu swej pracowni. Zamyka drzwi i rzuca się na szesłąg z płaczem, głową w poduszki. Jest w najwyższym stopniu zdenerwowana.

W pracowni, na konsolce garnek, pełen pędzli, świeżo nałożona paleta, mokre pędzle.

Na obu ścianach bocznych, wybitych kilimami do wysokości głowy, wiszą obrazy, studja, sztychy, fotografie i drobiazgi.

Mandolina, przybrana w szarfę, wisi obok pracowniczego rysunku węglowego. Rysunek ten—to jakaś baba — model. Twarz czarna, krzywa, zasmolona, z wyrazem bezmyślnym. Rysunek początkującego dyletanta, a właściwie dyletantki, bardzo typowy. Położono pod nim podpis bardzo wyraźny: rok, nazwisko, miejsce malowania. Zaraz obok niego wiszą dwie czapki góralskie i kapiuch wyszywany. Dalej znowu „studjum“. O ile tamto było bardzo pracowicie wycierane chlebem i palcami, o tyle to rysowane jest bardzo śmiało. Z „fugą“, jak się mówi. Przedstawia, czy ma przedstawiać chłopca stróżowskiego. Ale żaden opis, najbardziej wyszukany, nie jest w stanie

dać wrażenia komizmu i specjalnego charakteru tego „dzieła“.

Ot siła plastyki i bezsilność pióra!

Ten nos! Te oczy! I „gieńjalność“ zaaranżowania!  
Takie rzeczy trzeba widzieć! I trzeba się na nich poznać!

Bo głupstwo jest również skomplikowane i również finezyjne, jak arcydzieła!

Obok tego „stróża“, na niewielkich, nieporządnie obeitych tekturkach, dwa olejne studja pejzażowe *à la* Stanisławski. Jeden z nich przedstawia noc. Nie nie wi- dać, tylko parę równie energicznych, jak niezręcznie poło- żonych, jaśniejszych kleksów. Drugi: trochę ultramaryny zezerniałej od pokosta, coś zielonego w rodzaju galarety, z czego wyrasta parę nitek kolorowej włóczki.

Na obu podpisy: Uzówka, imię, nazwisko, rok.

Uzówka!

Dalej, na środku ściany urządzono dekorację. Uło- żono tu i powieszono razem: kawałek słuckiego pasa, na nim maskę gipsową Gorgony, obok dwa nagłówki książ- kowe Ropsa, akwafortę Klingera i trzy fotografie z rzeźb... Sindinga. Jest zeschła wiązanka szarotek.

A pod tem wszystkim: ciupaga! Za tą dekoracją, na widocznem miejscu, wisi węglowy „akt“. Jest to model męski, trzy czwarte naturalnej wielkości, od stóp do głów nagi. Stoi tyłem do widza i prezentuje pośladki. Podpi- sano wielkimi literami: Paryż.

Robiony jest w jakiejś szkole, pod kierunkiem ruty- nowanego akademika, który musiał mieć zwyczaj korygo- wać często, znał anatomję i ratynę.

Z całego rysunku najenergiczniej wyrrywają się dwa chude pośladki modela, patrząc się impertynencko na po- kój. Są one najbanalniejsze, chude i należą zapewne do jakiegoś posłańca lub robotnika bez zajęcia. Mają wy- raz impertynencki i smutny.



Obok nich portret damy, zrobiony ołówkiem, trochę podkolorowany akwarelą. Pani ma ogromny kapelusz i jeszcze większe strusie pióra. Twarz przypomina zeschłą muchę. Jest to rysunek ze szkolnego bruljonu, na marginesie ćwiczenia z literatury francuskiej, albo zadania na zrównanie pierwszego stopnia.

W kącie japoński, papierowy parawan, ukrywający umywalnię. Lustro. I znowu pejzaż na ścianie wprost okien. Jest to zachód słońca. Kółko z cynobru i kadmium na szaro, rdzawo popielatych tonach. Oprawiono go w złote ramy i powieszono tu w widnym miejscu, jako obraz „skończony“.

Był na wystawie!

Znowu duży wachlarz chiński, znowu Goya, dwie tytułowe okładki z „Jugend“, następnie „kompozycja.“

Jakaś dama, znowu w kapeluszu z ogromnymi strusimi piórami (widocznie malują się łatwo, a są bardzo efektowne.) Tuż nad damą ogromnie straszny, zielony potwór. Otóż owa dama stara się być przestraszona, ale się jej to nie udaje. I potwór właściwie miał być straszny, ale go zemdliło. Przypomina krzywiące się maski Malezewskiego.

Następnie portret olejny jakiegoś młodego człowieka. Zaczęto go, a następnie zatarto ścierką. Zrobił się z tego kolosalny nastrój. Młody człowiek ma tylko białka, wąsy i czuprynę. Następnie i t. d.

Poza tem umeblowanie dosyć zamożne. Na podłodze dywany, buduarowy garniturek z różanego drzewa, wybity jedwabiem w kwiaty, etażerka z drobiazgami, stół z bronzami, albumy, wazoniki, suche kwiaty etc., wszystko to dosyć ładne. W pokoju atmosfera świeżego pokostu, oleju, terpentyny i kolońskiej wody. Godzina jedenaasta przed południem.

A autorka i właścicielka tego wszystkiego?

Leży na szesławie, nieszczęśliwa, zdenerwowana, zmięta, i płacze. Twarz rozpalona, blada z wypiekami na policzkach. Ładne, liljowe ręce wysuwają się po łokcie z rękawów szlafroka, stopy kobiece, niewielkie, w granatowych, jedwabnych pończochach.

Co może mieć wspólnego ta ładna, młoda kobieta, splakana, zrozpaczona — z poślądkami wiszącego nad nią modelu lub ze stróżowskim chłopcem? Kto to powiedział, że *to* jest sztuka? Że *to* jest *jej* sztuka? Co za porównanie z jej wypielęgnowanymi, delikatnymi palcami, mogącymi iść o równe tylko z najpiękniejszymi rękami Ma-donn Van Eycków, Memlingów, Crivellich etc?

I ona maluje, stara się malować....

Poślądki postaćców, stare, znudzone, bezmyślne baby!

Co za fatalne jakieś nieporozumienie!

I nie dziwnego, że płacze.

Biedna!

Dziś bardzo weześnie wstała po nocy bezsennej. Poduszki były zmięte, mokre od łez.

I to tak już od dłuższego czasu: parę dni spokojniejszych, wesołych.

I znowu.

Noce bez snu, myśli gorączkowe, małe, porwane, tłoczące się, a ciągle jedne i też same. Kręcą, mordują to w głowie, to w piersiach, to w gardle, w uszach, w sercu, w dołku, pod piersiami. Och! Pieką, wysysają krew, męczące.

Co będzie? Co będzie? Co będzie?

Jest malarką. Zawrócili jej głowę.

Zawracają w dalszym ciągu, ale nie artystce, lecz ładnej kobiecie.

Dziś zerwała się z łóżka o świcie, rozgorączkowana, zdenerwowana, zbita, z oczyma podkrążonemi. Narzuciła



na siebie szlafrok, zapaliła maszynkę i, nie myjąc się, ani czesząc, zabrała się gorączkowo do malowania obrazu.

Było płótno. Przyszła jej „idea“.

Wyładowawszy na paletę dużo farb, rozpoczyna jakąś twarz straszną. Obraz ma mieć tytuł: „Zmora“. Będzie wspaniała. Śmieje się, jest szczęśliwa, że wreszcie coś się uda. Oczy gorączkują.

Niestety, po godzinie mordowania się wszystko zepsute!

Było tak dobre! Zmora, Chimera, Potwór! Wogóle coś strasznego. Miało wyraz, namalowane było odrazu, kilkoma pociągnięciami pędzla.

Błada, wyciera obraz ścierką, walając sobie ręce. Na płótnie pozostaje szaro-rdzawa, czarniawa plama.

Usiadła, patrzy zrozpaczona. Nagle wstaje i bierze za pędzel. Czarna plama, kłębiąc się, coś mówi. Jakieś olbrzymie kłęby dymu, a w dole światełka, coś niby ludzie.

„Pożar w nocy!“

Ostrożnie, umaczawszy pędzel w białej, żółtej i czerwonej farbie, poczyną nadawać kształt twarzy niewielkiej, jasnej plamie w prawym rogu obrazu.

Udało się!! Nietylko twarz, ale i ręce. Jakaś postać wśród dymów wyciąga rozpacznie ręce. Jest obraz! Jest!

Nie „pożar w nocy“—coś lepszego, kompozycja, nastrój! „W otehlani“.

Po bliższem jednak przyjrzeniu się, powstają małe wątpliwości. Obraz strasznie czarny, figurkę ledwie widać.

— Będą go wieszali do góry nogami!—mówi do siebie, i myśl ta rozśmiesza ją i bawi.

Przypominają się jej historie z impresjonistami, Carrierem, Whistlerem, których także w ten sposób na wystawach wieszali, nie będąc w stanie rozróżnić, gdzie jest góra, a gdzie dół.

— Dobrze będzie dodać trochę światła w tej otchłani piekielnej.

Bierze pędzel. Zjawiają się czerwone, żółte, zielone punkty na dole i w górze obrazu.

Odchodzi w tył parę kroków, patrzy...

Illuminacja! Illuminacja! Wspaniała. Jakies miasto w dali, może. Tylko trochę więcej światła? A może rakiety?

W pamięci stają jej, z reprodukcji znane, nocne obrazy Whistlera. Rakiety i fajerwerki.

Czarny obraz pokrywa się kolorowemi pociągnięciami pędzla. Znikła w dymach postać, rozpacznie wyciągająca ręce, zamieniwszy się na jakąś latarnię. Po półgodzinnej pracy...

Czarne płótno, pokryte kleksami kolorowymi — nie, nie!

Płacz, kryzys, załamywanie rąk.

— Boże, mój Boże!

Wygląda, jak z krzyża zdjeta, po nieprzespanej nocy, głodna, zmęczona, z ubrudzonymi po łokcie rękami, z poplamionym szlafrokiem, który sobie niedawno sprawiła.

Kto jej powiedział, że ma talent?

Owszem, mówiono jej, że jest ładna.

Kto jej kazał rzucić dom, „wyrwać“ się?

Owszem. Byli tacy.

Zresztą siedzenie w domu i oczekiwanie na męża — solidnego człowieka ze stanowiskiem, brzuchem i łysiną — to rzecz nudna i przykra, jeżeli do tego ma się rodziców ograniczonych.

Ale kto jej powiedział, że sztuka daje wolność, sławę, szczęście, miłość etc?

Owszem. Kiepskie romanse.

Kto jej powiedział, że sztuka jest łatwa, że wystarczy „wyrwać“ się z domu, uczyć się, siedzieć w akademii,



rysować starannie, pod kierunkiem profesora, model albo stróżowskie dzieci? Przeglądać „Studio“, „Jugend“, sprawić sobie beret, fartuch, urządzić „atelier“, mieć kolegów „artystów“, aby zyskać powodzenie?

Przecież daleko prędzej, łatwiej zyskałaby to wszystko, gdyby oddała, sprzedała wprost siebie, zamiast męczyć się nad rysowaniem starych bab, lub pejzaży. Jest ładniejsza, niż jej obrazy.

Ale biedaczka ma moralność i boi się.

Więc maluje i beczy.

Winna za komorne, tualety się drą, pieniądze, z trudem zdobyte, wychodzą, służba zachowuje się z lekceważeniem, znajomi, koledzy, koleżanki drwią po cichu za plecami, zawiedzeni mecenasi ruszają ramionami, chłodni i obrażeni.

Biedaczka ma długi.

A starannie wyrysowane, nudne, akademickie posładki wychadzonego paryskiego modelu po sześć susów za godzinę—patrzą impertynencko i uśmiechają się dobrotliwie, jak wtedy, na podjam w sali Julienu, gdy patrzyły na rzędy uczniów i uczenie, pracowicie całymi dniami studjujących..... Sztukę!

Ach! Ach!—westchnęły oba pejzaże na obszarpanych tekturkach.

Ha! ha!—huknęła ciapaga.

Nastrojowy portret przewracał białkami.

A podtusiały jegomość w czarnym tużurku i białej kamizelce mruzczał:

— Gdyby ta mała chciała być rozsądniejszą!

*(Dokończenie nastąpi).*





SAVITRI.

Brunhilda.

V.

Ta sama komnata. Gunter w krześle, z twarzą ukrytą w dłoniach. Skald na ławie.

Zmierzchy wpelzają do komnaty, omijają filary, zawisają pod sklepieniem, jak niesłyszalne westchnienia.

Przy bramie odzywa się róg.

Słychać ciężki zgrzyt łańcuchów przy spuszczeniu zwodzonego mostu.

GUNTER.

Most opada, nowych gości wpuszcza zamek mój do  
[wnętrza,  
a radością, a nadzieją pierś zmartwiła ich nie wita,  
wszakże wieści mi nie niosą, że tęsknota najgorętsza  
już jest blizką ukojenia, że pąkowie już rozkwita!

SKALD.

A czy wiesz ty, co przychodzić każdy niesie tobie  
[w darze?

A czy możesz przeczuć chwilę, która łaską ci wyblęska?



Chwile wszystkie uwięzione gdzieś w wieczności, gdzieś  
[w bezmiarze,  
może jutrznia upragniona już nadechodzi, już jest bliska...

Otwierają się drzwi na ścieżaj. Pachołki niosą pochodnie.  
Sala rozświetla się natarczywym, rozmigotanym blaskiem.  
Wechodzi ZYGFRYD, prowadzony przez HAGENA.

HAGEN.

Powitaj chrobrego witezia Zygfyryda,  
przybysza z dalekiej, nieznaney krainy.

GUNTER.

O witaj mi, gościu! znam z pieśni twe czyny,  
nie zerdział w twej dłoni miecz ostry, ni dzida!  
zdejm zbroję, przy dzbanach zasiądźmy na ławie,  
daj słyszeć twe dzieje — słuchamy ciekawie!

OPOWIEŚĆ ZYGFRYDA.

Ciążyło mi życie na zamku mych ojców,  
w bój dłonie, w dal nogi me rwały się chyże.  
Tęskniłem tajemnie do cudu ogrojców,  
i chciałem w oddale, i chciałem na wyże!  
Poszedłem — musiałem — choć płacze ojcowe  
na piersi me padły, gnębiły jak zmora...  
Błądziłem, dążyłem w nieznanę i nowe  
i otom wśród borów napotkał potwora.  
Jadami się pienieł i toczył kadłubem  
i walki pragnieniem zagrały mu tętna.  
Rąbałem — na cielsku miecz złamał się grubem,  
łyssała źrenica złośliwa i mętna:  
smok szydził! Poczekaj — mój gniew cię dosięże.

Wyrwałem z korzeniami jedlice wiekowe  
i, pnie ich spowiwszy w płomienie, jak w węże,  
rzuciałem na kadłub, rzuciałem mu w głowę.  
Oploty go wałem czerwone języki  
i ginął wróg ludzi, ich postrach krwiożerezy.  
Wstuchiałem się w jego rżenia i syki,  
patrzyłem, jak cielsko się wije i skwierczy.  
I pancierz od żaru mu stopniał rogowy,  
pociekła gorąca, zmieszana z krwią struga  
i w niej się skąpałem od stóp, aż do głowy.  
Róg zakrzepł na ciele, jak twarda koleczuga,  
a odtąd żelazo na ciele mem pryska,  
i próżno pociski ślą taki i proce!  
Gdy stałem dumając przy blaskach ogniska,  
dotknąłem ust palcem, zwilżonym w posoce.  
Mój słuch się otworzył, i nagle — o dziwa! —  
zacząłem rozumieć ptaszęce świergoty:

— Tam blisko miecz-Natung, tam skarby ukrywa  
Alberyeh złośliwy—tak blisko do groty...  
A gdy Nibelungów królestwo zdobędzie,  
podąży na wyspę Islandję, gdzie czeka  
walkira-Brunhilda — i on ją posiedzie! —  
on jeden, bo dziewa znaczona mu losem. —

Stuchiałem zdumiony. Pierś drgnęła weselem,  
z mym mieczem złamanym poszedłem za głosem  
i wejście, zarosłe powojem i chmielem,  
zdołałem odszukać. W ponurej pieczarze  
klejnotów i złota piętrzyły się stosy.  
Stałem, czekając, aż wróg się ukaże,  
wtem skądciś, z powietrza, sypnęły się ciosy  
niewidne, mierzone z wściekłością i strachem  
przez karła, przez wroga walecznych i szczyrych.



Raz ciąłem w powietrze straszliwym zamachem  
i padł mi pod nogi struchlały Alberych,  
bo czapkę-niewidkę strąciłem mu z głowy.  
Miecz klęty wydarłem mu z dłoni zbrodniczej  
i w światy wygnałem, sen snił się godowy.  
Udałem się w drogę ku wyspie zwodniczej.  
Ujrzałem Brunhildę w potędze młodości,  
jej słowa — jak obłok przyszłości, jak żwiry  
na trupach przeszłości. To przymus wielkości,  
to jarzmo bohaterstw... Nie, nie chcę walkiry!

GUNTER.

Jej nie chcesz?! Brunhildy? Więc któż ei dogadza?

ZYGFRYD.

Jest dziewczę - marzenie, najcieksza i słodka,  
i wielka zaiste nademną jej władza,  
bo ona, jak z szczytów zerwana szarotka,  
jak kwiat niewiędnący przedziwna i rzadka,  
talizman, ozdoba omszonych kamieni.  
Srebrzystość aż błyszczy z każdego jej płatka,  
a ja chcę źródelka, lecz nie chcę płomieni!  
Więc tobie me serce otworzę olśnione:  
ślabując ci przyjaźń i wieczne przymierze,  
gdy oddasz mi siostrę — Krymhildę za żonę!

GUNTER.

Tak mało za szczęście chcesz oddać w ofierze?  
Chcę więcej, chcę więcej!

ZYGFRYD.

Więc żądaj! Cóż jeszcze?

Slinks.

GUNTER.

Czy wiesz ty—gdyś mówił—zamarto mi tętno...  
Wiesz o niej... Przebiegły mnie ognie i dreszcze,  
i serce zagrało pieśń dziwną, odświętną...  
Ja kocham i pragnę—pragnienie zuchwalcze!  
I to ci powiadam: dwa szczęścia lub żadno,  
za siostrę — Brunhilda.

ZYGFRYD.

Ja z losem nie walczę  
i drogą nie pójdę podstępna i zradną.

GUNTER.

Postuchaj: tęskniłem...  
Postuchaj: ja łkałem w północe bezsenne  
i w ciemność wbijałem źrenice płomienne,  
i głosem rozpaczy wzywałem, wzywałem,  
by przyszła otoczyć ramieniem swem białem.

Postuchaj: tęskniłem —  
ja, słaby, do mojej zwycięskiej tytana,  
do piękna, co zmusza uginać kolana,  
i żyłem tem jednym pragnieniem omdlałem,  
by przyszła otoczyć ramieniem swem białem.

Postuchaj: tęskniłem —  
i tyż to się wzdragasz z męczarni mnie zwolić  
i czoło me szczęścia jasnością okolić  
i wyrzec nad sercem szaleńczem, zbolełem,  
że przyjdzie otoczyć ramieniem swem białem?



ZYGFRYD.

Mam zwolnić z męczarni, obdarzyć mam siłą —  
Krymhildę - królową mam zdobyć lub stracić?  
Sam rządę mym losem i moją mogiłą!  
Wyzywam Nieznane, gdy miłość opłacić  
tą ceną mi przyszło. Brunhildę przywiodę  
na ślubne twe łóżce.

GUNTER.

Ja przyjmę w ekstazie,  
a ona w pierś wleje potęgi pogodę,  
przebaczy mej każdej słabości i skazie.

HAGEN.


Lecz powiedz, witeziu, jak dopniesz zamiaru?  
Trza działać podstępnie, by złamać moc czaru.

ZYGFRYD.

Na mroczną Islandję z Gunterem popłynę.  
Pozornie sam musi pokonać dziewczynę,  
lecz w czapek-niewidce ja stanę przy boku  
i w walce osłonię i mieczem i tarczą,  
gdy ujrzę, że własne mu siły nie starczą.

GUNTER.

Na obraz wolnego, białego obłoku  
my żagle wesoło, wesoło rozwińmy!  
Nas czeka nieznane—więc płynmy, więc płynmy!



## VI.

MORZE. Szara, mglista bezkresność szumi nieutuloną skargą.  
Po falach cicho, żalobnie sunie okręt, wiozący pokonaną WAL-  
KIRĘ-BRÜNHILDE.

Żagle bieleją w nieruchomem powietrzu, jak płyty nagrobka.

Na pokładzie stoi BRÜNHILDA, wsparta o burtę.

Ręce założyła na piersiach.

Oczy toną w niepochwytne oddaleniu.

Mewy lecą z krzykiem wiekuiestej tęsknicy.

Przez ponurą niepojętość, która zapadła nad nią, przebija się  
powoli, ciężką wewnętrzną pracą — ZROZUMIENIE.

GÜNTER zbliża się do BRÜNHILDY z wahającym się pożą-  
daniem.

GÜNTER,

Brunhildo!

BRÜNHILDA.

Czego chcesz?

GÜNTER.

Twój pieszczoty,  
wymarzonej w obłędzie tęsknoty,  
wywrózonej przez łkania harfianc,  
w przeczekaniu bolesnem i krwawem.

BRÜNHILDA.

Ty pieszczoty mej chcesz? Jakiem prawem?

GÜNTER.

Zsiłowałem cię!



BRUNHILDA.

Tyś nie zsiłował!  
 Tyś mnie czarem przemożnym okował!  
 Czuję, wiem, że ta moc, co mnie zgięła,  
 twoją nie jest, nie z ciebie płynęła!  
 Ciebie siły majestat nie krasi,  
 twój głos brzmi, nie jak nakaz gromowy,  
 lecz jak cichy i miękki śpiew ptasi.  
 Tylko cios twój mnie rzucił na ziemię,  
 nie twa jasność, nie moc promienista,  
 z twojej głębi idąca, przezczysta,  
 która z woli zdejmując okowy,  
 budzi wszystko najlepsze, co drzemie...  
 Żadna przemoc wolnego nie spęta!  
 W prochu była ma skroń — a nie zgięta —  
 jeszcze dotąd podnosi się hardo,  
 urągając zwycięstwu — pogardą!

GÜNTER.

O Brunhildo! Dlaczego tak twardo?  
 Ja od ciebie czekałem wyzwolin,  
 chcę za tobą na wyżę iść z dolin!  
 Żebraw szczęścia, stanąłem przy bramie,  
 którą ust twych pieczęcie surowe  
 bezlitośnie zawarły przedemną...  
 Mnie tęsknota zabija i łamie!

BRUNHILDA.

Biada temu, kto tęskni w noc ciemną  
 a nie dorósł do swojej tęsknoty.  
 Biada temu, kto tęskni do chwili,  
 a tęsknicą we wieczność nie sięga,  
 komu nie jest tęsknotą — potęgą!

GÜNTER.

Moją moc tylko miłość zasili,  
na zawrotne mnie wiodąc krawędzie...

BRUNHILDA.

Olbrym sobą jest zawsze i wszędzie,  
kto olbrymem, ten miłość zdobędzie!

GÜNTER.

Ha! zdobędę, zdobędę, szalona!  
Siłę znaj! idź, poddanko, w ramiona!

Usiłuje gwałtem opleść ją ramionami. BRUNHILDA odtrąca go, chwyta za pas i trzyma przez chwilę w wyciągniętej ręce poza burtą, nad morzem.

Z pian morza ukazują się sinawe grzbiety rekinów, a gdzieś niegdzie potworna paszcza błyska martwą białością zębów...

Potem rzuca go o pokład i stawia mu stopę na piersiach.

Nadchodzi ZYGFRYD, cofa się, przykro uderzony pohańbieniem GÜNTERA, i ogarnia BRUNHILDĘ jasnym wzrokiem.

WALKIRA paszcza GÜNTERA i patrzy na ZYGFRYDA, zaczerwawiona, olśniona...

## VII.

KRUŻGANEK królewskiego zamku nad Renem.

Smukłe jego filary oplecione ciężkimi kłębami winogron. Ogród z jednej strony zbiega pochyłością ku szumnym falom, z drugiej — garnie się ku schodom krużganku kępami krzewów różanych, grządkami lilji, ekstatycznie zadumanych, nieuchwytnymi woniami lewkońki i rezedy, tęskniącymi ramionami żwirowych ścieżek, poszumami topoli i kasztanów.

Na krużganku stoi KRYMHILDA i patrzy na okręty, z płaskiem nadpływające ku brzegom.



Białe żagle opadają znużone.

Z gotyckich wieżyc zaczynają bić dzwony majestatyczne, weselne.

Na brzeg wychodzi orszak, kąpiąc się w blaskach południowego słońca, rzucając się orgją barw i połysków na biały piasek wybrzeża.

Wzorzyste tkaniny Wschodu mówią zawile powieści; sobolowe i gronostajowe płaszcze opływają postacie, jak cienie przebrzmiałych rzeczy, drogie kamienie na sukniach i tarczach syją deszcze iskier, same chłodne, jak myśl beznamiętna. pióropusze na hełmach kołyszą się, jak rozbujane marzenia.

Na przodzie idą ZYGFRYD, GÜNTER, HAGEN i BRUNHILDA.

BRUNHILDA wyprzedza orszak, wchodzi w ogród, po marmarowych schodach ku KRYMHILDZIE.

Spotykają się.

Wyciągają ku sobie dłonie i splatają miękko i długo.

BRUNHILDA.

Ku tobie na spotkanie  
aż dasza się otwiera,  
kochaniem tak bogata,  
choć wiem to i zgaduję,  
że w tobie ma zatrata.

KRYMHILDA.

Ty mówisz, taka szczera...  
Ja nie wiem, co się stanie,  
lecz dziwnym niepokojem  
za przybliżeniem twojem  
piers drgnęła tak cichatko...

BRUNHILDA.

W dal biegnę myślą rzutką,  
chcę zerwać welon mgławcy,  
przeczuć idącą chwilę;  
napróżno wzrok swój silę

przed wzrokiem opar krwawy —  
Ja nie wiem, co się stanie,  
lecz mocno, pewnie czuję:  
przy tobie me kochanie.

KRYMHILDA.

My dwie — tak bardzo różne,  
spotkałyśmy się w drodze,  
jak chmurki dwie podróżne,  
które w bezmiary z ziemi  
przyciąga jedno słońce.

BRUNHILDA.

Lecz powiedz, mnie mówiono,  
masz wkrótce zostać żoną,  
masz stanąć przy ołtarzu —  
i komaż cię ślabiono?

KRYMHILDA.

O jasnym mym mirażu  
mówiono ci tak mało?  
Z Zygfydem sen mój prześnić,  
wypiję wieczność całą!

BRUNHILDA.

Z Zygfydem?! Wszak on tylko  
Guntera jest lennikiem.

KRYMHILDA.

Ród jego starodawny,  
on królewskiego rodu,  
rycerz, po świecie sławny



bohaterstw swych bezlikiem.  
On pławił się w krwi smoka,  
miecz - Notung zdobył w boju,  
skarb Nibelungów zdobył  
i czapkę, co z przed oka  
czarami go ukrywa.

BRUNHILDA.

Przeznaczeń dłoń straszliwa  
coś łamie, obłąkana...  
Znaczone losem dłonie  
niewidne mnie zwalczyły,  
zwalczyły — nie dla siebie...

KRYMHILDA.

Wątek twych słów zawily —  
w męczarni chyliż skronie  
Czy z rąk mych wyszła rana?

BRUNHILDA.

Nie, dobre twoje ręce  
niewinne mojej męce,  
ja kocham je, bo one  
posiadły moją stratę.  
i bólem mym bogate!  
Za zmarłe szczęście moje  
twych miękkich włosów zwoje,  
jedwabne, połyskliwe,  
radośnie błogosławię!  
Te w długich rzęs oprawie  
źrenice przepaściste,  
to czoło białe, czyste,  
i wszystko, co jaśnieje

nieziemskim pięknem, czarem,  
ja w tobie błogosławię!

KRYMHILDA.

Ty płaczesz, płaczesz prawie..

BRUNHILDA.

O nie! ja tak się śmieję!

Całuje KRYMHILDEĘ w czoło i szybko zbiega do ogrodu, gdzie się gubi na zakręcie alei.

KRYMHILDA patrzy za nią nie rozumiejąca, choć boleśnie dotknięta.

Z drzwi zamkowych wychodzi na krużganek ZYGFRYD.

Patrzy jej w oczy głęboko, głęboko...

Przy filarze, u góry, zatrzepotały białe gołębie.

Ze smugami promieni sływa szczęście zgoła nieziemskie, tak niezamącone, że aż niewiedzące o sobie.

## VIII

OGRÓD. Dziki zakątek, porosły gęstwiną drzew i krzewów.  
Gwieździsta noc.

Na złamanym pniu drzewa siedzi BRUNHILDA, znieruchomiała,  
kamienna.

Drzewa kupią się dokoła niej, wsłuchując się w jej ból, bez-  
szumne, strwożone.

Nietoperze z miękkim, ledwo dosłyszalnym lopotem zataczają  
nad nią kręgi.

Przez milczenie bezpowrotności przedziera się żywa mowa  
skargi i wybucha w pieśniach.

BRUNHILDA śpiewa długo, szalenie, bezpamiętnie...



## PIEŚŃ BÓLU.

Nie mogę już — tak pierś ma rozboleła  
i rwie się z ust krzyk męki nieprzytomny,  
i wstrząsa pierś niepowstrzymanem łkaniem...  
Rozszalał ból — obłądny, przecogromny!

Rozszalał ból — mocarzu, bądź pozdrowion!  
Opada skroń — lecz wiem, że przed kolosem  
on we mnie wszedł, ogarnia mnie, przepala,  
i całam ja przepelną jego głosem!

Pozdrowion bądź, pozdrowion bądź, mocarzu!  
Jak burza, wrę ta męka nieczłowiecza,  
i w krwawych łzach możliwość szczęścia kona,  
i słońcu cię na wieków wiek zaprzecza!

## PIEŚŃ SKARGI.

A więc to prawda, że nigdy nademną  
nie wszędzie dokonań dziw,  
że bez przystani mam błąkać się wiecznie  
wśród morza pienistych grzyw?

A więc to prawda, że nigdy w tęczach  
nie wstanie weselny dzień,  
że nie zaśpiewa jasnym chorałem  
twórczych porywów i drgnień?

A więc to prawda, co rozpacz szepcze,  
w potwornych godzinach mąk,  
że moje młode życie — zabite,  
że śmierć mu przyszła — z twych rąk?!

## PIEŚŃ WYRZUTU.

Miałeś moc cudotwórczą nademną,  
mogłeś w łuny rozdmuchać pożarne  
każdą iskrę mej myśli i woli, —  
i ta moc twoja poszła na marne!

Miałeś moc cudotwórczą nademną,  
byłam w dłoniach twych miękkiem tworzywem  
tak podatnem! Ja mogłam dla ciebie  
powstać dziełem potężnem, szczęśliwem!

Miałeś moc cudotwórczą nademną,  
a to zbaweże, to wielkie czyn — słowo  
nieodkłęte z mej piersi, — dla świata  
już nie zabrzmiał muzyką gromową.

Miałeś moc cudotwórczą nademną,  
a zepchnąłeś mnie w cisze cmentarnej,  
niezrodzone — umarło me dzieło,  
i ta moc twoja poszła na marne!

## PIEŚŃ POZNANIA.

Ja cierpię, ja płaczę w noc ciemną,  
srebrzyście lśnią gwiazdy i lzy,  
a niebo wysokie nademną,  
a na niem wysokie me sny!

Mnie nieba ogarnia sklepienie —  
olbrzymi wieczności to dzwon,  
on dzwoni, on głosi zwolenie  
z wszystkiego, w czem męka i skon.



I czuję, że stałam się wieczna  
przez wieczny, bezbrzeżny ten ból,  
że prawda nie wszędzie słoneczna  
dla tęsknot skowanych i wóli

Mnie słowo głosiło wróżebne,  
że miłość, jej szczęście i blask  
rozpęta mi loty podniebne  
i we mnie otworzy źródł łask.

Nie przyjdzie, nie przyjdzie już słońce,  
nie zleca, by trzymać tu straż,  
przejasne anioły-obrońce,  
ku smutnym schylając swą twarz!

Więc niechaj z męczarni się poczną  
olbrzymie posągi mych dzieł,  
niech walcą z potęgą wyroczną,  
niech wyrwą jej prawdę z za mgieł!

Bo słowo przeznaczeń jest we mnie!  
niech w bólu dojrzewa ma moc!  
Gałęzie coś szepeją tajemnie,  
gwiazdami mręcemi łka noc!

Z nieba spada deszcz cichych, srebrnych gwiazd, gasnących  
nad głową BRUNHILDY...

*(Dokończenie nastąpi).*





WALERY GOSTOMSKI.

## W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

(*Ciąg dalszy*).

### VI. Człowieczeństwo szczytów: Sybille i prorocy\*).

Nie zdarzeń i sytuacji obrazy, lecz pojedyncze figury będziemy teraz mieli do rozpatrzenia: ale figury tak bogate w treść psychiczną, tak pełne wyrazu w postawie, giescie i twarzy, iż każda z nich za mnóstwo zdarzeń starczy, każda jest jakby centralną postacią niezmiernie szerokich kręgów możliwego życia, odbijającego się w niej olbrzymim zasobem swych dążeń, wstrząśnień, porywów.

Bezmiar możliwości życiowych:—oto istotne znaczenie tych wspaniałych kreacji, tych tworów gienjusza, zawierającego w swem jestestwie jakieś niezmierne ogromy potencjalnych sił bytu, jakieś bezdenne otęchłanie jego tajemnic. Oczy nasze cielesne nie mogą się dość napatrzeć na to bogactwo kształtów, na tę nieźrównaną doskona-

---

\*) Poprzednie rozdziały tej pracy drukowane były w *Sfinksie* w drugim półroczu 1909 r.



łość artystycznego i technicznego wykonania, — oczy naszej duszy, magnetycznie jakby pociągane, wnikają coraz głębiej w wewnętrzną treść psychiczną tych przedziwnych kreaacji i nigdy na wskroś ich przejrzeć, do dna zgłębić nie są zdolne.

Oczywiście nie we wszystkich moc jednaka, nie we wszystkich jednakie bogactwo, ale żadna z nich nie jest bez znaczenia, bez treści psychicznej, bez wyższej siły żywotnej. A jakie ich mnóstwo, jaka w nich różnorodność typów, charakterów, właściwości indywidualnych. Cały to odrębny, zamknięty w sobie świat, oddzielna kraina sztuki, w której włada mocarz-artysta i niby drugi Prometeusz tworzy na obraz i podobieństwo swoje ludzi-Tytanów, ludzi-Herkulesów, ludzi myśli głębokiej, natchnienia wysokiego, żywiołowo wybuchającej natury cielesnej. A wszystkie te przejawy człowieczeństwa to różne odmiany człowieka wiecznego, nie należącego do żadnej epoki, do żadnego kraju ni narodu—to różne upostaciowania twórczej o nim myśli, intuicyjnej o nim wiedzy artysty.

Nigdzie zaiste samorzutna siła gienjusza Michała Anioła nie zaznaczyła się dobitniej i oryginalniej, jak w tej jego malowanej ludzkości sykstyńskiej, którą tam wysoko u stropów stołecznej kaplicy papieskiej wyrzucił z głębin swej duszy żywiołową siłą natchnienia twórczego. Jest ta ludzkość własną, samoistną kreaacją artysty, wykwitem pełni jego człowieczeństwa, wytworem przebogatych środków jego sztuki. Godnem jest uwagi, jak w tych postaciach, rozsiadłych na malowanych ławach i gzymsach Sykstyńny, oprócz imion, nie niema z historii, tradycji, wyobrażeń konwencjonalnych; a z drugiej strony jak w artystycznym ich ukształtowaniu niema nic, co by sięgało poza zakres sztuki plastycznej, poza jej formy i środki. Ani śladu treści literackiej czy anegdotycznej, lub tendencji

moralizatorskiej, ani śladu schlebiających wyobraźni widza malowniczych efektów.

Nie krom kształtu plastycznego, krom wyrazistej figury. I w tych ciasnych granicach, w tych zwięzłych formach takie bogactwo treści duchowej, taka pełnia życia, taka zupełność, skończoność w sobie tego jedynego w swoim rodzaju upostaciowania ludzkości w zasadniczych przejawach jej bytu, w najistotniejszym układzie i ustosunkowaniu jej sił duchowych i cielesnych.

Naczelne wśród niej miejsce, przodownieze niejako stanowisko zajmuje dwanaście kolosalnych figur, przedstawiających proroków i sybille. Każdy, kto wkroczy w progi Sykstyńskie i ogólnym rzutem oka ogarnie nieprzebrane bogactwo barw i kształtów, jakie go tu otoczy, jeśli tylko wrażliwy jest na działanie sztuki, od razu uderzony zostanie jakąś niewysłowioną mocą, jakąś majestatyczną powagą, niekiedy majestatyczną grozą, bijącą od tych wspaniałych, potężnych tworów wielkiego artysty. Odkąd sztuka na ziemi istnieje, nigdy nie zdołała skupić takiej siły, takiego majestatu w wyobrażeniu jestestwa ludzkiego i nigdy zapewne wznioślejszego wyrazu dać mu w przyszłości nie zdoła. Jak freski Rafaela w polizkich Sykstyńskich stancach mogą być uznane za najdoskonalszy znany nam objaw *piękna* artystycznego, tak widniejące na jej sklepieniu wielkie kreacje Michała Anioła przemawiają do nas najwyższym, najpotężniejszym, w sztuce wyrazem *wzniosłości*.

Noszą one znane nam z historii lub z tradycji imiona, te jednak niewiele mogą posłużyć do wyjaśnienia poszczególnej ich charakterystyki, co najwyżej dają nam tylko ogólny zarys uprzedmiotowionej w nich idei twórczej. Z wyżyn sklepienia Sykstyńskiego patrzą na nas duchy-mocarze, króle-duchy ludzkości, namaszczone na swe królowanie chryzmatem bożego postannictwa.





Grzech pierworodny.

(Z fresków sykstyńskich Michała Anioła).



Faint, illegible text or markings located below the large blue area, possibly a title or a page number.



Gdziekolwiek ród ludzki wznosił się do wyższych sfer bytu, wszędzie miał na swem czele tych wodzów duchowych w walkach, jakie staczał za prawdę, za ideał swego człowieczeństwa. W tradycyjnych i historycznych wspomnieniach chrześcijaństwa zjawiają się oni w postaci natchnionych zwiastunów ideału i prawdy Chrystusowego człowieczeństwa. Z ich imionami, z imionami wieszczych sybill i proroków bożych, złączył Michał Anioł te w dwunastu naczelnych figurach Sykstyńskich gienjalne upostaciowania własnych swych pragnień duchowych, któremi z tytaniczną iście mocą rwał się ku ideałowi chrześcijańskiemu wśród zaprzeczającej mu na każdym kroku rzeczywistości współczesnej, zaprzeczającej tak często judaszowym pocałunkiem pod znakiem krzyża, przy wezwaniu imienia Chrystusowego.

Nie chodzi tu przeto o historyczno-artystyczne wskrzeszenia, lecz raczej o plastyczne wyrażenie ponadhistorycznej myśli artysty, myśli-uczucia, myśli-pragnienia i dążności, co wiecznie żyje i nurtuje w zbiorowej duszy wszechczoneństwa i ku dalekiej, dalekiej, wciąż oczekiwanej i wciąż nieziszczanej zwraca się przyszłości. Są epoki, w których ona rozkwita pełnią nadziei, są inne, w których burzy się tragiedją zawoda, lub amiera zwątpieniem.

Wiemy, jakim potężnym rysem tragicznym zaznacza się w całej twórczości gienjalnego ucznia Savonaroli. Wzrasta ona wciąż i wzrasta w jego twórcach: w prorokach i sybillach kulminacyjny punkt osiąga, a po wielu latach w Sądzie Ostatecznym końcówą wybucha katastrofą.

Jeśli wpatrzymy się bacznie w twarze i giesty tych dwunastu natchnionych postaci męskich i niewieściech (siedmiu proroków, pięciu sybill), dostrzeżemy w nich najogólniejszy, zasadniczy wyraz smutnej kontemplacji, przez bardzo urozmaicone stopniowanie bolesnych przeczuć i niepokojów przechodzący w stan posągowej rozpacz.

Nigdy na tych wyrazistych obliczach nie widzimy pogodnego odbłasku nadziei lub płomienia radosnej ekstazy. Cienie i światła przesuwają się po nich w bardzo rozmaitem ustosunkowaniu, zawsze jednak w granicach pewnej skali wyrazowej, którą tragiczną nazwać można. Ale w tych granicach jakież bogactwo stanów i momentów psychicznych przy takiej różnorodności typów, charakterów, płci, wieku, temperamentu. Z połączenia tych cech zmiennych i stałych, tych rysów indywidualnych i typowych powstaje ta przedziwna pełnia życia. Każda postać żyje samoistnym swem życiem, z każdej twarzy, z każdego giestu przemawia odrębny świat duszy. Wspólna tylko im wszystkim wyższość rasy, rasy jakichś nadludzkich olbrzymów, jakby w skałach z granitu kątach potężnymi ciosami mocy, a rzezanych najdelikatniejszym dławem wrażliwości psychicznej. Tutaj każda pierś skrojona ponad miarę Fidjasa, wedle fidjaskowej harmonji kształtów.

Wzajemne ustosunkowanie sprzecznych, uzupełniających się pierwiastków, mocy i subtelności, bezmiaru i harmonji, różnie się przedstawia w poszczególnych postaciach i w połączeniu z wiekiem, płcią, temperamentem określa charakterystyczny wyraz każdej z nich. W bogactwie i sile wyrazu, w natężeniu wiecznego natehnienia—postaci niewieście i męskie nie ustępują sobie wcale. W kobiecie też sama ta, co w mężczyźnie, pełnia człowieczeństwa, a przytem z tak dobitnym odcieniem kobiecości. Sybille Michała Anioła nie mają w sobie z typu *virago*; nie są to *zmężczyznione*, lecz w całej pełni *uczłowieczone* kobiety. I wiek nigdy i w żadnej mierze nie tamuje w kreacjach artysty swobodnego przejawu wyższej natury ludzkiej. Tak sybille, jak i prorocy, przedstawiają typy różnego wieku, od kwitnącej młodości aż do sędziwej, zgrzybatej starości. Charakter przejawów uczuciowych czy myślowych odpowiada wiekowi poszczególnych postaci, ale ton, na-



strój ich nigdy nie słabnie, nie zniża się: starość jest tu zawsze w pełni mocy, młodość w pełni świadomości. Jednym słowem w tych przodowniczych swych duchach, jak je tu widzimy upostaciowane w kreacjach wielkiego artysty, człowieczeństwo przejawia się zawsze w całym bogactwie swego jestestwa, w doskonałym, zupełnym wcielaniu swej treści wieczystej.

„Co ludzkości całej jest udziałem, w mej wewnętrznej zawrzeć chcę istocie“,—woła Faust Goethego:—przewodnie hasło humanitaryzmu nowożytnego, na trzy stulecia przed wypowiedzeniem go w słowach wielkiego poety unaoznaczone w kształtach ludzkich przez gieńjusz największego z plastyków.

Któż zdoła zgłębić do dna tajemnicę człowieczeństwa, w kształtach tych ukrytą? Oto kilka myśli, kilka spostrzeżeń, nasuwających się przy bliższem ich rozpatrzeniu.

Przedewszystkiem młodość w pełni swej mocy i swego wdzięku.

Czarowna postać sybilli Eritrei to osobiony wdzięk niewieści w całej bujności rozkwitu młodzieńczego. Artysta, nieczuły na erotyczne wabiki kobiecości, jakże umiał oddać niewysłowiony jej urok poza obrębem wszelkiego erotyzmu. Ta piękna kobieta o cudownej prawdziwie harmoniji kształtów, w pozycji siedzącej, niewymownie wdzięcznym ruchem półzwrócona ku olbrzymiej księdze, której karty lewą ręką przewraca, nie ma w sobie ani cienia powabu zmysłowego, a jednak jakim tchnie czarem szczerzej natury niewieściej, wieczno-niewieściego jestestwa, *des Ewig-Weiblichen*, jakby rzekł Goethe. Jest to wieszczka w przygotowanej jakby do wieszczenia chwili: oto roztworzyła księgę losów wyrocznych, mały gieńjuszek obok niej zapala i rozdmuchuje płomień lampy, może symbol mającego wnet zapłonąć jej natchnienia?

W przygotowawczym również, uprzedzającym poryw duchowy momencie przedstawiony jest najmłodszy z proroków, Dańjel, istny olbrzym o potężnych, ciężkich nieco kształtach ciała i pięknej, wyrazistej głowie, doskonałe upostaciowanie mocy i energii młodzieńczej: duch silny w silnym ciele, pełnia życia w całej postawie i w twarzy świeżej, młodością kwitnącej, lecz twardej, jak w marmurze kutej i jakby pociemniałej przedwcześnie od wybijającego na niej pomroku wieszczych tajemnic. Siedzi nad wielką, rozwartą księgą, o łono jego wspartą, z dołu przez małego gienjuszka podtrzymywaną; lewą rękę na księdze położył, prawą z boku na tablicy coś zapisuje. Czy proroctwo z dawnych wieków przekazane, czy myśl jakąś, co nagle mu błysła, by kiedyś rozpłomienić się ogniem górnych natehnień? Cokolwiek z księgi wieków, czy z twórczej swej myśli wypisze sobie ten wieszczy młodzian z rodu Tytanów, będzie on umiał wykuć to w swoim czasie ramieniem czynu męskiego na tablicach przeznaczeń ludzkości.

Do wyrazu twarzy i postaci w spokojnym układzie przyłącza się w dalszych kreacjach artysty wyraz mniej lub więcej ożywionego ruchu: zewnętrznego ruchu całego ciała w różnych jego pozach i gestach, lub wewnętrznego poruszenia duszy, odbijającego się w przedziwnie wyrazistych obliczach.

Michał Anioł jest pono największym na świecie odtwórcą plastycznym ruchu ciała ludzkiego. Jego niewyczerpanie pomysłowa wyobraźnia, wspierana nigdy niezawodzącym darem spostrzegawczym i niezrównanie doskonałą techniką wykonawczą, wydała w tym zakresie istne cuda twórczości, w jednym jakby przypadkowym ruchu czy giescie, w jednym błysku spojrzenia, zwrocie głowy, skurczu twarzy, umiała zawrzeć istne skarby artyzmu, prawdy życiowej, wyrazu uczuć i myśli.



Postaci Sykstyny dostarczają tu niezliczonych, przewybornych przykładów.

Oto dwie młodzieńcze postaci w ożywionym ruchu zewnętrznym: sybilla libijska i prorok Jonasz. „Libica“ to piękna o szlachetnych rysach kobieta, która w pozycji siedzącej podnosi z dość wysokiego pulpitu wielką i ciężką książkę i oczami w bok zwróconymi szuka miejsca, gdzieby ją mogła położyć dla wygodnego czytania. Ruch, jak widzimy, czysto przypadkowy, zewnętrzny, patrzmy jednak, jak przedziwnie uwydatnia się w nim postać młodej wieszczki w całej krasie jej kobiecej piękności, w całej wzniosłej, a tak jednak prostej i realistycznie oddanej szlachetności jej wyższego, nadludzkiego jestestwa.

Przeciwieństwem jej buntowniczy prorok—Jonasz. Cały nagi, górną częścią ciała w tył zwrócony, na prawym łokciu wsparty, z głową na lewo ku górze podniesioną, siedzi pełen buntu, protestu, skargi. Ciało jego w swym osobliwym upozowaniu i nadzwyczajnym skrócie, istny cud techniki malarskiej, jest przytem tak potężne, olbrzymie, tytaniczne, a twarz, choć nie piękna i dość pospolita, tak intensywnie wyrazista, taka w nim siła, taki rozmach gestu, iż otrzymujemy ogólne wrażenie iście prometejskiej postaci, która zadziwia, niepokoi i raz widziana niestartymi ryje się w wyobraźni rysami.

Na wyrazie twarzy, na skupieniu w nim wewnętrznego poruszenia duszy, polega charakterystyka dwóch ostatnich postaci wieszczych, przedstawionych w rozkwicie młodzieńczego wieku; sybilli delfickiej i proroka Izajasza. U „Delfiki“ wyraz skupia się głównie w spojrzeniu, najbardziej wymownem, najpotężniejszym może spojrzeniu ludzkim, jakie kiedykolwiek sztuka zdołała odtworzyć. Wieszczka o klasycznie pięknej twarzy, trzymając w ręku zwitek papieru ze spisanaą może swą wróżbą, wyteżonym wzrokiem w dal spogląda, jakby wypatrując gdzieś w bezmia-

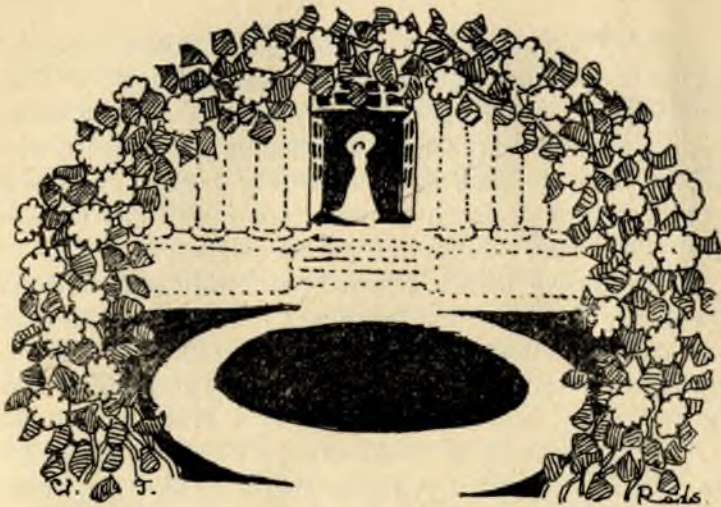
rach przestrzeni i czasu iszczących się zdarzeń wyrocznych. Oczekiwanie i niepokój zarazem jest w tych cudnych, wyrazistych oczach wieszczych. Czy nie dusza samego artysty niemi spogląda?—dusza tak bardzo wyczekująca, tak trwożliwie, niekiedy rozpacznie zaniepokojona o przyszłość umiłowanego ideału, o przyszłą jego realizację. Daleko, daleko, sięga jej wzrok poza kresy swojej epoki, naszej obecnej epoki, w sferę zawsze jeszcze nieziszczonego i nieiszczącego się ideału człowieczeństwa.

Wyraz twarzy w połączeniu z nader wymownym giestem charakteryzuje stan duszy Izajasza. Prorok co tylko przerwał czytanie. Prawą ręką trzyma niedomkniętą jeszcze księgę, grzbietem opartą o ławę. Twarz, rozjaśnioną błyskiem natchnienia o bolesnem ast rozchyleniu, zwrócił na wołanie dwóch gienjuszaków, z których jeden o dziwnie wyrazistej, natchnionej, jakby przedwcześnie dojrzałej twarzy, rączką wskazuje jakąś nadziemską może wizję, gdy drugi jakby ją miał już w szeroko rozwartych przerażonych oczach. Lewa, wsparta na księdze ręka proroka przedziwnie wyrazisty czyni giest natężonej uwagi. Cała jego postać jest jednym wielkim giestem oczekiwania, bladość oblicza świadczy, że nie jest to radosne, nadziei pełne oczekiwanie, bolesny wyraz ust tragicznym zaznacza je rysem.

*(Ciąg dalszy nastąpi).*







## WRAŻENIA TEATRALNE.

**Aktorki**, komedia w 4-ch aktach Stefana Krzywoszewskiego i **Srebrne szczyty**, powieść dramatyczna w 4-ch aktach Tadeusza Konczyńskiego na scenie teatru Rozmaitości.

**Odwieczna Baśń**, poemat dramatyczny w 3-ch aktach Stanisława Przybyszewskiego na scenie teatru Wielkiego.

**Kochanek mimo woli** („Les passagères“), komedia w 4-ch aktach A. Capus'a w Rozmaitościach.

Wznowienie **Króla Leara** Schakespeare'a i **Dworu we Władkowi-  
cach** Przybylskiego.

Teatr Mały i „Wolna Scena“ w Filharmoniji.

W drugiej połowie sezonu zimowego ospałe nieco tempo repertuarowe w naszym dramacie i komedji ożywiło się znacznie — i to w pożądanym ze wszech miar kierunku sztuk oryginalnych. W ciągu ostatnich sześciu tygodni mamy do zanotowania w Rozmaitościach i w Wielkim jedną tylko nowość obcą, lekką komedję A. Capusa p. t. „Kochanek mimowoli“, a trzy wymienione w nagłówku nowe sztuki oryginalne, utrzymujące się lub mające wszelkie szanse utrzymania się dłużej na afiszu.

Jeżeli dodamy dwa wznowienia: „Króla Leare’a“ w teatrze Wielkim i „Dworu we Władkowicach“ w Rozmaitościach, i jeżeli uprzytomnimy sobie, że scena Wielka zajęta jest przez większą część tygodnia przez operę włoską, to dojszć musimy do wniosku, że zwykłe zrządzenie recenzentów teatralnych na repertuar i jego kierowników byłoby w danym momencie—nie na miejscu.

W teatrach warszawskich zapanowało pożądane od dawna ożywienie: sztuki nowe w pełni powodzenia ustępują miejsca nowszym jeszcze; nie tylko operetki i krotkowie, ale komedja i dramat ściągają do przybytków Melpomeny tłumy, które wychodzą z nich przeważnie zadowolone i powracają z zaufaniem po każdej zmianie afisza. Między teatrem a publicznością wznawiać się wreszcie zaczyna zapomniany już niemal kontakt; nawiązuje się zerwana oddawna nić sympatji,—i gdyby jeszcze prasa codzienna świadomie i celowo pielęgnować chciała te wątki na razie roślinki, gdyby nie tylko we wzmiankach reporterskich, ale i w sprawozdaniach krytyków przysięgłych, okazywać łaskawie raczyła więcej nieco sympatji i życzliwości dla usiłowań kierownika literackiego, reżyserji i artystów, gdyby nie lękała się—zakrzusieć czasem pochwałą gorętszą, to może nareszcie publiczność nasza przyzwyczaiłaby się na stałe szukać znowu rozrywki w chwilach wolnych nie w deprawujących ją artystycznie i moralnie lichą parodją sztuki kabaretach i kinematografach, i nawet nie na operetce lub mniej albo więcej głupiej (z rzadkimi wyjątkami) farsie, lecz przede wszystkim na dramacie i komedji, chociażby te przedstawiały jeszcze to i owo do życzenia, chociażby nie były arcydziełami skończonymi, o które, jak wiadomo, nie tylko u nas niełatwo.

Nie ma bynajmniej pretensji do tytułu arcydzieła, ale jest dobrą weale sztuką spektaklową, cieszącą się powodzeniem dażem i doskonale grana w teatrze Rozmaitości



czteroaktowa komedia Stefana Krzywoszewskiego p. t. „Aktorki“. Jest to jedna z takich zajmująco i dobrze „zrobionych“ sztuk scenicznych, jakie grywane bywają z powodzeniem we wszystkich teatrach na świecie, nie budząc nigdzie podobnych jak u nas zastrzeżeń, grymasów i wątpliwości.

Chociaż... piszący te słowa, do tych, które już zrobiono i których, co prawda, nie podziela przeważnie, ma ochotę dodać jeden jeszcze znak zapytania, dotyczący zresztą nie treści, lecz—tytułu nowej sztuki autora „Edukacji Bronki“ i „Przywódcy“.

„Aktorki“? Uogólnienie takie w tytule bywa zwykle trochę niebezpieczne. Autor przesawa przed oczyma naszymi trzy tylko przedstawicielki świata teatralnego, sylwetkę jednej zarysowując i cieniując starannie, a dwie inne szkicując tylko. Nie roszczę pretensji do znajomości bliższej świata zakulisowego, zdaje mi się jednak, że panuje w nim znacznie większa różnorodność, niż w „Aktorkach“ p. Krzywoszewskiego, że są w nim charaktery i typy, nie reprezentowane zgoła w jego utworze, i że świat ten naogół korzystniej znacznie wygląda w rzeczywistości, niż w mającej go malować komedji.

A mówiąc to, mam oczywiście na myśli nie sympatyczną, subtelną, do miłości i poświęceń zdolną Millerową, której postać odtwarza z uczuciem i wdziękiem takim p. Marja Przybyłko, lecz dwie inne „aktorki“: starą a koehliwą i zazdrosną Pańkowską (p. Majchrzycka) i lekko-myślną a zmienną nader w swych sympatjach erotycznych przyjaciółkę i dręczycielkę zasnętego Nieciaszki, dobrą zresztą dosyć, byle nie na stałą towarzyszkę życia, pannę Justynę Krotkiewiczównę, w której sylwetkę dużo szczerości i życia zdołała wlać wyborna, jak zwykle, p. Felicja Pichorówna.

Otóż pozwoliłbym sobie twierdzić, że dwie te figury

reprezentują zbyt jednostronnie świat teatralny i że — jeśli sztuka miała nosić tytuł „Aktorek“ — należało w niej wzmocnić znacznie barwy zarówno dodatnie, jak ujemne, zarówno jaśniejsze, jak ciemniejsze, pogłębić i urozmaicić cały obraz środowiska, albo też — co łatwiejsze — wyrzec się uogólnienia w tytule.

Poprosta, trzy te postacie, które nam ukazuje autor, nie wyczerpują jeszcze świata „aktorek“, który jest naprawdę znacznie bogatszy i bardziej — skomplikowany, niż w tej komedji, więc tytuł — nie był pomyślany szczęśliwie.

Ale to ostatecznie bagatela. Gorzej byłoby, gdyby do „Aktorek“ dało się zastosować zapytanie: „Co po tytule, kiedy pustki w szkatule?“, a tego w żaden sposób powiedzieć o tej sztuce nie można. Komedja p. Krzywoszewskiego jest — przeciwnie — szkatułą o zawartości urozmaiconej i miłej, podanej widzowi w sposób zręczny, świadczący o doskonałej znajomości sceny i techniki teatralnej. Jest to niewątpliwie ciekawe zestawienie dwóch światów, przy czem sympatja autora ciąży dosyć wyraźnie ku temu, który potępiany bywa zwykle przez różne enotliwe i szlachetne, a pozbawione młodości lub wdzięku matrony, w rodzaju siostry głównego bohatera sztuki, Henryka Liskiego, pani Zuzanny Dąbkiewiczowej, odtworzonej bardzo dobrze, bez cienia narzucającej się tu łatwo karykatury, przez p. Wandę Barszczewską.

Nie szczędził zwłaszcza autor dowodów sympatji zakochanej w Liskim tak szczerze i bezwzględnie i tak ładnie kochać umiejącej Annie Millerowej, która dla pani Dąbkiewiczowej jest tylko „rozpustnicą“ i „ładacznicą“, a dla nas, dzięki Krzywoszewskiemu w znacznej mierze, ale w części i dzięki przesubtelnej, pełnej chwytającego za serce uczucia grze p. Marji Przybyłko, staje się wonnym kwiatem kobiecości, który wyrósł tuż nad bagniskiem, rozwinął się i zakwitł precudnie w promieniach własne-



go, odradzającego duszę, wielkiego uczucia miłości, a nie odezuty i nie oceniony należycie przez chłodnego i wyrachowanego działacza społecznego, który się spostrzegł zapóźno, czem ta kobieta mogłaby stać się dla niego, jako żona, nie łamie się jednak i nie upada w kałużę, lecz znajduje w sobie dosyć mocy, aby raz jeszcze odrodzić się duchowo, odrzucić zabiegi łakomych na zdobycz łatwą dadków dziennikarskich, odrzucić nawet ofiarowaną zapóźno rękę Liskiego i, zrezygnowawszy już z tak zwanego szczęścia, poświęcić się wyłącznie wielkiej koiciele smatków wszelkich—sztuce.

W starciu dwóch światów odnosi tryumf — aktorka. A może nie o aktorkę tu chodzi, może nawet czasby już było zaprzestać przeciwstawiania poetów, malarzy, aktorów zwłaszcza—reszcie „normalnego“ i „cnotliwego“ społeczeństwa „porządnych“ ludzi?

Tryumf Anny Millerowej w komedji Krzywoszewskiego—to przedewszystkiem tryumf jej szczerego uczucia, skierowanego z początku do człowieka tylko, który, co prawda, na to nie zasługiwał, a potem do wielkiej, dającej zapomnienie i ukojenie sztuki. Tryumf uczucia, powtarzam, nad ością i odstraszącą pruderią takiej Dąbkiewiczowej, zdolnej zohydzić życie własnemu bratu i dzieciom i zamienić świat w jakiś wielki klasztor kwakrów; tryumf uczucia nad egoizmem karjerowicza politycznego, Liskiego, nad poziomymi instynktami i pożądaniami całego tego stadka ludzkiego, w którym szlachetna dusza zmarnowanego poety Nicciuszki świeci jak brylant w śmietniku.

Chociaż zachowanie się aktorów w domu mamy Dąbkiewiczowej jest z pewnością cokolwiek—niewłaściwe, chociaż ta zaena pani ma niewątpliwie swoje zastugi i cnoty, czytelnik i widz stają odrazu po stronie Anny i jej towarzyszków, jak stanęliby po stronie wonnego kwiatu, gdyby

on walczył z pożyteczną, lecz brzydką i przytem ciasną bardzo główką kapusty, niezdolną, rzecz prosta, do żadnego uczucia tkliwszego. Bo tak już ten świat jest urządzony, że, choć sami egoiści, lubimy się wzruszać szczerem uczuciem innych, a nawet zapatrzeni w koniec nosa własnego — gotowiśmy powtarzać z poetą: „Ukochać trzeba coś, ukochać...”

Spotkałem się w prasie z twierdzeniem, że postać Henryka Liskiego, owego działacza, pełnego zawsze pięknych frazesów na ustach, zwalczającego namiętnie strajki robotnicze w imię hasła jedności narodowej, tak wygodnych dla tych, którzy nie mają wcale ochoty zmniejszać ustalonej normy „nadwartości“, że słowem znany nam już dobrze p. Henryk Liski jest postacią „papierową“.

Niepodobna się zgodzić z tem twierdzeniem. Takich Liskich, zawsze poprawnych i ubranych starannie, zawsze zrównoważonych i wytwornych, zawsze mających na ustach frazes zaokrąglony i pięknie brzmiący, takich Liskich, cieszących się szacunkiem powszechnym, przodujących w swoich stronnictwach czy stowarzyszeniach, dbających przede wszystkim o pozory, o niezdradzenie się z tem, co mogłoby narazić ich dobrą opinię, chociażby to miało być nawet przepelnione uczuciem serce kochającej i po sobie, to znaczy egoistycznie, kochanej niby kobiety, takich Liskich można u nas spotkać na każdym kroku; imię ich legjon poprostu, i właśnie, niestety, są oni nie papierowemi, lecz bardzo żywemi, bardzo prawdziwemi, choć bezdasznemi postaciami.

Żądacie od nich odrachu serca, krzyku czującej i wrażliwej duszy: oni wam dają frazesy zdawkowe.

Kochająca gorąco, obrażona w uczuciach najtkliwszych kobieta, zachwiana przez rzuconą w twarz obelgę w szacunku, żywionym dla samej siebie, przebudzona nagle i brutalnie ze snu czarownego, oczekuje od takiego



pana słowa rehabilitacji i podniesienia, słowa mocnego, jak czyn, odradzającego, jak burza, i otrzymuje znowu frazes bardzo rozsądny: „Jesteś podrażniona, unosisz się. W tem, co mówisz, braknie *loiki!*”

O tak, panowie Lisey bywają zwykle bardzo zrównoważeni i logiczni i nie zawsze nawet przekonywują się, jak bohater „Aktorek“, że niekiedy w życiu nie wystarcza logika sama, a najrozsądniej obmyślane kombinacje—zawodzą.

Postać Liskiego pojął i odegrał bardzo dobrze p. Śliwicki, tworząc z niej typ taki właśnie, jaki się w życiu spotyka dość często. Zarzut papierowości tej postaci pozostać więc musi—zarzutem papierowym.

Sztukę wogóle wyreżyserowano i grano bez zarzutu. Oprócz wymienionych już artystów na podniesienie zasługuje przede wszystkim świetna gra Frenkla w pomyslanej przez autora głębiej postaci Nieciuszki, poety, zaprężonego do teczki dziennikarskiej, marzyciela, którego życie strąciło ze szlaków gwiazdzistych i mleć kazało plewy dziennikarskie, zasypując piaskiem, zalewając wodą resztki iskier szlachetniejszych na dnie duszy. Postać to nie nowa może w literaturze dramatycznej, ale wzięta ze strony nowej, a gra ją Frenkiel tak, jak on tylko takich szlachetnych a niepraktycznych wykołajeńców życiowych grać potrafi.

Aby nie przepisywać afisza całego, podkreślę już tylko bardzo dobrą interpretację przez Wojdałowicza roli „wytwornego“ krytyka teatralnego Makockiego o mniej wytwornych upodobaniach gastronomicznych, jak również nie pozostawiającą nic do życzenia grę p. Owerły w roli krzywdzonego przez redaktora, a krzywdzącego kolegę, współpracownika wpływowej gazety; grę wreszcie p. Lenczewskiego, który dobrze „zrobił“ młodego i niegrzeszącego inteli-

giencją aktora, cieszącego się jednak, jak to bywa, szczególnie względami starszych i doświadczonych koleżanek.

Osobna wzmianka należy się p.p. Rolandowej i Janeckiej, wyborym w rolach syna i córki pani Dąbkiewiczowej, przyłapanych przez enotliwą matkę na gorącym uczynku niewinnego skądinąd tańca z powabną aktorką Justyną i wyjątkowo wesoło usposobionym tym razem towarzyszem jej życia—Nieciuszką..

\* \* \*

Powieścią dramatyczną nazwał w wydaniu książkowym swój nowy twór sceniczny autor drukowanych niedawno w *Sfinksie* „Pielgrzymów“, p. Tadeusz Konecziński. Nazwa ta odpowiedniejsza jest tu o wiele, jeżeli już unikać najprostszej i najodpowiedniejszej — dramata, od nazwy komedji, którą nadaje „Srebrnym szczytom“ afisz teatru Rozmaitości. Widocznie—po dawnemu — w teatrze szukamy przedewszystkiem zabawy i śmiechu, a samo napomknięcie w tytule, że w danem dziele trafić się może i coś smutnego, już widzów za dziesiątą górę (czytaj na operetkę lub do kabaretu) odstrasza.

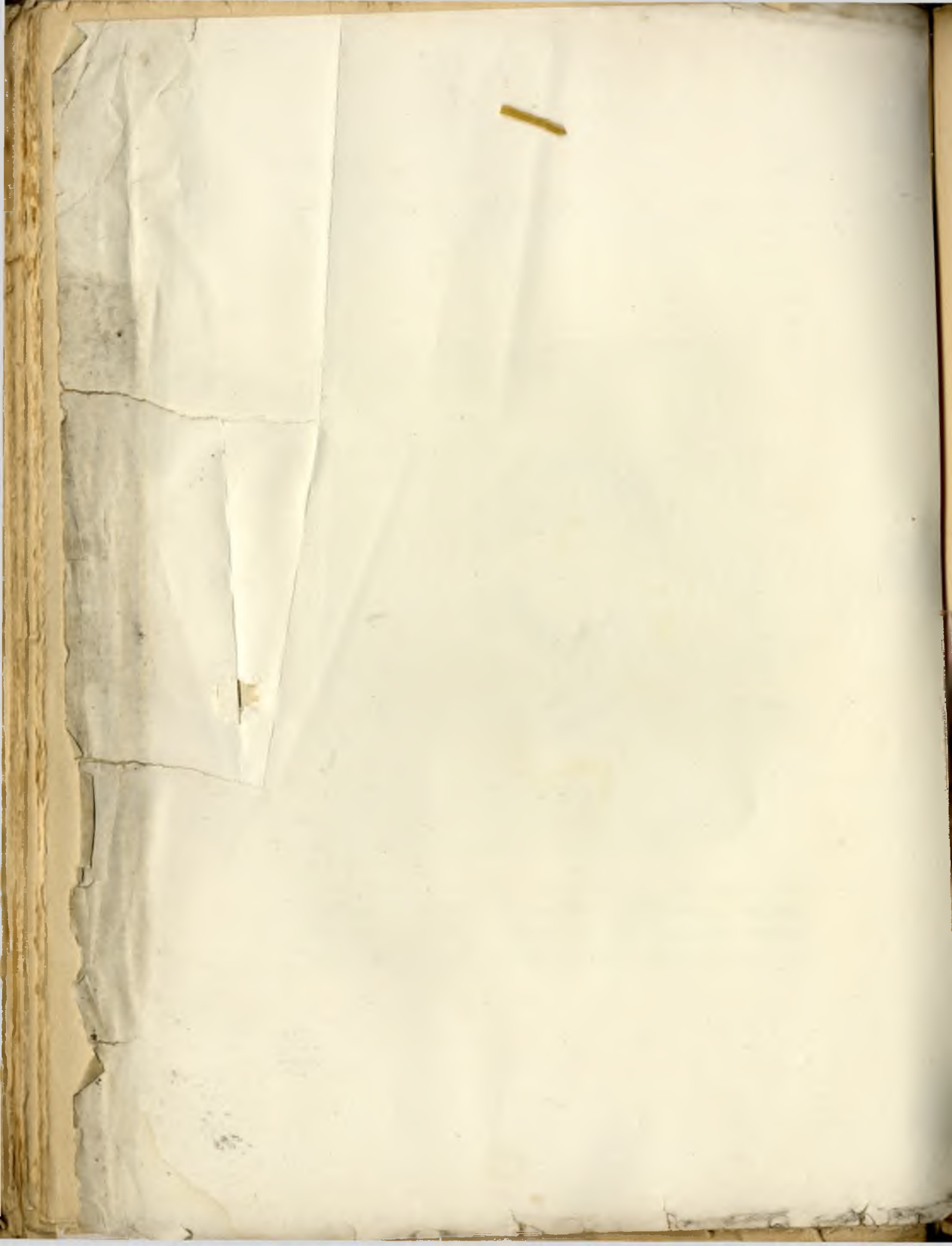
Podchwycił to świetnie jeszcze Mickiewicz, gdy w usta literata w salonie warszawskim (III część „Dziadów“) włożył te charakterystyczne słowa:

Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,  
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi;  
Śpiewać, na przykład, wiejskich chłopców zalecanki,  
Trzody, cienie—Sławianie my labim sielanki.

Autor „Pana Tadeusza“ ukłął zlekka w tym ustępie Kazimierza Brodzińskiego za jego niezdecydowany trochę, a w gruncie rzeczy niechętny stosunek względem romantyzmu, jednocześnie jednak podkreślił trafnie jeden z ry-









sów charakterystycznych przeciętnego naszego czytelnika lub widza: obawę rzeczy mocniejszych, wstrząsających do głębi otłuszczonymi pokładami mieszczańskiej, obywatelskiej czy plutokratyczno-arystokratycznej duszy. „Poco się smuć w teatrze, i tak tyle smutków mamy w życiu” — powtarzają najczęściej ci właśnie, którzy się niezem naprawdę nie smucą i do szczególnego smutku powodu nie widzą, byle tylko strajki nie przeszkadzały w pracy „normalnej”, lokatorzy nie zalegali w komornym, a pszenica i wełna płaciły dobrze...

Pod tytułem więc „Srebrnych szczytów” pozostaje na afiszu dobrze usposabiający „publiczność” dodatek „kome-dja”, co może i lepiej się stało, gdyż mimo półgębkowe, pełne zastrzeżeń pochwały recenzentów pism codziennych, którym, jakby powiedział świętej pamięci Mikołaj Sęp-Szarzyński, „wszystko mało, gdy ciebie, wiecznej i prawej piękności, samej nie widzą, celu swej miłości”, sztuka p. Koneczyńskiego wypełnia stale teatr Rozmaitości po brzegi i podoba się wszystkim, którzy ją poznać zdążyli.

Jest w tym dramacie coś, co go wyróżnia bardzo korzystnie z pośród dziesiątków mniej lub bardziej zręcznych wyrobów scenicznych, między którymi cząstka tylko graniczy ze sztuką prawdziwą.

To „coś” chciałbym nazwać technieniem poezji, wiejącem rzeczywiście od srebrnych szczytów tatrzańskich, na których tle poczęła się przed laty miłość między Warnicką a Lagoekim, a teraz znowu zadzierżgnął się węzeł dramatyczny.

To „coś”, to może intuicyjny dar przejrzenia nawskroś szlachetnej a nieszczęśliwej, marzycielskiej duszy kobiety, która z początku zdaje sobie sprawę, że „szczęście — to jest to, czego się nie posiada, do czego się tęskni i czego się nigdy nie znajduje”, że szczęście „to słońce, do którego się idzie i do którego się nigdy nie dochodzi”, a po-

tem — potem próbuje jednak odnaleźć to, czego odnaleźć niepodobna, próbuje wyciągnąć ręce do złotych promieni słonecznych, aby się przekonać zbyt prędko, że, chcąc je chwycić, zdobywa się jedynie — bolesne ślady na poparzonych rękach.

Dramat bohaterki „Srebrnych szczytów” przypomina szczegółami pewnymi bolesną historję Anny Millerowej z „Aktorek”. I tu i tam kobietę subtelną, wrażliwą, uczuciową, składającą wszystko na ołtarzu miłości, spotyka zawód, wpływający — w „Aktorkach” z większej, w sztuce Koneczyńskiego z mniejszej o wiele, ale w każdym razie pewnej — gruboskórności mężczyzn, pod których stopy rzuciły bez zastrzeżeń swe serca. Tylko że położenie Janiny Warnickiej jest cięższe, tylko że tragiedja jej duszy jest jeszcze boleśnieszka od tej, którą przechodzi Anna Millerowa, bardziej doświadczona od Janiny, znająca lepiej istotną wartość miłości męskiej i mająca na pociechę — sztukę, a w niej zapomnienie i ukojenie.

Nie podobnego nie zostało Janinie, a przynajmniej nie równie pięknego i wielkiego, jak sztuka, gdy się przekonała, że cudny jej sen o szczęściu był — „snem lekkim, snem płochym” tylko, który jej się wyjawić nie miał już nigdy; że wymarzony jej ideał, z którym wśród zachwyków miłosnych upajała się razem bajecznym, niezrównanym lazurem jeziora Garda, marząc, że tak resztę życia przeżyją, ma zadania i cele inne, ma więzy i pęta, których nawet dla niej zerwać nie może i nie chce.

Na pociechę zostało jej wprawdzie — podobnie jak Annie spóźniona prośba o rękę ze strony Liskiego — zapewnienie kochanego głęboko człowieka, że w dalszym ciągu serce jego posiada w zupełności, że dała mu największe szczęście, jakie może znaleźć mężczyzna na świecie, że ani jedna plamka nie zbrudziła mu jej obrazu... Ale czy to na resztę życia wystarczy? Czy to wystarczy może?...



Między Liskim z „Aktorek” a Lagoekim ze „Srebrnych szczytów” pokrewieństwo jest bardzo dalekie. Bo co innego przecież człowiek wolny, kochający niby i kochany prawdziwie, który jednak odtrąca we właściwej chwili wyciągając się ku niemu z ufnością dłoń kobiety, dlatego tylko że małżeństwo z aktorką może być źle widziane w kołach jego przyjaciół politycznych, może mu zepsuć trochę opinię i karierę, może wreszcie nie wzbudzać zachwyty w jego siostrze, należącej całkowicie do gatunku mamatowatych,—a co innego zgoła to położenie, w którym się znalazł redaktor Lagoeki. Uległ on wprawdzie nieprzepartemu urokowi Janiny, pokochał ją niemal do szaleństwa, lecz po pewnym czasie przypomnieć sobie musiał, że ma żonę i dzieci, ma obowiązki inne, których zdeptać wprost niepodobna.

Tamten budzi tylko pogardę, a ten nawet współczucie pewne. I ostatecznie, choć razem z Janiną nie możemy się oprzeć żalowi, że cudny sen o srebrnych szczytach rozwiął się tak prędko, tak bardzo prędko, trudno jednak nie usprawiedliwić poniekąd zerwania Gustawa z ukochaną, gdy słyszymy, jak się tłumaczy głosem zduszonym: „Tam jest kobieta, która kocha mnie równie jak ty—tam są dzieci, które kochają w niej matkę i we mnie ojca, zrośli się z nami—ja i ona z nimi razem tworzymy małe królestwo—bezpieczne dla nich—zniszczyć takie małe królestwo to wielka krzywda dla nich”...

To wymowne, to wymowniejsze nawet od tego, co słyszymy dalej o konieczności czuwania na posterunku życia, o przynależności do narodu, który nadewszystko winien kochać obowiązek. A jeżeli mówiłem jednak o pewnej gruboskórności Gustawa Lagockiego w stosunku do Janiny Warnickiej, to nie dlatego, że z nią w zupełności życia swojego nie połączył, że nie zerwał z rodziną najbliższą, z własnymi dziećmi i żoną, bo to dopiero mo-

głoby przejść w gruboskórność prawdziwą, ale dlatego, że, znając położenie swoje, nie oszczędził jednak ukochanej zawodu bolesnego, nie umiał wyjść ze skomplikowanej sytuacji, która istotnie wymagała subtelności i—szczerości wyjątkowej, że—co gorsza—pod wpływem zmysłów rozszalałych nie zrozumiał i nie odczuł szlachetnych pobudek Janiny, kiedy ta—po nieoczekiwanych i—co prawda—rażących nieco pewnymi szwami „roboty” odwiedzinach w jednym dniu zacisza włoskiego przez starszego Lagockiego, dawną koleżankę i Leszczyca, zrozumiała, że nie może w dalszym ciągu być uległą kochanką jedynie i zapragnęła zostać—narzeczoną.

Lagocki nie jest duchem wyjątkowym, duchem pięknym prawdziwie. Jest pospolitym dosyć „zjadaczem chleba”, któremu kochająca, ale zbyt chłodna, pozbawiona „temperamentu” żona, nie dała, jak przyznaje sama, szczęścia pełnego. A on go pragnął i pożywał, a on jego wecielenie uroczę widział właśnie w ukochanej oddawna, wymarzonej oddawna i walczącej napróżno z miłością „występną” cudzej żonie, która zresztą względem męża własnego w wyjątkowym zgoła pozostawała stosunku.

Na dzieje właśnie i psychologję stosunku tego położył autor szczególny nacisk w swym dramacie i skreślił je z przenikliwością i konsekwencją, których mu szczerze powinszować mogę. Jest w tem coś więcej, niż obserwacja trafna złożonych zjawisk życia uczuciowego, jest już niewątpliwie intuicja twórcza — owo znamię talentu głębszego.

Bo dzieje duchowe Janiny Warniekiej — to nie taka sobie pospolita awanturka miłosna usposobionej erotycznie a znudzonej mężem, młodej i ładnej kobietki. Panowie recenzenci, którzy tak tę postać pojmowali, albo nawet dopatrzili się w tej czułej duszy mimozy jakichś cech patologicznych *à la* Borowska z ostatniego procesu kra-



kowskiego, wybaczą mi, ale — nie zrozumieli wcale ani wyraźnych zupełnie intencji autora, ani psychologii jego bohaterki, wybiegającej dosyć wysoko ponad zwykły szablon teatralny.

Nie zroszumiata tej duszy, obniżyła ją ku poziomowi własnemu, sympatyczna skądinąd, to znaczy wzbudzająca współczucie, żona jej ukochanego — pani Lagoeka, która w ciekawej bardzo i dobrze pomyślanej rozmowie z Janiną mówi do niej: „Za wiele pani mniema o sobie, za bardzo ma pani wybująą fantazję. Pani się zdaje, że jesteś heroiną, a mnie się zdaje, że pani jest tylko biedną, egzaltowaną kobietą”...

Tak sądzi poczciwa kapłanka ogniska domowego, skuzynowana trochę, chociaż niezbyt blisko, z Zuzanną Dąbkiewiczową z „Aktorek”, gotowa przystać na kompromisy wszelkie, byle tylko ratować — pozory. Ale myli się zarówno ona, jak ci normalni i zrównoważeni widzowie dzisiejsi, którzy nie wahaliby się takiej anormalnej i wykołejonej, a więc szkodliwej jednostki, jak Janina Warnicka, zamknąć w domu zdrowia na jakie trzy miesiące. Kto wie, czy nie ona właśnie w swem dążeniu do prawdy i szczęścia, do życia prawdziwego i prawdziwego człowieczeństwa, nie jest typem zdrowym i normalnym, a oni wszyscy, a my wszyscy, którzy ją lekceważymy lub potępiamy, nie jesteśmy wytworem patologicznym anormalnych stosunków dzisiejszych.

Bo czegoż chce Janina, czego szuka i pragnie w życiu? Chce być człowiekiem prawdziwym, a nie cudzą grzechotką lub lalką, ubieraną w modne kapelusze i futra, pieszczoną przez męża w chwilach wolnych między polowaniem na karopatwy lub niedźwiedzie a zrywaniem kwiatów z krzewów miłości po wszelkich ogródkach Afrodyty. Żoną swojego męża przestała być już oddawna. Nie rozdzieliła ich śmierć córki, nie rozdzieliły nawet jego pokąt-

ne miłości, ale rozdzieliło na zawsze to, że on w jej duszy uznać i zrozumieć nie chciał, nie mógł zapewne — tego, co w niej było najlepszym i najszlachetniejszym, że on w niej nie rozumiał i nie uznawał *człowieka*. „Nie stałeś się moim przewodnikiem, nie umiałeś zapalić moich myśli do wyższych celów! — woła Janina w swej kapitalnej rozmowie ze swym byłym mężem — kiedy mnie instynkt gnał do społeczeństwa, kiedy chciałam być użyteczną, wyśmiałeś mnie, opłateś mi ideały mojej młodości — a coś na to miejsce wniósł — co? pornografię! Chciałeś, abym tak zniżyła się w rozpuście z tobą, jak ty tego łaknąłeś — to była twoja praca nademną — oszołomienie mojej młodości mogło się być w miłość przemienić, a przemieniło się w ból i rozpacz”.

*Es ist eine alte Geschichte, doch bleibt sie immer neu* — możnaby z Heinem powiedzieć, sądząc jednak, że ta stara a zawsze nowa historia pierwszych miesięcy „normalnego” pożycia małżeństw dzisiejszych, wystarcza do usprawiedliwienia w zupełności tego wszystkiego, co w tem małżeństwie zaszło potem, tego przedewszystkiem, że ono na długo przed decydującą wycieczką Janiny z Lagockim na „szezyty srebrne” — małżeństwem być już przestało.

Janina od lat paru nie jest faktycznie żoną Warnickiego, choć nosi jego nazwisko i pod wspólnym z nim dachem przebywa. Dusze ich rozszły się oddawna, może nawet nie krążyły nigdy po jednej orbicie. Bo małżeństwo jest dla niej przedewszystkiem związkiem uczuciowym, a gdy uczucia zabraknie, to i sam związek, według niej, istnieć przestaje.

Ten stan trwał przez lat kilka, nie budząc niepokoju większego w Warnickim, który żonę traktował, jak kobietę kapryśną lub jak dziecko, tłómaczył sobie jej niechęć do stosunku bliższego obawą przed macierzyństwem nowym, a sam nie krępował się weale i miewał kochanki



zarówno wtenczas, kiedy Janina była jeszcze naprawdę jego żoną, jak i później.

Ale Janina jest piękna i młoda. Bolesny zawód na progu życia nie zabił w niej całkiem potrzeby i zdolności odczuwania szczęścia. Potrzeba ta dojrzała ostatecznie podczas kilkotygodniowego pobytu w Zakopanem, gdzie znalazł się i redaktor Lagoeki, z którym ją łączyły już wspomnienia romantyczne, od którego od czasu do czasu odbierała nawet listy, pozostawiane zresztą bez odpowiedzi.

Decydującym momentem w ich stosunku stał się telegram z wiadomością, że mąż przyjeżdża. Co — mąż? Mąż, z którym ją nie absolutnie prócz nazwiska wspólnego nie łączy, który w niej wstręt budzi poprostu? Dostyc już tego! Niewolnica bezmyślnego konwenansu zerwie kajdany, zapragnie być wolnym człowiekiem. Pan Warnicki przyjeżdża, ona idzie wśród nocy, płonącej gwiazd miljonami, na kilkodniową wycieczkę w góry, której przewodniczy Lagoeki.

Ale i Warnicki nie jest szablonowym mężem z komedji lub tuzinkowej powieści. Jedna to z najlepiej nakreślonych postaci w całym dorobku literackim Koneczińskiego, jedna z najlepszych w galerji tych, które w czasach ostatnich widywaliśmy na scenach naszych.

Psuje mi ją trochę drobiazg jeden. Warnicki, mimo cały rozdźwięk w swoim stosunku z żoną, mimo grzechy i grzeszki, obciążające jego przeszłość, nie jest człowiekiem pospolitym. Ma swoje wymagania od życia, ma pewien żal, ze swojego stanowiska usprawiedliwiony nawet żal do Janiny, pragnąłby stosunek z nią naprawić, pragnąłby odzyskać prawa utracone, a potem, gdy — po powrocie z wycieczki — na swoje wynurzenia miłosne usłyszał od tej, która jeszcze związana z nim jest legalnie, krótkie i stanowcze: „Oświadczam ci, że nie uważam się

za twoją żonę, należę do kogo innego”, umie się zdobyć nie tylko na giest piękny, ale — co ważniejsza — na czyny mocne i zgoła niepospolite.

Otóż do takiego człowieka, będącego już na drodze do odrodzenia duchowego, na którą go cierpienie i miłość wprowadziły, do takiego *człowieka* nie pasują dziwne te małe i poniżające słowa, któremi chce on zrazu przemówić do uczucia żony: „Janko, to tylko od ciebie zależy, możesz ze mnie zrobić anioła, swoją zabawkę — będę jak piesek na rękach i nogach chodził, jeśli każesz — niebardzo to będzie zgrabne, ale przyuczę się; będę ci aportoować, będę przez kij skakać... ale potem w nagrodę dasz mi—całusa”.

Drobiazg to niewątpliwie, szczegół mały, ale mnie przynajmniej raził on zarówno w czytaniu, jak raz i drugi w teatrze, gdzie wogóle cała scena aktu drugiego między Janiną i jej mężem, a potem Janiną, Warniekiem i Langoekim, wywiera niezwykle silne wrażenie. Więc i ta drobna skaza nie powinna psuć postaci, odczutej i nakreślonej—doskonale.

Zarówno w „Srebrnych szczytach”, jak w „Aktorkach”, można dostrzec i odnaleźć myśl pewną, przeprowadzoną przez autorów z dużą dyskrecją, nie narzucającą się w formie bijącej w oczy tendencji, i dlatego zapewne — nie dostrzeżoną wcale przez większość panów sprawozdawców. Myśl to nienowa i nieoryginalna, a jednak warto ją przypomnieć i uwydatnić. Jest nią wiara w odrodzenie duszy przez szczere i gorące uczucie miłości, połączone zwłaszcza z cierpieniem.

W „Aktorkach” przez miłość do Liskiego — mniejsza o to, że ulokowaną nieszczególnie—odradza się i podnosi Anna; co więcej — przez miłość do Anny, nieco zapóźno, co prawda, uświadomioną sobie w całej pełni, podnosi się



trochę nawet taki samolubny „działacz społeczny i literacki“, jak p. Henryk Liski.

W „Srebrnych szczytach“ miłość do żony, wybuchająca z żywiołową siłą nanowo, wtedy właśnie, gdy ją ma utracić, podnosi i uszlachetnia Warnickiego.

Zmiana w jego duszy nie następuje zresztą nagle, ale rozwija się stopniowo. Te kilka dni, które spędził w pensjonacie w rozmyślaniach samotnych podczas tatrzańskiej wycieczki Janiny, jaż podkład do tej zmiany przygotowały znakomicie. Zaczynamy w nią wierzyć — nie wtenczas, co prawda, kiedy opowiada w akcie drugim, że ma już dosyć ładacznicy, że jemu także należy się cichy byt domowy i „czysta miłość“, ale nieco później, gdy, stojąc w obliczu grozy utracenia żony na zawsze, woła do niej z uczuciem prawdziwym: „Janko, ja ci przysięgam, że wszystko zmieni się w naszym życiu! Mogłem być najgorszym, niech tak będzie, ale zobaczysz, że od dziś dnia zmieni się wszystko!“

Wspaniała jest ten dialog cały, wspaniała zwłaszcza rozprawa dalsza z Lagoekim, a wartość jej podnosi bardzo dobra gra wszystkich, którzy w tym akcie występują, Wostrowskiego szczególnie, który dowiódł rolę Warnickiego, że jest jednym z najświetniejszych artystów współczesnych scen polskich.

Z Warnickim spotykamy się jeszcze w akcie ostatnim, gdzie jest on już całkowicie innym człowiekiem. Wierzy jeszcze w możliwość odzyskania Janiny, mimo wszystko, co się stało na szczytach tatrzańskich i nad Garda. Czuje, że zawinił względem niej bardzo, że lekceważył to uczucie, które w nim było względem niej, że nie dołożył starań, aby ją przywiązać do siebie. „Odeszła odemnie — mówi do Lagoekiego — nie znając mnie, wiedząc to tylko, że jestem człowiekiem pustym. Gdyby wiedziała, że we

mnie żyje coś więcej, nie rozmawiałbym dziś z panem o mojej nędzy“.

I w nim zbudziła się dusza, i w nim odrodziło się serce, które rzeczywiście może i więcej jest warte, „niż to, co za nie dawali na świecie ci, co kupują serca na tandecie“, jakby powiedział Słowacki.

Widząc odrodzenie się wewnętrzne tego człowieka, gotowi jesteśmy podzielać z nim wiarę, że stosunek jego z Janiną da się jeszcze naprawić, że on obecny, a on z przed roku jeszcze — to dwa całkiem różne walory psychiczne. I autor nam tej wiary nie odbiera, pozostawiając rzecz całą — przyszłości.

Jest w „Srebrnych Szczytach“ jedna jeszcze postać męska, traktowana przez autora z dużą dyskrecją, bez śladu przejawienia, z leciutkim tylko odezieniem ironji, postać młodzieńczego poety i marzyciela, Leszczyca.

„To jakaś przetręcona dusza“ — mówi o nim przeciętny „zjadacz chleba“, brat redaktora, Michał Lagocki. „Nim nerwy rządzą“ — próbuje go usprawiedliwić przed Gustawem Janina. „Nienawidzę atletów — woła on sam o sobie do Janiny — nienawidzę ludzi-atletów! Czy pani wie, kto oni? To ród, trawiący życie! Nie życie ich trawi, oni trawią życie. Zna ich pani? Krzyczą, że cierpią, a żyć potrafią, nienawidzą wyższych, a drapią się na wyższe posady, gardzą rodziną, a płodzą dzieci tuzinami, kaźdemu nieszczęściu nadstawiają kark gutaperkowy, więc nieszczęście odbija się od nich, jak w cyrku błazen od drugiego błazna — to są atleci, nizezemne a idealizujące nizezemność tasiemee! — Unikam ich *cum odio profundo*“.

Za takiego „atletę“ ma on naturalnie Gustawa Lagockiego i czuje do niego żal śmiertelny, że mu zabrał Janinę, którą i on kocha szalenie, dla której pisze poemat „Srebrne szczyty“, którą chciałby unieść z sobą wysoko, wysoko — we własnym mniemaniu przynajmniej, któ-



ra chce czcić, jak Astarte, zapalać pocałunkami jej ciało i dać jej duszy wolność prawdziwą — „białe Himalaje, kiedy duch wyzwolony Brahmy krąży“, a całą jej przygodę z Lagoekim, w którą ona wszystko włożyła, uważa tylko za „malutki grzech, burżuazyjny grzech“, który się łatwo wybaczają i — zapomina.

Ale ona zapatruje się na tę sprawę inaczej, nie chce zmieniać mężczyzn, jak rękawiczki, i — sprawia przykry zawód Leszczycowi, który miał o niej „lepsze“ mniemanie. Nie nie szkodzi. Pan Leszczyce pocieszy się zapewne po jakimś czasie, znajdzie łatwo „duszę wyzwoloną“, bliższą ideałom jego od Janiny. Odechodzi, budząc w nas sympatię dla uczuć, które w nim były, zdaje się, szczerze, a uśmiech łagodny dla pozycji, która pozostaje tylko pozostała...

Leszczycowi p. Koneczyńskiego zrobiono zarzut, że autor nie wiedział sam, czy ma się śmiać ze swego bohatera, czy też wzruszać się widokiem jego duszy. Czyż jednak koniecznie albo śmiać się, albo wzruszać kimś trzeba? Czy ta sama osoba nie może chwilami wywoływać wzruszenia, to znów śmiechu, a niekiedy jednego i drugiego razem?

Takim właśnie jest Leszczyce, szlachetny w gruncie rzeczy, kochający prawdziwie Janinę, nienawidzący płaskości i pospolitości życia, gardzący „zjadaczami chleba“ i „atletami“, a jednak zabawny niewątpliwie w swym oburzeniu na narzeczoną, żądającą nie bez słuszności, aby ukończył studia przed poślubieniem jej, w swych aforyzmach i paradoksach, w swej pozycji spóźnionego trochę „nadezłowieka“.

Doskonale ujął tę postać p. Brydziński, utalentowany prawdziwie, bardzo sumienny i szczerzy artysta, umiejący nie tylko zrozumieć i odczuć intencje autora, ale i sięgnąć samemu — i to dosyć głęboko — w pokłady duszy ludzkiej. W ostatnich czasach — podobnie jak p. Wostrowski — gry-

wał zbyt rzadko, co jednak teraz powinno ulec zmianie—z prawdziwą korzyścią dla Sztuki przez S wielkie.

„Srebrne szezuty” są wogóle grane bardzo dobrze. Główną rolę kobiecą, odpowiedzialną i trudną rolę Janiny Warnickiej, powierzono w nich jednej z młodszych i niedawno zaangażowanych do teatru warszawskiego artystek, p. Izie Kozłowskiej. Z zadania poważnego, ale nie przechodzącego bynajmniej jej sił i środków, wywiązała się ona zupełnie dobrze, dając postać pełną prawdy, chwilami zajmującą bardzo. Nie przeczę, że z roli tej artystka doświadczeńsza lub wyjątkowo utalentowana, jakaś Federowiczowa n. p., żeby już nie sięgać do Modrzejewskiej, potrafiłaby wydobyć więcej, ale i to, co wydobywa z niej p. Kozłowska, usprawiedliwia zupełnie fakt, że jej tę piękną rolę dano.

Owszem, niech artystki młodsze, a utalentowane i *sztuce oddane szczerze*, grywają jak najczęściej, niech mają możność szerszego rozwinięcia skrzydeł, ale należy nie zapominać i o talentach dawniejszych, skryzalizowanych już i — niepospolitych, które teraz właśnie mogłyby z pożytkiem i zapałem dla sceny ojezystej pracować, a nie otrzymują ról nowych nie już miesiącami, ale—półroczami całami. Nie obwijając rzeczy w bawełnę, powiem wprost, że mam tu na myśli p. Helenę Marcello-Palińską, której pomijanie stałe przy obsadzaniu sztuk nowych stało się poprostu—rażeniem.

To uwaga nawiasowa, a wracając do „Srebrnych szczytów”, zaznaczę jeszcze dobrą, mocną, cokolwiek może za monotonną grę p. Nowickiego w roli Gustawa Lagockiego, doskonałe uchwycenie mowy i ruchów przewodników tatrzańskich przez p. Bednarczyka, który zresztą mówi tylko słów kilkanaście,—no i, podkreślając raz jeszcze cechy prawdziwego artyzmu w grze pp. Brydzińskiego i Wostrowskiego, pochwałą ogólną obejmę już tylko



zespół cały, do którego, oprócz wymienionych i wyróżnionych już, należą jeszcze (w porządku afiszowym) pp.: Pomian-Borodziezowa, Prażmowski, Pawińska, Lorentzowa, Orezyńska, Junosza, Bogusławska, Kawalski, Jasielski, Uszyński, Hertzowa i Dębicka.

\* \* \*

Rozpisałem się tak obszernie o „Aktorkach” i „Srebrnych szczytach”, że z konieczności lakonicznym być muszę na razie w stosunku do takiego wybitnego zjawiska na scenie naszej, jak dramat Stanisława Przybyszewskiego. Nie dramat nawet, ale poemat dramatyczny, rzecz wogóle niepospolicie piękna w książce, niepotrzebnie jednak przepatetyzowana przez część wykonawców, uważających niestuszenie, że utwór taki nietyle grać, ile deklamować należy; niepotrzebnie okrojona przez cenzurę i reżyserję, a przez to zbanalizowana i jakby pozbawiona skrzydeł.

„Odwieczna baśń” znana jest od lat paru z wydania książkowego i nawet odznaczona nagrodą imienia Fr. S. Lewentala, jako najwybitniejsze dzieło dramatyczne ostatniego pięciolecia. Czyż trzeba przypominać jej treść, ten pełen poezji i melancholji dziwnej hymn na cześć miłości, na cześć wszystkiego, co wielkie, wzniosłe i piękne, a co na świecie beznadziejnie niemal walczyć musi z brzydotą i ohydą?

Walka króla z kanclerzem—to odwieczny bój Ormazda z Arymanem, bój, w którym miłość—ostatecznie zwycięża, ale musi usunąć się z oczu ludzi, bo nie z tego świata jest jej królestwo.

O poemacie tym chciałbym wkrótce napisać w „Sfinksie” obszerniej, tu tylko żal wyrazić muszę, że nie dano nam było ujrzeć go na scenie w całości, bez zmian i skróceń, a nawet z przedmową prze cudną, która mogłaby iść

o lepsze z najpiękniejszymi ustępami „Z gleby kujawskiej”. Wystawa bogata i kosztowna, kostjomy wspaniałe, ale wszystko to, nieutrzymane w stylu jednolitym, razić musi nagromadzeniem kłócących się z sobą szczegółów.

Królem zbyt monotonnym właśnie i zbyt deklamacyjnym, szczególnie w akcie pierwszym, jest w tym poemacie p. Józef Śliwicki. Zbyt cenię inteligencję i talent tego wybitnego artysty, abym go mógł obrazić — nieszczerością, więc mówię bez wahania, że rolę tę raz jeszcze opracować powinien i włożyć w nią więcej energii i siły, zagrać, jak to przecież robił nieraz, a nie deklamować tylko, jak to robi — zwłaszcza w akcie I — obecnie.

Cudną, poetyczną rolę Sonki zagrała z właściwem sobie uczuciem, ujmującą prostotą i wdziękiem p. Tekla Trapszo-Krywaltowa. W innych rolach wyróżnili się jeszcze pełen piastowskiej powagi p. Kotarbiński, jako mędrzec-wróżbita; jako Ścibor — p. Knake-Zawadzki, artysta wogóle o pięknym głosie i imponującym giescie, z którego warunków świetnych scena warszawska korzysta za mało; p. Jan Janusz w roli szlacheckiego rycerza Bogdara; p. Barszczewska, która w niewielką rolę Bożeny tchnęła dużo grozy i siły; p. Roland wreszcie, który w roli Błażna wydobył więcej, niż ma — po okrojeniach różnych — pozostawiono.

Ładnowskiemu w roli Kanclerza robiono różne zarzuty — zdaniem mojem niesłuszne. Ma on w tym dramacie siłę demoniczną, graniczącą może chwilami z melodramatyzmem, ale — nie przekraczającą tej granicy. Artysta to dawnej szkoły, ale dużej miary, a tacy nie przekraczają jej nigdy.

Poszczególne role ważniejsze były więc w „Odwiecznej baśni” grane przeważnie dobrze, a jednak całość — podobnie jak w kostjumach i dekoracjach, tak i w grze — wywiera wrażenie czegoś nie zestrojonego, nie zharmonii-



zowanego dostatecznie. Może przyczynił się do tego fragmentaryczny charakter, w jakim ostatecznie „Odwieczna baśń”, pozbawiona pięknej przedmowy, wielu ważnych ustępów w środku i efektownego zakończenia, dostała się na naszą Wielką scenę. A sama przedmowa ta właśnie wyjaśnia w dramacie niejedno. Można ją było wypowiedzieć na wstępie zamiast łączyć z „Odwieczną baśnią” inne utwory, choćby takie i tak grane, jak „Sędziowie”.

Słowo już tylko powiedziec mogą o dobrej i świetnie u nas granej, lekkiej komedji Capus'a p. t. „Kochanek mimowoli”, gdzie p. Wolski ma miłe z początku, potem trochę kłopotliwe zadanie — nie odmawiania niczego wyrastającym, jak grzyby po deszczu, wielbicielkom swoim i zdobywania wciąż jednak przebaczenia ze strony pobłażliwej na grzeszki męża a wytwornej p. Lądowej.

W komedji ta doskonale dobrana para małżeńska nazywa się inaczej trochę, ale to chyba — sprawa obojętna. Panie Siennicka i Pichorówna, panowie Wojdałowicz i Rapaeki wysuwają się obok niej na plan pierwszy, a inni sekundują doskonale.

W teatrze Wielkim „Król Lear” z Leszczyńskim, Lądową, p. Horwath, Teklą Trapszo-Krywaltową, Knak-Zawadzkim, Śliwickim, Rolandem, Owerłłą, Palińskim, Januszem, Rożańskim, Koteckim, Hryniewiczem, Krogulskim i Grubińskim w rolach ważniejszych — budzi zachwyt na dobrze zorganizowanych i niedrogich przedstawieniach popołudniowych, odbywających się co sobota dla młodzieży szkolnej.

Dobrze również zrobiono, wznawiając „Dwór we Władkowicach” Przybylskiego (dochód z pierwszego przedstawienia po wznowieniu przeznaczono na pomnik przedwcześnie zmarłego autora) — rzecz bez większej wartości artystycznej, ale miłą przez swą naiwność i swojskość, a podniesioną znakomicie przez świetną grę pp. Przybyłko,

Frenkla, Brydzińskiego, Wojdałowicza, Wolskiego i zresztą znów całego zespołu.

Powodzenie sztuk takich świadczy, że publiczności warszawskiej tęskno do wsi i jej atmosfery pogodnej, o czym jednak nie chcą jakoś pamiętać komedjopisarze nasi, którzy zerwali — może nie bezpowrotnie — z dobrą tradycją Fredry i Blizińskiego.

W teatrze Małym p. Zalewskiego zakwitnęła na dobre „Wolna scena“, którą kieruje p. Gorezyński. O wysiłkach jego, usprawiedliwionych, gdy szło o taką rzecz oryginalną i dającą bądź co bądź pokarm pewien dla myśli, jak „Przebudzenie wiosny“ Wedekinda, o taki dramat nastrojowy, jak „Goście“ Przybyszewskiego, a natomiast nieusprawiedliwionych i niepotrzebnych zgoła, gdy idzie o takie brzydactwo, jak „Panna Julja“ Strindberga, pomówimy już jednak innym razem.

Siły i środki teatru Małego nie uległy w ostatnich czasach zmianie poważniejszej. Panie Bartoszewska, Łącka-Pawłowska i Pytlińska, pp. Orliński, Kuncewicz i Noskowski przodują wciąż drużynie artystycznej pp. Zalewskiego i Gorezyńskiego i grają z talentem i zapalem, niekiedy — jak w „Pannie Julji“ — godnym zaiste lepszej sprawy.

WI. BUKOWIŃSKI.







### Przeglądy i sprawozdania.

Henryk Opieński: **Chopin**. Skład główny w księgarni H. Altenberga we Lwowie, Warszawa E. Wende i Spółka. „Nauki i Sztuki“ tom X, 4-o, 140 str., 74 ilustracje.

Książka p. Opieńskiego jest popularnem przedstawieniem jego dążeń do syntezy poglądów na te pierwiastki, które razem tworzą indywidualność muzyki Chopinowskiej. Dążenia te zapoczątkował Liszt w swej zawsze jeszcze świeżej i możliwej do brania pod uwagę książce, potem hr. Stanisław Tarnowski, Stanisław Przybyszewski i Adolf Strzelecki. Gdy sztuka Chopina stawała się nietylko bardziej zrozumiałą, lecz raczej racjonalniej zrozumiałą, gdy zaczęto rozumieć Chopina mniej pod kątem wyłącznie polskim, więcej zaś czysto chopinowskim, spostrzeżenia rosły, wyzwalano się z pod poglądów, narzuconych przez deklamacje recenzentów i literaturę... literatów. Na naukową monografię o Chopinie jeszcze czas; żaden z dotychczasowych badaczy — ani Niecks, ani Hunecker, ani Poirée — nie dał dzieła naukowego, w którym odpowiedziałby na pytania: 1) jaki związek istnieje między Chopinem a poprzednikami; 2) co jest w Chopinie nawskroś chopinowskim, i 3) jakie jest stanowisko Chopina w muzyce. Jeżeli analizując jego arcydzieła, odpowiemy na te trzy pytania, *wtedy* dopiero poznamy to, na czem polega odrębność muzyki Chopina, i co jest w Chopinie indywidualnem, własnem, nowem. Że Chopin jest odrębnym, to wiemy, to jesteśmy w stanie odczuć. Muzykę jego wolno każdemu odczuwać tak, jak zechce, jak

może. Nikt nie może powiedzieć, że jego odczuwanie jest słusznem lub fałszywem. Z chwilą jednak gdy wchodzimy w dyskusję, żądać musimy wzajemnej argumentacji, wolnej od konwencjonalnej frazeologii, która w ostatniej konsekwencji brzmi jednakowo dla każdego z „odrębnych” i „indywidualnych” mistrzów. Tylko pozytywne wypowiedzenie się ma rację bytu. To pewne, że istnieje tylko dwóch kompozytorów, przy których sprzeczność zdań i sposób pojmowania ich są nieuniknione: Chopin i Berlioz. Sztuka ich jest jeszcze tak żywotną, że zdanie bezstronne, oparte na najbardziej pozytywnych wartościach naukowych może być nawet przekonywająco, choć niekoniecznie słusznie zwalczane i zwalczone. U nas stoi na przeszkodzie jeden fatalny czynnik: niechęć i brak rozumienia intencji. W narodzie, który od najdawniejszych czasów gardłował za wolnością, który swą wolność przegadał gadaniem o wolności, istnieje najmniej poczucia w uznaniu wolności zdania. Zdania osobiste wygłaszają tylko ci, którzy są mniej niewolni; wolnych niema. Nie myślę o libertynach. Mam jednak na myśli ignorancję argumentów, wynikającą z nadmiaru ambicji fałszywej. Przy najbezstronniejszym badaniu pojawi się zhora długimi uszami obdarzona, a ta azurpuje sobie przedstawicielstwo opinii publicznej, w gruncie rzeczy jest tylko przedstawicielką osobistych interesów tych, którzy tę opinię robią i którzy nie dadzą sobie wytłumaczyć, iż chcieć dyskutować o wszystkim, znaczy otwarcie przyznawać się do niemożności dyskusji o wszystkim. Jest dość chyba jasnym, że o Chopinie nie każdy może dyskutować, kto go lubi lub „odczuwa”; w gruncie rzeczy bowiem nie można nigdy twierdzić, że jakieś dzieło sztuki, tym razem muzyki, „podbija się” lub „jest podziwiane” tylko jako takie. Na sąd i podobać się wpływa często „coś” w dziele sztuki, nie zaś samo dzieło. Następnie źródło „podobania się”, a więc w następstwie sądu o dziele jest bardzo problematycznym. U jednych wpływa na sąd wartość artystyczna (stojąca często w stosunku przeciwnym do popularności dzieła i rzadko uświadomiona przez „konsumentów” dzieła sztuki), u innych przystępność treści formy, u innych wreszcie chwilowa dyspozycja duchowa—kaprys. W dziełach Chopina znajdziemy wiele sposobności do stwierdzenia tych problemów. Zachowajmy je na przyszłość, obecnie zaś wróćmy do książki p. Opieńskiego.

Autor zastrzegł się, że pisząc swą pracę, miał na myśli najszersze sfery czytających. Stąd nie mógł przeprowadzić analizy dzieł mistrza, które doprowadziłyby go były do wielu bardzo ciekawych, i — przypuszczam — nieuświadomionych dotychczas rezultatów. Pragnął dać syntezę poglądów na *muzykę* Chopina, nie na jego *działa*.



A więc podaje definicję narodowej muzyki, nakreśloną przez C. Norwida w „Prometidionie” i rozwija ją. Następnie zastanawia się nad stosunkiem Chopina do klasyków i romantyków i wskazuje na fakt, że Chopina wprawdzie odrazu podziwiano, lecz dopiero później rozumiano, wzgl. rozumieć rozpoczęto. Jak zwykle nowe zjawiska w sztuce, tak i Chopin spotkał się z zarzutem (do niedawna jeszcze powtarzanym), iż jego muzyka jest tu i owdzie... chorobliwa. Są to kwestje, nad którymi już dawno ludzie kulturalni i obdarzeni intuicją artystyczną przeszli do porządku dziennego, ale u nas (i nietylko u nas) utrzymują się te poglądy, któreby nie istniały, gdyby nie wiadziiano, że Chopin był... fizycznie chory. W istocie nie niema nadszłego, jak powracać do tych kwestji, których postawienie jest wprawdzie śmieszne, które jednakże nie dadzą się obalić przez nic innego, jak przez czas. Chorobliwie obłąkaną była muzyka Beethovena dla współczesnych, chorobliwą była twórczość Wagnera, zwłaszcza jego „Tristan i Izolda”, chorobliwym jest Strauss i t. d. Lecz któż kiedykolwiek będzie brał serjo chorego na... zdrowie Nordaua, Mobiusa i t. d. W każdym razie tych, którzy stawiają takie zarzuty Chopinowi i innym twórcom muzycznym, należałoby zapytać: na jakiej zatem podstawie mógł Chopin, nawet w najcięższym stadium swej choroby, tworzyć niektóre dzieła, tchnące wprost orgjastyczną wesołością?! Wątpię, aby najmuzycalsze nawet neuro czy psychopatolog odpowiedzieć mógł na to pytanie.

Inny jeszcze problemat jest dotychczas nie omówiony i nie uświadomiony. Mianowicie: na czem polega „narodowa” cecha w tych utworach Chopina, które ani w rytmice, ani w rysunku melodji nie wykazują żadnych podobieństw z ludową muzyką polską? I czy nie popełniają krytycy i komentatorowie muzyki Chopina błędu, nie oznaczając ściśle granicy między tem, co jest w Chopinie rdzennie polskiem wzgl. narodowem, a tem, co jest indywidualnie Chopinowskiem? W istocie—dotychczas nie zdefiniowano *stylu* chopinowskiego, a mam na myśli nie co innego, jak styl muzyczny bez jakichkolwiek ubocznych cech, jakkolwiek nierozłącznych z tymże stylem. Weźmy pod uwagę n. p. czterech najwybitniejszych kompozytorów fortepianowych, jakimi są Chopin, Liszt, Mendelssohn i Schumann. Wylączmy ich utwory, przepełnione najbardziej charakterystycznymi cechami narodowemi, a weźmy utwory, zwane często fałszywie „kosmopolitycznymi”, gdy tymczasem, najodpowiedniejszym wyrażeniem byłoby: utwory najindywidualniejsze. Przez porównanie takich dzieł znajdziemy odpowiedź na to, o co nam właśnie chodzi. Otóż odpowiedzi na to nie dano dotychczas; nie dał jej także Liszt. Jeśli jako jedną

z cech odrębności Chopina wymienimy „arystokratyczną dystynkcję“, to nie powiemy niczego niezwykłego, gdyż to samo znajdziemy np. u Liszta w wielu utworach. Jeśli stwierdzimy, że Chopin miał dar niesłychanie trafnego i subtelnie zróżniczkowanego wyrażania najróżniejszych uczuć, to mimowoli nasunie nam się na myśl i Wagner i Beethoven, i Schubert, i wielu innych, którzy tem samem się odznaczają. Jeśli wskażemy na „melancholję i smutek“, jako na podkład psychiczny przeważnej ilości dzieł naszego mistrza, to powiemy przez to tak samo mało, jak w tym razie, gdy sztukę Mozarta nazwiemy wcieleniem „słonecznej wesołości“. Iluż bowiem kompozytorów nie napisało utworów znakomitych, będących wyrazem „melancholji i smutku“ lub „słonecznej wesołości“. W sztuce Chopina jest sporo pierwiastka erotycznego; lecz to samo można powiedzieć o Berliozie, Liszcie, Wagnerze, Straussie i t. d. A jednak, stylistyczne różnice i sposób wyrażania tych psychicznych fenomenów jest odrębny: to przyzna każdy, nawet laik. Jakież zatem są różnice indywidualne? I na czem polega ich odrębność? Na to nie dano dotychczas odpowiedzi.

Przejdźmy do innej dziedziny! Wskazuje krytyka na epokowe odkrycia Chopina i Liszta w dziedzinie fortepianowej techniki i jej połączenia z kierunkiem tworzenia na fortepian. Lecz nie dano odpowiedzi na to, jaka różnica zachodzi w tym kierunku między Chopinem i Lisztem. Wiele się mówi i pisze o nowych formach, stworzonych przez Chopina. Również p. Opieński zajął się tym tematem, i to jest jedna z najlepszych stron jego książki, w której wskazuje, że niesłusznie uważano sonaty Chopina za fantazje 4-o częściowe, nazwane tylko przez Chopina „sonatą“. Autor bardzo trafnie rozumuje, że duchowy, wewnętrzny związek jest silniejszym, niż formalne ogniwo, oparte na klasycznym kanonie, i dlatego sonaty Chopina są jakby „aus einem Guss“. Że forma sonaty nie jest „sacrosancta“ pomimo wzorów, jakie dali klasycy wiedeńscy, tego dowodzą sonaty Schumanna i Liszta, w nowszych zaś czasach sonaty Dukasa, Skrjabina, Rachmaninowa, Nowaka, nawet M. Regera. Szkoda tylko, że p. Opieński nie rozszerzył swych bardzo trafnych spostrzeżeń na inne formy. Byłoby niesłychanie interesującym przedstawić związek Chopina, jako twórcy „scherzów“, z poprzedzającymi go kompozytorami. Znając współczesną mu muzykę, możnaby w tym kierunku zauważyć wiele interesujących metamorfoz. Że Chopin należy bardziej do grupy Berlioz—Liszt—Wagner, aniżeli do Schumanna (mimo zupełnie widocznych podobieństw)—z tem zdaniem p. Opieńskiego musimy się zgodzić. Właśnie swoboda formy, polegająca na tem, że tylko psycholo-



gicznie-gienetyczna logika jest jedynym prawem formy, sprawia, że Chopin należy do neoromantyków, którzy stworzyli nowe formy symfoniczne i dramat muzyczny, opierające się na tych samych podstawach. Pod tym względem Chopin patrzył bardziej w przyszłość, niż Berlioz, będący w istocie klasykiem w formie. Jako jedną z najbardziej uderzających cech muzyki Chopina, wspomniećby należało wielkie skondensowanie treści, które mu pozwoliło w najskromniejszych rozmiarach dawać względnie najwięcej treści — jak u żadnego kompozytora, wyłączwszy Schumanna i Bacha.

Jakkolwiek w książce swej p. Opieński miał zamiar z biografji mistrza uwzględnić tylko to, co mogło się przyczynić do charakterystyki Chopina, jako twórcy, to jednak zdołał przedstawić dokładnie i z wdziękiem literackim sylwetę Chopina, jako człowieka. Oczywiście najnowsze biograficzne badania p. F. Hösicka przyniosą tyle nowych i nieznanych szczegółów, że niejedno ulegnie gruntownej zmianie i ukaże się w odmiennem świetle.

Książkę p. Opieńskiego zdobi wiele bardzo interesujących i dotychczas mało znanych dawniejszych i nowszych portretów i kompozycji malarskich na tle jego nieśmiertelnych dzieł.

*Dr. Adolf Chybiński.*

H. Poincaré. Wartość nauki. Przekład Ludwika Silbersteina. Nakład Jakuba Mortkowicza. Warszawa, 1908.  
G. Centnerszwer i S-ka.

Znakomity autor „Nauki i hipotezy“ rozpatruje w dziele niniejszem wartość najgłówniejszych twierdzeń i zasad nauk ścisłych.

Stwierdza on nasamprzód psychologiczny fakt istnienia dwóch typów matematyków: intuicjonistów i logików, albo geometryków i analityków. Dla postępu nauki obydwa rodzaje umysłu są zarówno niezbędne. Intuicja bowiem nie daje pewności, z chwilą zaś gdy matematyka „zarytmetyzowała się“, ścisłość bezwzględna została osiągnięta. Obok tej zadaleko może idącej wiary w wyniki współczesnej

matematyki podkreśla jednak autor znaczenie obydwuch pierwiastków tej nauki: logika, która jedynie może dać pewność, jest narzędziem dowodzenia, intuicja—narzędziem inwencji.

W sposób niezwykle śmiały i oryginalny porusza Poincaré zasadnicze pojęcia nauk matematycznych, jak czas i przestrzeń. Nie posiadamy — powiada on — żadnej bezpośredniej intuicji równości dwóch odstępów czasu. Zakładamy domyślnie jeno postulat, że trwanie dwóch zjawisk identycznych jest jedno i toż samo. Na podstawie doświadczenia jednak zamiast powiedzieć: „te same przyczyny wymagają tego samego czasu dla wytworzenia tych samych skutków“, winniibyśmy właściwie mówić: „przyczyny mniej więcej identyczne potrzebują mniej więcej tego samego czasu dla wytworzenia w przybliżeniu tych samych skutków“. W braku intuicji współczesności i równości dwóch trwał obieramy nie takie prawidła, które są prawdziwsze, lecz takie, które są najdogodniejsze. Moglibyśmy je w ten sposób streścić: „współczesność dwóch zdarzeń, porządek ich następstwa i równość dwóch trwał należy *tak* określić, ażeby wysłowienie praw przyrodzonych było możliwie najprostsze“ (str. 36). W stosunku do przestrzeni utrzymuje P., że przestrzeń nie-euklidesowa jest do pomyślenia, wybieramy jednak euklidesową, ponieważ jest dogodniejsza. Żadne przecież doświadczenie nie może nas pouczyć, która z tych dwóch przestrzeni jest rzeczywistą. Tak samo nie daje doświadczenie dowodu możliwości geometrii, lecz tylko dowód jej użyteczności. Co do ilości wymiarów przestrzeni, to przyjmujemy ich trzy wyłącznie ze względu na ich dogodność, a nie prawdziwość. Wiele z naszych pojęć powszednich nie narzuca się z jakąś siłą nieprzepartą. Można powiedzieć, że przestrzeń jest dziełem umysłu, budowanym z pewnych danych nam z góry do wyboru materialów i modeli; rola doświadczenia sprowadza się do udzielania wskazówek przy tym wyborze.

Przechodząc w drugiej części swej pracy do wyników badań fizycznych, utrzymuje Poincaré, że w stosunku analizy do fizyki winno panować równorzędne współpracownictwo przy bezinteresownej artystycznej pracy. Co do astronomji, to ta nas nauczyła, że istnieją prawa i umożliwiła nam wogóle badanie przyrody: „pod niebem, zawsze zachmurzonym i pozbawionym gwiazd, sama nawet ziemia byłaby dla nas wiecznie niezrozumiałą“. W historii fizyki matematycznej odróżnia P. dwie fazy: fazę fizyki sił centralnych i fazę fizyki zasad. W tej ostatniej znajdujemy się jeszcze obecnie. Najważniejszą w niej jest zasada zachowania energii, obok niej jednak działają jeszcze inne: zasada degradacji energii, równości działania i oddzia-



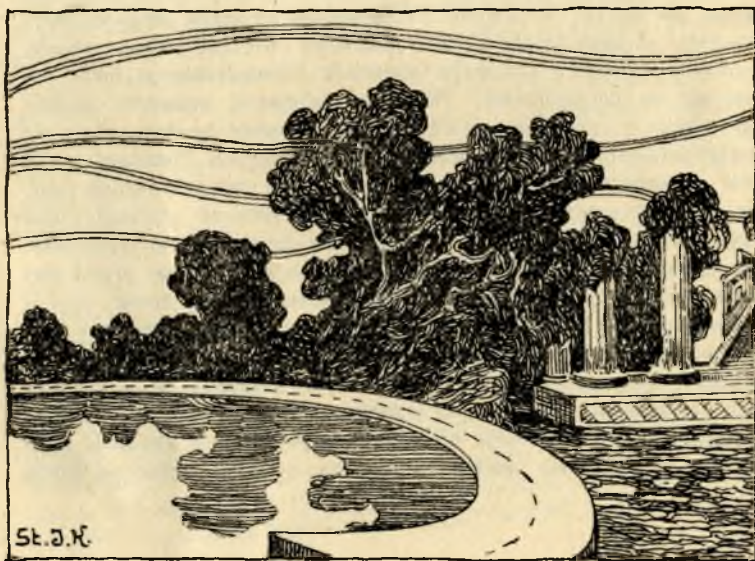
ływania, względności ruchu, zachowania masy, najmniejszego działania. Zdaje się, iż wchodzić zaczynamy obecnie w trzecią fazę, w której wszystkim tym zasadom prócz ostatniej, grozi zagłada. Niebezpieczeństwo nie jest jednak, zdaniem P., zbyt wielkie: po pewnych modyfikacjach niektórych teorii uda się może te zasady zachować. A zresztą mają one przecież charakter wyłącznie konwencjonalny, doświadczenie zatem nie może ich wprost zważyć, może tylko wpłynąć na ich zamianę w razie, gdyby okazały się niedość dogodne.

W trzeciej części swej książki zbija P. poglądy Le Roy, anty-intelektualisty i skrajnego nominalisty, uznającego wszelkie prawa naukowe za sztuczne dzieło uczonych, a naukę wogóle za szereg umów, mających nas poczyć nie o prawdzie, lecz o sposobie postępowania. Poincaré powiada na to: „Niema sposobu uniknięcia dylematu: albo nauka nie daje możliwości przewidywania, w takim razie jest jako prawidło działania pozbawiona wszelkiej wartości, albo też pozwala przewidywać w sposób mniej lub więcej niedoskonały, a w takim razie nie jest bez wartości jako narzędzie poznania“ (str. 141). Rzecz się ma zatem przeciwnie: poznanie stanowi cel nauki, działanie zaś jest jej środkiem. Zaprzecza dalej P. twierdzeniu, jakoby uczeni stwarzali fakty jeżeli nie surowe, to conajmniej naukowe, zaprzecza wogóle istnieniu pomiędzy tymi dwoma szeregami ostrej granicy. Fakt naukowy odróżnia się od surowego tylko wysłowieniem. Można powiedzieć, że „fakt naukowy nie jest niczem innym, jak faktem surowym, przełożonym na język wygodniejszy“ (str. 148). Z twierdzenia Le Roy pozostaje więc ta jedyna prawda, że uczoney wybiera z surowego materiału doświadczalnego fakty, zasługujące na uwzględnienie. Mimo to nie można prawdom naukowym odmówić przedmiotowości. Przedmiotowość bowiem opiera się na współlistnieniu i porozumiewaniu się istot żyjących. Ponieważ zaś te istoty nie mogą sobie wzajemnie komunikować samych swoich czuć, lecz tylko stosunki pomiędzy nimi, więc tylko te stosunki mogą mieć wartość przedmiotową. A że nauka jest układem stosunków, więc ma wartość przedmiotową. Należy tylko zastrzec się przed nieporozumieniem co do pojęcia przedmiotowości. Przez pytanie o przedmiotowości nauki nie winniśmy rozumieć, czy zapoznaje nas ona, z prawdziwą istotą rzeczy, lecz czy poucza nas o prawdziwych stosunkach między rzeczami. A pytanie to zredukuje się do następującego: czy stosunki te są i będą jednakowe dla wszystkich. Upadały co prawda różne już teorie naukowe, ale po bliższem zbadaniu okazuje się, że właściwie upadało w nich to, co było wyłączną teorią

istoty rzeczy, a zostawało to, co było wyrazem prawdziwych stosunków. Ten to wyraz prawdziwych stosunków pozostaje, gdy nawet jest odziany w szatę innych teorii. Pozostaje dla niego pewność conajmniej taka sama, jaka istnieje dla przedmiotów zewnętrznych. Mógłby ktoś powiedzieć, że nauka, będąc wyłącznie układem stosunków, nie może być prawdziwą, lecz tylko wygodną. Jest ona istotnie wygodną, ale wygodną nie tylko dla mnie, lecz dla wszystkich ludzi i będzie wygodną dla naszych potomków. Innymi słowy, jedyną rzeczywistość stanowią stosunki pomiędzy rzeczami i stąd wynikająca powszechna harmonija. Coprawda stosunki te i ich harmonija nie dadzą się pomyśleć poza ujmującym je umysłem: ale mimo to są one przedmiotowe, ponieważ są albo mają się stać wspólnymi dla wszystkich ludzi.

Dzieło Poincaré'go stanowi wyraz najnowszej krytyki w dziedzinie nauk ścisłych. Dokonywana się od pewnego czasu rewizja pojęć przyrodniczych doprowadziła do ważnych reform pod względem ujmowania zarówno metod i wyników naukowych, jak i istoty i zadań nauk wogóle. Książka Poincaré'go, która w dużym stopniu do ruchu tego się przyczyniła, zasługiwała ze wszech miar na przyswojenie naszej literaturze. Przekład prof. Silbersteina uczynił jej potrzebie zadość w sposób doskonały.

*Dr. A. Zielańczyk.*







## WYSTAWA OBRAZÓW

### KAZIMIERZA STABROWSKIEGO.

Prawdziwa sztuka wyrasta z uczucia i wyobraźni — i takim jest podłoże twórczości Stabrowskiego w większości jego dzieł.

Słynne wyrażenie: „maluję jak widzę“—wyrażenie, nadużywane przez realistów malarskich tam, gdzie ich szczerłość nie zdobywała się na nic innego, jak na nudne notatki z natury, i gdzie natura ta wydawała się im suchym kalejdoskopem geometrycznych linii perspektywicznych i konwencjonalnych, mniej lub więcej „prawdziwych“ barw—to wyrażenie ma dopiero sens u artystów, którzy patrzą przez pryzmat swoich odczuć na naturę.

Naprzykład w krajobrazach jesiennych realizm może wiernie skopjować kształt i barwę więdnących liści na drzewach, ale nie nada całej przyrodzie tego specjalnego nastroju, który tak kochał Słowacki i każdy chyba poeta. Uchwycenie tego, co się jesienią dzieje, co drży w powietrzu i paruje z ziemi wraz z zapachem szeleszczących pod nogami żółkłych i zrudziałych liści—odczucie tego ogólnego obumierania, które dla twórcy staje się zresztą bodźcem tylko do wzmożonego życia, do twórczości, to uczynić może tylko artysta, malujący pełnię swoich wrażeń, nie zaś ich skrawki, sztucznie wydzielone z całości duchowych przeżyć. Tylko taki artysta znajdzie od-

powiednie środki do ich odmalowania, odpowiednie syntezy barw, syntezy kształtów, dające coś nowego, żywego—bo te syntezy dojrzał w sobie oczyma wyobraźni, oczyma wizji twórczej. Maluje więc „tak jak widzi“, bo on inaczej widzieć natury nie może. Tu tylko wyrażenie to odpowiada rzeczywistości, bo świadczy o tem, że artysta widzi *inaczej* niż inni. U realistów zaś to zazwyczaj oznacza „maluję, jak widzi normalny (?) człowiek“ — czyli maluję, jak widzi każdy inny — czyli „w mojem widzeniu niema nic szczególnego, ciekawego, nic nowego“—czyli niema talentu, artyzmu.

Stabrowskiemu natura nasuwa wizje twórcze o niej. Stąd jesień właśnie, która specjalnie przemawia do jego duszy, raz przedstawia mu się jako „złota bajka“ — w chwili gdy rodzi się pierwszy jej powiew, gdy drzewa wszystkie lśnią złotem, gdzieś tam tylko czerwieniejąc,—to znowu już pod zimę jesienie jego to ponure, w wichrach, deszczach i błocie nurzające się pejzaże, gdzie na czarniawo szarem tle nieba i ziemi butwiejące żółtawe bukiety drzew otaczają czarne, mokre siedziby ludzkie, podobne do trumien, i gdzie w mroku majaczej widmowe, obdarte drzewa pochylone w burzach, co resztki liści miotają na grzązkie drogi.

„Złota bajka jesieni“, jeden z najpiękniejszych obrazów Stabrowskiego, jest lekką, powietrzną, w harmonijnych barwach utrzymaną kompozycją. Słoneczne złoto drzew wytwarza dźwięczny akord w połączeniu z tą przejrzystą postacią o jasnych delikatnych fioletoch i nieuchwytnych różowościach, oraz z czerwonymi plamami bażantów.

Tak lekkimi, przejrzystymi, bogatymi w barwy są też pogodne u nas zazwyczaj ostatnie dni września lub początki października. W tej fantazji jest prawda.

Ciężkie, wielkimi płachtami farb malowane pejzaże późnej jesieni, dżdżystej i ciemnej, również głoszą prawdę o ponurej melancholji tych chwil.

Tak więc w tych odrębnych w treści tematach artysta intuicyjnie używał odrębnych sposobów technicznych. Technika wpływała wprost z treści. Są to pieśni, wyśpiewane barwą, są to kompozycje czysto malarskie. Niewielkie rozmiarami, dają one cenne niedomówienia, które w tej lirycznej pejzażowości są wszystkim.

Tę samą harmonję pomysłu i wykonania, ten sam liryzm, przemawiający środkami zgodnymi z danym nastrojem, widzimy w pastelowych, również niewielkich rozmiarach wizyjnych obrazach, jak „Nad wodami Lety“, „Zwiastowanie“, „Polowanie Djany“, oraz w szkicach do cyklu wielkich „Fantazji pejzażowych“. I tam są te same



niedomówienia, te same przejrzystości i bogactwa barw, subtelności wyrazu—te same cechy wizji, bezpośrednio odtworzonych, z zachowaniem ich mglistych, niepewnych, wymownych konturów—ich uroku sennego marzenia.

Ten fantastyczny, tajemniczy liryzm, równie zdolny do odtwarzania radosnych, słonecznych, lekkich wrażeń, jak i czarnych poświstów mrocznego wichru, stanowi indywidualność malarską Stabrowskiego, oś jego artysty.

Sztuka jego załamuje się, ilekroć artysta o tem zapomina, ilekroć do tych malarsko-lirycznych wizji i wrażeń dodaje pierwiastki, malarstwu obce, lub gdy próbuje (porzucając bezpośredniość twórczą, jemu właściwą), przerabiać te liryki na wielkie epopeje, których technika, niezgodna z charakterem liryzmu i wizyjności, zabija jedno i drugie.

W ten sposób przesłizne „szkice“ właściwie nie szkice, lecz skończone w artystycznych niedomówieniach swoich wizje twórcze) do „Fantazji pejzażowych“ powinny były pozostać takimi, jakie są. Przetworzone na olbrzymich rozmiarów obrazy, straciły to, co stracić musiały — swoją fantastyczność, barwność, lekkość, puszystość, dzwiewczość. Z groźnych, prawdziwych chmurzysk, wiszących nad ziemią, przetwarzających się przed oczyma widza w fantastyczne postacie,—jakiemi widzimy je w szkicu do „Pochodu burzy“ — w dużym obrazie pozostały jakieś szerokie plamy szarej farby o fantastycznych wprawdzie kształtach, ale pozbawionych zupełnie charakteru chmur. Kolor ociężał, zdrewniał, zesztyniał. To samo stało się z „Piorunem“, „Pożogą“, „Nad smutnym krajem“ i t. d. — i tylko „Kurhany“ są równie a może jeszcze bardziej piękne w dużym obrazie, niż w „szkicu“—choć straciły lekkość bezpośredniego odtworzenia. Mało też ucierpiała na przeróbce „Brama życia“ i „Hejnał“.

Uderzającymi są naprzykład różnice pomiędzy obrazem a szkicem p. t. „Rapsod“.

Szkic — to piękna gra różowych światel wschodu na lekkich chmurach, układających się w subtelne, rozwiewne widma. Szkic jest bardzo barwny. Czerwienie i krwistości promieni słonecznych podkreślają żółtawe i zielonawe odcienia przeświecającego przez nie nieba oraz fioletowawe cienie chmur.

W obrazie zginęły odcienie czerwieni, zginęły i fiolety i żółciny i zielenie — pozostał tylko ciemno-szaro-granatowy kolor chmur i jednostajna czerwień zjaw niebieskich (rycerze na koniach i t. d.), przy przezernionej reszcie obrazu. Kolor chmur jest nawet dość

prawdziwy—ale o ileż mniej bogaty, mniej barwny, o ileż cięższy, niż w szkicach! Wizje w chmurach są wyraźniejsze — i przez to straciły arok i stały się mniej prawdopodobne, mniej artystyczne.

Być może, iż wogóle fantazja nie znosi dużych rozmiarów — istotnie bardzo ich mało w historii sztuki. W mniejszym formacie łatwiej utrzymać jednolitość nieuchwytnego nastroju wizji. Ręka zachowuje wszystkie nieodgadnione drgania intuicyjne, którymi kieruje talent. Nie jestem zwolennikiem takiego półświadomego tworzenia, oddawania się na niepewne fale natchnień, ale wiem, że są pierwszorzędne organizacje twórcze, które inaczej tworzyć nie mogą, i są pewne tematy — a mianowicie liryki i wizje, których charakter, treść, tajemniczość, uczuciowość jeśli nie psuje się, to w każdym razie zmienia zasadniczo, o ile podlegnie trzeźwym obrabianiom i t. d.

Ale nietylko ta powtórna i na olbrzymią co do rozmiarów skalę pomyślana przeróbka zepsuła artyście delikatny materiał wizyjno-uczuciowy „szkiców“. Do czysto malarskich tych obrazów wniknęły tematy poetyckie, a więc jakby chęć uwypuklenia, bardziej wyraźnego wyrażenia lekkich zjaw w chmurach—jakby chęć przekonania widza o ich rzeczywistości — chęć nadania im realnego życia. Mam wrażenie, że to właśnie obciążło wizje balastem zbytnej plastyczności, to spowodowało, że chmury przestały być chmurami, nie stając się jednocześnie żywymi istotami.

Ten poetyczny antropomorfizm byłby na miejscu w poemacie — w malarstwie zaś nie tłumaczy się jasno, a raczej tłumaczy tylko w szkicach, gdzie pierwiastek malarski wchłonął w siebie poezję i stworzył z nią syntezę.

Nie utrzymywałbym tego z dużą dozą pewności, gdyby nie było jeszcze wyraźniejszych przykładów, że artysta chwyta się czasem tematów czysto poetyckich, i zaznacza je tylko zlekka po malarsku, jak np. w „Melodji fal“, która wyobraża nagą postać, siedzącą nad morzem. Melodja ta jest czemś w obrazie nieistniejącem — słyszał ją autor, nie wyraził jednak środkami malarstwa. To samo dzieje się z kilkoma wizerunkami ruin.

Wszystko to są, oczywiście, zastrzeżenia, dowodzące pewnych omyłek autora, ale nie czyniące bynajmniej ujmy jego dużej miary talentowi, który nie jest równym w swoich przejawach, daje obok rzeczy bardzo pięknych, słabsze, ale nigdy nie jest banalnym, zawsze pragnie wyrazić coś z duszy płynącego, coś ze swoich głębokich odżyć, przeżyć i zjaw fantastycznych.



Nie mogę pominąć w tej krótkiej charakterystyce kilku pięknych portretów, jak portret damy o oczach głęboko zamyślonych, tajemniczych (p. M. N.), portret p. B. w stroju fantastycznym, przebogatym w barwy, na zharmonizowanym tle ustawionym, lub portret żony artysty.

Wreszcie nadmienię o głębokiej w nastroju, w szarych harmoniach utrzymanej „Białej Nocy finlandzkiej“, i o prześlicznych dwóch kompozycjach barwnych „Nasturcje“ i „Ziemowity“.

Jeżeli dodam do tego oryginalne kilimy, to będziemy mieli choć w części wyobrażenie o tym zadziwiającym talencie, który, płynąc na łodzi intuicji i natchnienia, kieruje się przeczuciami fantazji, zamilowania wschodnich barwistości, myląc się wprawdzie czasem, ale zgadając na pewno — równie często.

*J. Kleczyński.*

## JESZCZE SŁÓW PARĘ

### O VI DOROCZNEJ.

Salon „doroczny“ w Zachęcie wyróżniał się jedną cechą wybitną — wielce sympatyczną — był niezależny od zmiennych upodobań chwili, wyobrażał wszelkie kierunki myśli artystycznej, wskazywał na momenty w biegu rozwojowym, budząc zarazem refleksje o wartości ogółu wysiłków w naszej sztuce.

Ostatnie zwłaszcza lata dają nieustannie bardzo wiele interesujących prac „najmłodszych“, zaciekawiają one poszukiwaniem i zmaganiem się z trudnościami, czuć w tem zapal, siłę i energję!

Zdawałoby się, że te cechy należą jedynie do najmłodszych — bynajmniej! — W sprawie sztuki bowiem — decyduje siła pragnień, zdolność przekonywania mową artystyczną, i mimowoli nasuwa się pytanie: skąd czerpie Brandt lub Chełmoński w ciągu tylu lat pracy wyteżonej zapal jednaki i wrażliwość młodzieńczą?

Powaga myśli bije z obrazów tych mistrzów. Podole Chełmońskiego — to bezmiar światła i powietrza, utajonego w głębi tonu

nadwyczaj jasnego, subtelnego, i w tem tkwi cała trudność zadania malarskiego, gdzie jedna plamka, chybiona w skali, gubi obraz! To też wydaje się wykonanym nie farbą i pędzlem, lecz samem czuciem i tylko czuciem.

Zdamiewa i Brandt powagą nastroju, wspaniałym obrazem „Bogarodzica“ — pieśnią rycerstwa polskiego, pieśnią, która rozbrzmiewała w szeregach wojsk, szykowanych do boju w chwili uroczystej.

Długosz zowie „Bogarodzie“ — śpiewem ojczystym, pieśnią narodową „Patrium Carmen“. Pomysł i zadanie wielkie streszcza w sobie dacha religijnego i rycerskiego, — obraz jest zarazem syntezą działalności Brandta; — a na podjęcie tematu podobnego — ważyć się może jedynie wielki talent, rozporządzający bogactwem zasobów duchowych przy odpowiedniej umiejętności artystycznej. A Brandt posiada to wszystko! — Obraz „Bogarodzica“ powstał cały z wyobraźni i tym właśnie pierwiastkiem wyróżnia się Brandt zawsze.

Pojęcie obrazu odpowiada powadze założenia ideowego, które wyrażone zostało w szerokiej linii wojsk, zajmujących przestrzeń olbrzymią, ginącą gdzieś w głębi oddali, rozświetlonej brzaskiem dnia pogodnego.

Obrazem swym Brandt przenosi nas w momenty zwycięskich dziejów — bodaj Żółkiewskiego hetmana. Plastyka obrazu nadwyczajna, miarkowana wielką precyzją tonu ogólnego.

Jednocześnie z tem dziełem nastrojowem dał Brandt — jakby dla kontrastu — drugi obraz, znacznie mniejszy, którym przedstawia scenę rodzajową „Handlarza koni“ — jak zwykle pełną zacięcia nerwu malarskiego, z plastyką doskonałą, a porównanie obu tych obrazów: „Bogarodzie“ i „Handlarza koni“ daje miarę, jak dalece rozmaite środki malarskie stosuje Brandt celem wyrażenia różnic charakteru obrazów.

*Apolońjusz Kędziński.*





## KONKURSY.

### Konkurs artystyczny „Sfinksa“.

Na konkurs artystyczny „Sfinksa“ nadesłano 65 rysunków z następującymi godłami:

- 1) Cisza. 2) Smatek. 3) Czas (dwa rysunki). 4) Wieś. 5) Wisła. 6) Zorza. 7) Nad poziomy. 8) Bez nagrody. 9) Do światła.
- 10) Przebojem (dwa rysunki). 11) Almanzor. 12) Że to tak losy szczęściem gardzą... 13) Wenus. 14) Potomek Edypa. 15) Trzeba naprzód iść i świecić. 16) Iris. 17) Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy. 18) Wirydarz. 19) O. 20) Śmiałym fortuna sprzyja. 21) Storczyk. 22) Różanka. 23) Galicjanin (dwa rysunki). 24) Lewy brzeg Warty. 25) Łoża. 26) Cezar (dwa rysunki). 27) Do domu. 28) Chwila. 29) Chmura (dwa rysunki). 30) Contra spem spero (dwa rysunki). 31) Być, czy nie być. 32) Trójka. 33) Griff (trzy rysunki).
- 34) Lilja. 35) Dzień I i Dzień II (dwa rysunki). 36) Avanti. 37) Litwa. 38) Kreska. 39) Piękna czytelniczka. 40) „VV“. 41) Czernony gwoździak (trzy rysunki). 42) Obrazek bez tekstu (dwa rysunki). 43) Ptak (dwa rysunki). 44) Wiosenny wiatr. 45) Daleko został cały świat. 46) Tes. 47) W. B. 48) Szyszka. 49) Swastika. 50) Gabrjel (dwa rysunki). 51) Sfinksowi.

Wobec tego, że Redakcja nasza otrzymała z różnych stron prośby o odroczenie terminu konkursu, chcąc umożliwić jak najszerszemu gronu artystów wzięcie udziału w turnieju naszym, niniejszem *przedłużamy konkurs artystyczny SFINKSA do dnia 31 marca r. b.*, chociaż między nadesłanymi rysunkami mamy już szereg pięknych winięt.

Zwracamy uwagę pp. artystów, że w konkursie tym chodzi o winietę poprosta, a nie o winietę tytułową dla „Sfinksa“.

Do ogłoszonego w zeszycie listopadowym grona sędziów konkursowych weszli jeszcze artyści-malarze *Apolonjusz Kędzierski* i *Józef Ryszkiewicz*.

---

### Konkurs dramatyczny Dyrekcji Teatrów Rządowych.

Otrzymaliśmy z prośbą o umieszczenie w „Sfinksie“ zawiadomienie następujące:

Z wielu stron dochodziły do Dyrekcji Teatrów Rządowych głosy i życzenia, aby termin konkursu dramatycznego, ogłoszonego przez Teatra Warszawskie, został przedłużony. Zasięgnąwszy w tej mierze opinii Komitetu Sędziów (jury), Dyrekcja Rządowa Teatrów Warszawskich, pragnąc zarazem ułatwić warunki pracy piszącym, postanowiła naznaczyć nowy termin wyżej wymienionego konkursu na dzień 31 marca 1910 r. nowego stylu.

---

### Konkurs poetycki „Sfinksa“ im. J. Słowackiego.

Upoważnieni zostaliśmy do otworzenia koperty z nazwiskiem autora poematu p. t. „Rybak“, wyróżnionego na konkursie poetyckim „Sfinksa“ imienia Juliusza Słowackiego.

Jest nim p. *Romuald Minkiewicz*.



## KSIAŻKI NADESŁANE.

### Powieści i nowele.

Teodor Jeske-Choiński „Klara z Mikoszyna“. Opowieść historyczna. Str. 127, Nakład „Ziarna“, 1910.

Wincenty Kosiakiewicz „Jej chłopcy“. Powieść. Tom I. Str. 124. Tom 624 „Biblioteki Dzieł Wyborowych“. 1910.

Eliza Orzeszkowa „Gloria Victis“. Oni.—Oficer.—Hekuba.—Bóg wie kto (1863). Str. 403. Wilno. Nakład Makowskiego, 1910.

Stanisław Ostrowski „Z gwiazdą Mocarza“. Powieść historyczna z czasów księstwa Warszawskiego. Str. 351. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa. 1910.

Włodzy Skiba (Władysław Sabowski) „Nad poziomy“. Powieść z r. 1863. Tom I. Str. 201. Tom I miesięcznika, poświęconego najwybitniejszym powieściom i romansom polskim i obcym p. t. „Ciekawe powieści“. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1910.

Józef Weysenhoff „Unja“ powieść litewska. Str. 446. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1910.

Gabryela Zapolska „Szaleństwo“. Powieść. Str. 394. Kraków, G. Gebethner i Spółka, Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1910.

### Poezja.

Stanisław Korab Brzozowski „Nim serce ucichło“ Str. 87. Wydawnictwo Jakuba Mortkowicza. 1910.

Wincenty Korab-Brzozowski „Dusza mówiąca“. Str. 160. Wydanie Jakuba Mortkowicza. 1910.

Mieczysław Finkelstein-Ziębowski „Pieśni słoneczne“. Str. 111. Warszawa, skład główny u Gebethnera i Wolffa, 1910.

Janina Tomaszewska-Malanowska „Poezje“. Z portretem autorki. Str. 120. Warszawa, skład gł. u Gebethnera i Wolffa, 1910.

Władysław Topór-Zabiello „Sny duszy“. Str. 155. Warszawa, skl. gł. u E. Wendego i Sp. 1910.

### Dramat.

Adolf Nowaczyński „Wielki Fryderyk“, powieść dramatyczna. Str. 352. Kraków, G. Gebethner i Sp. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1910.

## Studja literackie.

Zygmunt Kramsztyk „Bohaterowie Pana Tadeusza“. III. Goście Soplicowscy i Dobrzyńscy. Str. 147. Warszawa, 1909.

Józef Wiśniowski „Święto poety“. Jubileuszowe szkice o Słowackim. Str. 174. Kraków, 1909.

## Studja naukowe.

M. Guyau „Zarys moralności bez powinności i sankcji“. Str. 261. Wyd. Towarzystwa Kultury Polskiej (Sekcji etycznej). Warszawa, 1910.

Prof. dr. Józef Nusbaum „Idea ewolucji w biologji“. Przeszłość, stan obecny i wpływ na rozwój wiedzy ludzkiej. Str. 560 dużego formatu z licznymi rycinami. Cena rb. 5 kop. 60. Nakład G. Centnerszvera i Sp. Warszawa, 1910.

Aleksander Świętochowski „Utopje w rozwoju historycznym“. Str. 347. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa, 1910.

## Pamiętniki.

Ludwik Jenike „Ze wspomnień“. Część II. Str. 135. Tom 623 „Biblioteki Dzieł Wyborowych“. Warszawa, 1910.

## Publicystyka.

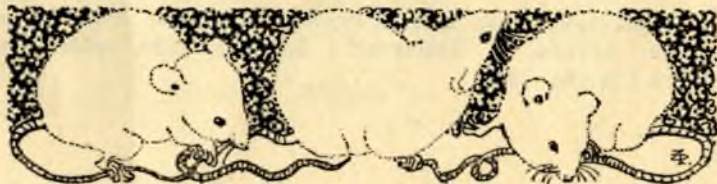
Zygmunt Balicki „Zasady wychowania narodowego“. Referat przedstawiony na Polskim Kongresie pedagogicznym we Lwowie dn. 1 listopada 1909 r. Str. 16.

Kazimiera Bajwidowa „Źródła kwestji kobiecej“. Nakład „Steru“. Str. 39. Warszawa, 1910.

Cecylja Walewska „Ruch kobiecy w Polsce“. Części I i II. Str. 48 i 48. Wydawnictwo jubileuszowe im. Orzeszkowej. Warszawa, 1909.

## Varia.

Kalendarz Ziemi Łowickiej na rok 1910. Wydanie Oddziału Towarzystwa Kultury Polskiej w Łowiczu. Str. 203. Cena 50 kop. Łowicz. 1910.





**DUCHY** A. Świętochowskiego. Tom pierwszy (w drugim wydaniu) zawiera części: I Alrun, II Moronowie, III Zwiastun, — rb. 1 kop. 50, tom drugi (w pierwszym wydaniu): IV Koniec świata, V Pogrom, VI Barza — rb. 2.

**UTWORY DRAMATYCZNE  
JADWIGI MARCINOWSKIEJ.**

„Wyśniony dramat“, cena rb. 1 kop. 35.  
„Piastowie“ . . . . . „ „ 1 „ 35.  
„Kościaszko“ . . . . . „ „ 2.

**„PRAWDA“**

**NAJSTARSZY POSTĘPOWY TYGODNIK POLSKI,  
wychodzi 28 lat w Warszawie**

przy stałym współdziale:  
**Aleksandra Świętochowskiego i Aleksandra Lednickiego.**  
W dodatku książkowym wychodzi w tym roku  
dzieło **prof. Ignacego Radlińskiego.**

p. t. **JEZUS, PAWEŁ i SPINOZA.**  
Nowi prenumeratoremie dodatku za ubiegłe kwartaly otrzymać mogą po połowie ceny, czyli po 20 kop. za 6 arkuszy dodatku.  
Prenumerata roczna w Warszawie 8 rb., w Cesarstwie, na prowincji i za granicą rb. 10.

**„KSIĄŻNICA NAUKOWA I ARTYSTYCZNA“.**

Pod tym tytułem podjęto w Krakowie wydawnictwo dzieł, mających na celu prowadzenie czytelników na wyżyny ducha i myśli. W czasie rozpowszechnienia się płytkości i tandety, z „Książnicy“ przemawiają myśliciele i artyści prawi, swojsey i obcy, by w społeczeństwo nasze wnieść idee nowoczesnego poglądu na świat, oraz chwile prawdziwie artystycznej kontemplacji.

Serja I-sza obejmuje następujące dzieła:

- I. **CYPRJAN NORWID: O Jul. Słowackim.** Sześć prelekcji. — Cena K. 1.50, rb. 0.60.  
(Książka podwójnie ważna: ze względu na Słowackiego i na zainteresowanie, jakie zaczyna budzić gienjusz Cyprjana Norwida).
- II. **R. W. EMERSON: Przedstawiciele ludzkości.** Przełożyła z angielskiego M. Kreczowska. — Cena K. 3. —, rb. 1.20  
(Treść: Znaczenie wielkich ludzi. Plato, czyli filozof. Swedenborg, czyli mistyk. Montaigne, czyli sceptyk. Szekspir, czyli poeta. Napoleon, czyli natura życiowa. Goethe, czyli pisarz).  
(Dzieło Emersona, tłumaczone na wszystkie języki europejskie, należy do skarbu najcenniejszych pism literatury powszechnej).
- III. **KAROL VOLLERS: Religie świata.** Przekład z niemieckiego. — Cena K. 3. —, rb. 1.20.  
(Treść: Trzy religie świata. Rozpowszechnienie ich i liczba wyznawców. Religie północno-semickie. Religia starego testamentu. Religia perska. Indje i budyzm. Chrześcijaństwo. Islam. Literatura).  
(Autor, profesor w Jenie, dał w wykładzie swoim obraz powstawania wszystkich obecnych religij pozytywnych, pokrewieństwa ich i łączności. Dzieło ściśle naukowe, na jakim naszym piśmiennictwa dotąd zbywało).
- IV. **HARALD HÖFFDING: Współcześni filozofowie.** Przełożył Bron. Gałczyński. Cena K. 4. —, rb. 1. —  
(Treść: Wilhelm Wundt, Robert Ardigo, Francis Herbert Bradley, Alfred Fouillee i współczesna filozofia francuska. Filozofujący przyrodnicy, Maxwell, Mach, Hertz, Ostwald, Ryszard Avenarius, Jan Marja Guyau, Fryd. Nietzsche, Rudolf Eucken, Wiljam James).  
Jedyny obraz współczesnej myśli filozoficznej — w mistrzowskich charakterystykach przedstawiony).
- V. **GABRYELLA (NARCYZA ŻMICHOWSKA): Poganka.** Cena K. 5. —, rb. 1,20  
(Jedno z arcydzieł polskiej literatury powieściowej).
- VI. **Dr. M. SOBĘSKI: Przędziwo Arachny:** Cena K. 2.50, rb. 1.  
(Treść: Przędziwo Arachny.—Maruder filozofji.—In memoriam Plotini.—W kaplicy Medyceuszów.—Dekameron szatański.—Kant i Nietzsche.—Szlakiem żórawim).  
(Szereg szkiców, omawiających ważne kwestje z dziedziny filozofji i sztuki. Pisane językiem wytwornym, głęboko i oryginalnie).

*Poszczególne dzieła do nabycia we wszystkich księgarniach.*  
Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa.



# BLUSZCZ

Największe i najpoczytniejsze pismo tygodniowe dla kobiet, literacko-społeczne, ilustrowane, pomieszcza prace pierwszorzędných sił literackich.

Dla zapewnienia sobie powieści pierwszorzędných „BLUSZCZ”, ogłasza na 1-go Kwietnia 1910 r.

**Konkurs z nagrodą rb. 1000** na powieść obyczajową, współczesną.

## Artykuły wstępne,

artykuły treści społecznej, omawiające chwile bieżącą i poruszające najżywniejsze sprawy, dotyczące kobiet.

## Powieści.—Nowele.

*Dodatki, poświęcone tęczności kół kobiecych na ziemiach polskich.*

Prócz nowel piór najeelniejszych Bluszcz w r. 1910 drukować będzie powieści: **Kazimierza Tetmajera GRA FAL** (początek przygotowane dla nowych pren.) **M. Wierzbńskiego „ŚWIĘTY FEN”** i inne.

## DZIAŁ KOSMETYKI

Rady i wskazówki zachowania higieny piękności

Prenumeratę najlepiej przesyłać pod adresem: **Administracja „BLUSZCZU” Warszawa, Nowy-Świat 41.** Prenumerata „BLUSZCZU” wynosi: **W Warszawie**, rb. 7 kop. 20. kwartalnie rb. 1 kop. 80; z przesyłką rb. 10 rocznie, rb. 2 kp. 50 kwartalnie.

Numery okazowe wysyłane na żądanie —\* franko i gratis. \*

## Dział gospodarstwa domowego. Przepisy kulinarne i t. p.

**DODATKI KSIĄŻKOWE** w arkuszach zawierają powieści, nowele znakomitych autorów obcych.

## Odrębną część pisma stanowi **DZIAŁ MÓD**

Jedyny i najobszer. ze wszystkich, jakie są w pismach polskich, który zawiera rocznie przeszło 4,000 rysunków najświeższych modeli paryskich: sukien, okryć i kapeluszy damskich. —Osobne dodatki z ubraniami dziecięcymi. —Bielizna. —Wzory robót kobiecych, jak: hafty, gipiary, monogramy, roboty szydełkowe i t. p.

Niezależnie od powyższego działu „Bluszcz” dodaje:

**26 wielkich tablic krojów**, Dających możność wykonywania różnych ubiorów i robót w domu.

Wyszedł z druku № 70—71,

## „WOLNEGO SŁOWA”

Zawiera następujące prace **L. Belmonta**

1) W waszem czy naszym państwie? Z powodu sprawy adwokata Patka. 2) Dysputa kapucyna z rabinem. (Do załączonego obrazu Wachtla). 3) Polski Żyd XVIII stulecia. (Salomon Mojżesz). 4) W obronie tego, co już się bronić nie może. (Nad mogiłą Jakuba Lewkowicza.) Metafizyka Spinozy i monizm Haeckla. Umiłowanie Żydów w Polsce i przestrogi „Myśli Niepodległej”. 5) „Kultura” o dramacie „Dla honoru”.

W dodatku: O upadłej kobiecie (Prostytutki w literaturze pięknej. Simmel o prostytutce).

## GAZETA RADOMSKA,

Organ ziemi Radomskiej, wychodzi w środy i soboty

pod redakcją: **Szczęsnego Jastrzębowskiego.**

Przedpłata wynosi w Radomiu rb. 4 rocznie, r. b. 1 kwartalnie, pocztą rb. 5 rocz. rb. 1,25 kwart.

## GŁOS PŁOCKI

wychodzi w środy i soboty

pod redakcją: **Jana Święcickiego.**

Pismo poświęcone głównie sprawom miejscowym.

Warunki przedpłaty: W Płocku rocznie rb. 5 kwartal. rb. 1,25. Z przes. poczt. rb. 6, kwart. rb. 1,50. Zagradca: Rocznie rb. 8. kwartal. rb. 2.

## „WZŁOT”

dwutygodnik, poświęcony sprawom miejscowym i literaturze, ma na celu ześrodkowanie członków kolołji polskiej i dostarczanie wiadomości z życia Polaków i stowarzyszeń polskich w Moskwie.

Cena „WZŁOTU” w Moskwie i na prowincji rubli 3 (r.) z przesyłką pocztową.

„WZŁOT” wychodzi 2 razy na miesiąc pod kierunkiem **Ludomira Sujkowskiego i Władysława Everta.**

Adres Redakcji i Administracji: Sretenka, Łukow zaulek № 4 w Moskwie.

## KURJER ŁÓDZKI

Dziennik polityczny, społeczny i literacki pod kierunkiem **St. Książka.**

Prenumerata w Łodzi wynosi rocznie z odnoszeniem do domu. przesyłką pocztową na prowincję lub do Cesarstwa: rb. 8 kop. 40, kwartalnie rb. 2 kop. 10, miesięcznie 70 kop.

Za przesyłkę zagranicę dolicza się 60 kop. miesięcznie.

## GAZETA KIELECKA

Organ Ziemi Kieleckiej

Kierownik literacki: **Henryk H. Wróblewski.**

### WARUNKI PRENUMERATY:

W Kielcach:	Na prowincji i w Cesarstwie:
Rocznie rb. 4	Rocznie rb. 5 kop. 40.
Miesięcznie „ 2	Kwartalnie „ 1 „ 35.
Kwartalnie — kop. 35	Miesięcznie „ 0 „ 45.



# S F I N K S,

MIESIĘCZNIK LITERACKO - ARTYSTYCZNY I NAUKOWY

pod redakcją

**Władysława Bukowińskiego,**

przy najbliższym współdziale

**Ign. Chrzanowskiego i Ign. Matuszewskiego**

i przy współpracownictwie najwybitniejszych polskich sił  
pisarskich i artystycznych.

„SFINKS“ zamieszcza: studja, rozprawy i szkice literackie,  
artystyczne i naukowe; powieści, poematy, dramaty  
i wiersze drobniejsze; przeglądy i sprawozdania literackie  
i artystyczne; sylwetki pisarzy i artystów polskich  
i obcych; reprodukcje artystyczne dzieł sztuki, rysunki  
i winiety artystów wybitnych.

„SFINKS“ stara się być możliwie obiektywnym wyrazem  
i odbiciem współczesnej fali twórczego życia polskiego  
z różnemi jej odcieniami i zabarwieniami.

Każdy zeszyt „SFINKSA“ zawiera około 10 arkuszy dru-  
ku (160 str.) wyborowej treści literackiej, podanej w wy-  
twornej szacie zewnętrznej, przyozdobionej i urozmai-  
conej reprodukcjami dzieł sztuki.

**Prenumerata** „SFINKSA“ wynosi rb. 8 rocznie, rb. 4, półrocznie  
i rb. 2 kwartalnie w Warszawie, a rb. 9 rocznie, rb. 4 kop. 50  
półrocznie i rb. 2 kop. 50 kwartalnie z przesyłką pocztową w Kró-  
lestwie i Cesarstwie za wydanie tańsze, oraz rb. 10 rocznie i rb.  
5 półrocznie w Warszawie, a rb. 12 rocznie i rb. 6 półrocznie  
pocztą za wydanie wykwiłtne na wytwornym papierze żeberko-  
wym większego formatu.

**Prenumerata** „SFINKSA“ zagranicą wynosi (z przesyłką rekomendo-  
waną) rb. 11 rocznie za wydanie tańsze i rb. 13 za droższe;  
w tym samym stosunku półrocznie i kwartalnie.

**Cena ogłoszeń** w „SFINKSIE“ za jednoszpaltowy wiersz petitowy lub  
jego miejsce:

- 1) na I-ej str. kolorowej okładki, na III-ej str. okładki białej i w ru-  
bryce „nadesłane“ zaraz po tekście, kop. 50;
- 2) na ostatniej stronie kolorowej okładki, kop. 30;
- 3) w rubryce „po tekście“, na dodanych specjalnie kolumnach bar-  
wnych, kop. 20;
- 4) pierwszy boczny margines obwolaty (obok spisu rzeczy) rb. 12.
- 5) drugi boczny margines obwolaty, rb. 8.

**Rękopisów otrzymanych Redakcja nie odsyła. listów i przesyłek nie-  
dostatecznie opłaconych nie przyjmuje, odpowiada listownie po otrzy-  
maniu marki na odpowiedź.**

Administracja „SFINKSA“, przy ul. Hortensja Nr. 4, tel. 110-99 w War-  
szawie, otwarta jest codziennie, oprócz niedziel i świąt, od godz.  
10 do 2 $\frac{1}{2}$  i od 4 $\frac{1}{2}$  do 6.

Redaktor przyjmuje Interesantów w poniedziałki i soboty od godz.  
6-ej do 7-ej wieczorem.

---

Redaktor i Wydawca: WŁADYSŁAW BUKOWIŃSKI.

Druk A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego, Erywańska Nr. 2-4.

niej przelotnie w ostatnich dniach września pod pozostaniem zakupu przyrządów fizycznych i książek dla uczniów. Zapomniawszy o ledwie przyschłych ranach, postępował z dziecinną nieoględną, wyzywał wilka z lasu, chociaż sam zdawał sobie sprawę z niezażęganego niebezpieczeństwa. „Uttumili to—wyrażał się—w czasie pobytu monarchy, lecz teraz lada chwila czekam porwania, przysięgam jednak,—że do grobu tajemnicę poniosę.“<sup>1)</sup> Zamiast unikać dawnych stosunków, szukał ich z lubością, widocznie w chęci zatarcia drastycznego o nim sądu. Przed krewnym pani Łabędzkiej, Kazimierzem Wołowskim, wynurzał się w nieskończoność, wprowadził go w przepastne krainy myśli swojej i nieudałego związku, opowiadał rzeczy „niebываłe nawet“, a z okazji toczącej się wojny na Bałkanach zauważył znacząco: „trzeba oczekiwać ważnego wypadku, gdyż sami sobie nie poradzimy...“ Nie obešlo się także bez zetknięcia z Bońkowskim, Jaślikowskim i falangą współpracowników „Wieńca“. Narzucił się również na doradcę pannom Kayser w sprawie przeciw ich lokatorowi, kapitanowi kirasjerów, Timirazjewowi, który ze złości za wypowiedzenie mieszkania porobił znaczne szkody... Wślad za ruchliwym eks-klerykiem szła tajna policja i podchwytowała dowody. Już minęła koronacja, wszelkie skrupuły i uboczne rachuby straciły znaczenie, można było *ob noviter reperta* przyczepić się do spiskowca, wywlec całe zajście na wierzch i powetować bezsilny wymiar sprawiedliwości, wyrosły z pnia racji stanu. Zaledwie znalazł się znowu na wsi, spoczęło na nim żelazne ramię żandarmskie. Przy rewizji znaleziono w skrzynce dębowej, kutej w żelazo, wiersze: „Pożegnanie do ziomków“, fantazję wszechstowiańską: „Sen a w nim przepowiednia przyszłości“, arkusz papieru z nagłówkiem, adre-

<sup>1)</sup> Arch. Bernardyńskie. List do Soltyka z 28 Czerwca 1829 r.



sowanym na imię wielkiego księcia Konstantego, jako zamierzona skarga na Timirazjewa, i najgroźniejszy dokument: list, nie przyjęty przez Sołtyka, z dnia 25 czerwca, ów oczyszczający „plan postępowania“. Jak w przymglonym zwierciadle przebijały się w nim z pewnemi okraszeniami, niedomówieniami i sprzecznościami, rzeczywiste pomysły Smagłowskiego: wymuszenie gwarancji konstytucyjnych, zwrot ziem rasko-litewskich, detronizacja, powołanie księcia Reichstadtu, zamach z pomocą ukrytej młodzieży, porwanie króla pruskiego w Kaliszu, jako zakładnika za wezwanie do Królestwa—pruskiego zaboru. Poza programowymi punktami znalazły się określenia z silnym charakterem w rodzaju zwrotów o ujęciu monarchy za „samo serce“, nazwania Austrii „odwieczną Polski nieprzyjaciółką“, sprowadzenia rozpadu tego państwa przez zwiążanie się z Węgrami — „a tak podstępny dom Habsburgów własnymi runąłby sztukami“, i wyrażenia nadziei zdobycia liberalnej Rosji dla dzieła oswobodzenia. W konkluzji wyjaśnił, dlaczego odehylał przyłbicę. Chciał, aby prawda rozproszyła wątpliwości w obliczu obywateli, którzy „gorliwość i poświęcenie się od piekielnej, zdradzieckiej obłudy rozeznać umieją“<sup>1)</sup>.

Bardzo wyraźne *corpus delicti* zawieziono do Warszawy, a z nim pod przymusową eskortą Smagłowskiego, którego osadzono w więzieniu Marcinkanek, w tak zwanem *la prison des personnes de qualité*, w oddziale dla szczególnie ważnych przestępców, zaopatrzonym w słynne kosze Roźnieckiego przy oknach. Nie stała mu się tam zbyt wielka krzywda: obchodzono się z nim „dość łagodnie“. Przesłuchiwany przez Nowosilcowa, pozostawał mniej więcej przy linii zeznań w śledztwie akademickim,—o ile nie musiał rozszerzyć ich skutkiem wyniku

<sup>1)</sup> Archiwum Bernardyńskie. List w aktach.